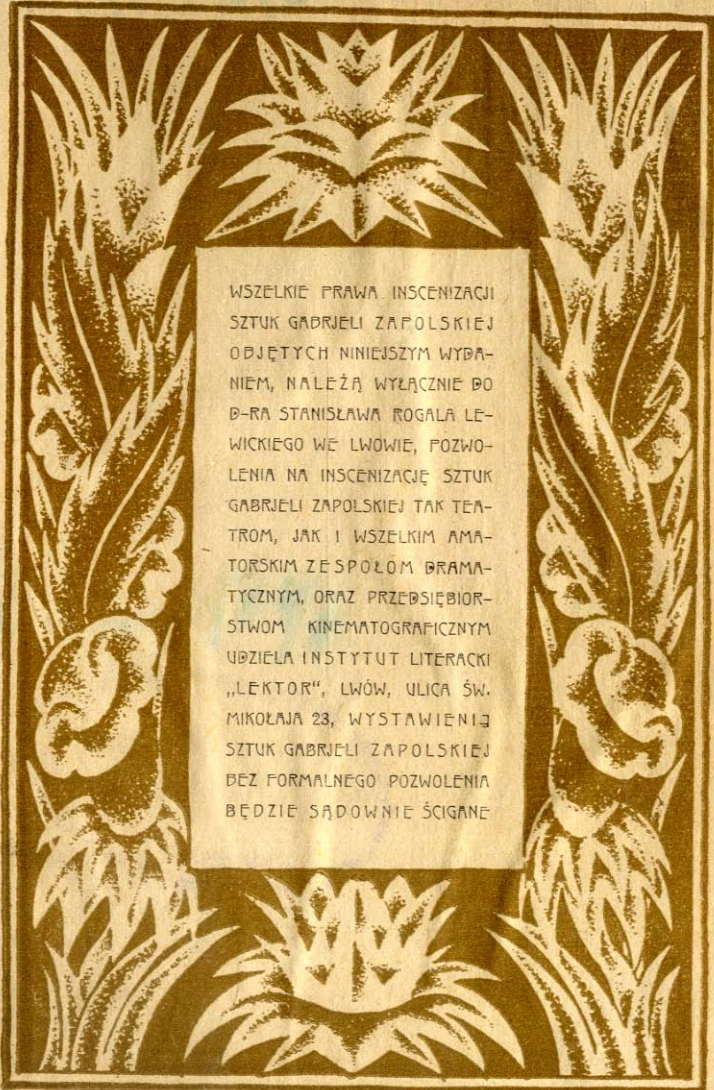


3764/1806-B

WYDANIE ZBIOROWE DZIEŁ
GABRIELI ZAPOLSKIEJ

UTWORY DRAMATYCZNE
MAŁASZKA

A decorative border in a dark, textured color frames the page. It features stylized, symmetrical floral and leaf motifs at the top and bottom, with vertical elements on the sides that resemble stylized flowers or leaves.

WSZELKIE PRAWA INSCENIZACJI
SZTUK GABRIELI ZAPOLSKIEJ
OBJĘTYCH NINIEJSZYM WYDA-
NIEM, NALEŻĄ WYŁĄCZNIE DO
DRA STANISŁAWA ROGALA LE-
WICKIEGO WE LWOWIE, POZWO-
LENIA NA INSCENIZACJĘ SZTUK
GABRIELI ZAPOLSKIEJ TAK TEA-
TROM, JAK I WSZELKIM AMA-
TORSKIM ZESPOŁOM DRAMA-
TYCZNYM, ORAZ PRZEDSIĘBIO-
STWOM KINEMATOGRAFICZNYM
UDZIELA INSTYTUT LITERACKI
„LEKTOR”, LWÓW, ULICA ŚW.
MIKOŁAJA 23, WYSTAWIENIĄ
SZTUK GABRIELI ZAPOLSKIEJ
BEZ FORMALNEGO POZWOLENIA
BĘDZIE SĄDOWNIE ŚCIGANE



GABRIELA ZAPOLSKA

UTWORY
DRAMATYCZNE

TOM II
MAŁASZKA

1923

WYDAŁ ODDZIAŁ WARSZAWSKI
INSTYTUTU LITERACKIEGO
„LEKTOR”, SP. Z OGR. ODP.
WARSZAWA — LWÓW — POZNAN
KRAKÓW — LUBLIN

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE
Copyright by „Lektor” nineteen hundred twenty three

4237

No

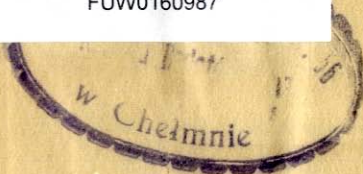


275455/
2

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0160987



SKŁADY GŁÓWNE:

W ELWOWIE:
„LEKTOR”, MIKOŁAJA 23
(d. własny) Tel. 525

□ □

W WARSZAWIE:
„LEKTOR”, SIENKIEWICZA 5
Tel. 253-99

□ □

W POZNANIU:
„LEKTOR”, RATAJCZAKA 33
Tel. 39-23

□ □

W KRAKOWIE:
„LEKTOR”, RYNEK Gł. 22

□ □

W LUBLINIE:
„LEKTOR”, SZOPENA 5

□ □

OKŁADKĘ I WINIETY RYSOWAŁ E. JOHN W WARSZAWIE

2/126/04

MAŁASZKA

OBRAZ SCENICZNY
W SZEŚCIU ODSŁONACH



I G. Zapońska „Małaszka” (Lektor)

O S O B Y:

JAŚNIE PAN.
JAŚNIE PANI.
MARTA, ich córka.
MADMOISELLE LATOUR.
HRABIA JERZY.
HRABINA HORTENSJA.
PANI ELEONORA.
PANNA ZOFIA.
BARONOWA RÓŻA.
KANONICZKA HADEN.
HRABIA KAZIO.
ROSENKRANZ.
SEMEN BOLACZKA, wójt.
MAŁASZKA.
BENEDIO.
OPANAS.
KANDZINKA.
JULEK.
HANS.
FRANZ.
SZMUL.
JANKIEL.
DAWID.
AJZYK.

ARON.
UŁAS.
SEMEN
ZAZULA ORCHIM.
SYCZ.
DZENDŻERA.
MARTA CHIMKA.
NAŚCIA PAZIORZYCHA.
JEWKA DZINBENKA.
MODANKA.
PARASKA.
WARKA.
PAN LADWAŃSKI.
HIEROMIN.
JANEK.
PANI GUZICZKIEWICZ.
MONSZE.
BENIAMIN, } Koniokradcy.
CHAIMIEK.
GOŁDA.
TREJNE.
TOŁCE.
DOKTÓR 1.
DOKTÓR 2.

Bachory żydowskie. Chłopaki. Chłopi. Chłopki. Goście. Żydzi.

Rzecz dzieje się w Galicji.

AKT PIERWSZY

Scena przedstawia wolną okolicę. W głębi las; z poza szczytów drzew widać dwie białe wieżyczki ze spiczastymi daszkami. Po prawej stronie karczma z przedsionkiem, opartym na drewnianych słupach, dach słomą kryty; po lewej stronie drzewa i płot chruściany, dalej wzgórze, na niem krzyż, przewiązany zapaską i znów płot idący półkolem i niknący za podwyższeniem, stanowiącem drogę, którą później schodzi gromada.

SCENA I.

Za podniesieniem zasłony ścieżką biegnie MAŁASZKA: chwilę patrzy na zachodzące słońce, przysłaniając oczy ręką, później podbiega do płotu i siada na nim.

□ □

MAŁASZKA

Już zachodził Maty za chwilę wracać będą do chaty... Kazali mi uszkrobać kartofli... niech sobie najmitkę wezmą i nią roboczą —

ja to do roboty chęci nie mam. El i tak by-
łaby to darmocho, bo maty do karczmy wstą-
pi i wódczyska w siebie wleje i nic w gębę
nie weźmie. Ki czort miałabym się w chacie
nad kartoflami kwasic — wolę tu posiedzieć,
taj na dwór popatrzeć! (patrzy w stronę wieżyczek).
Oj, doloż moja, dolo! Czego to całej tej pań-
skiej sadyby nie widać, jeno te same koń-
czyki... Takbym chętnie na te wielkie okna
patrzyła, co mi się palą w zachodzącem
słonku.

(Od strony lasu słyhać piosenkę, graną na fujarce).

A, ot i Julek sirota idzie ścieżyną od lasu;
nie widać go, jeno słyhać granie na supielce.
Mówili ludzie, że jak on gra, to mrowie po
człeku chodzi. Jak nie ma mrowie chodzić,
kiedy Julek na mogiłę wisielaka się włóczy
i tam wygrywa, taj wygrywa nieraz nockę
całą. Otl jakiś on nie samowity — baje cza-
sem... ja go ta nie rozumiem, czego chce. Otl
zamoroczany! (patrzy w górę). Ho! ho! a to się
zaczerniło — będzie deszcz i huczeć będzie
tam w górze, aż się chatyna zatrzęsie... To
dobrze! ja to lubię... jak tak huczy a lśni, jak
by wszystko w ogniu stało! Niebo się pali
a ja hyc z chatyny na pole i chustkę z gło-
wy zedre, taj głowę wysoko w górę niosę.
Patrzę w niebo, a tam ogień, żywy ogień le-
ci. Wkoło huczy a ziemia się trzęsie — ja
stoję i wszystko w niebo patrzę! Ja się nie
boję! oho! ja się nic nie boję...

SCENA II.

MAŁASZKA i JULEK.

(Julek wchodzi wolno, grając na supielce; przechodzi obok
Małaszki, nie widząc jej).

■ ■

MAŁASZKA.

Julek!

JULEK

(przestaje grać).

Ach! to ty, Małaszka! Co tu robisz na
płocie?

MAŁASZKA.

Boję się w chatynie sama, ta siedziałam na
chruścianku i czekam na maty. Będą tedy
wracali z pańskiego.

JULEK.

Ot, kłamiesz, zazulu! Tybys się bała czego
na ziemi?

MAŁASZKA.

Oj tak! tam w chatynie moroczno samej
siedzieć!

JULEK.

Ty mów, co ci się moroczy, ale się nie
boisz. Ty, Małaszka, zawsze kłamać musisz...

MAŁASZKA.

Idziesz do domu, do dworu?

JULEK.

W niewoli! Oj! to dola zatracona! Rwą mi się chęci do lasu, do supilki, do grania, a tu w kredensie siedź i talerze myj...

MAŁASZKA.

Jabym tam poszła, oj poszła...

JULEK

(jakby jej nie słuchając).

A tak mi dziś się grało! tak grało! bór szumiał a supilka płakała, taj się skarżyła na sierocą dolę. I tak mi było dobrze, jakby mnie nigdy maty nie rzuciła i do dworu na niedolę nie oddała! Wisielak tylko słuchał, schowany pod mogiłą a choiny wysokie ku ziemi wierchy kłoniły i pieśni słuchały.

MAŁASZKA

(do siebie).

Ot, bajel!

JULEK

(przyklękając na pieńku, obok płota, kładzie głowę na kolanach Małaszki).

Gdyby ty, hołubyna, poszła ze mną do boru, ta posłuchała, jak ta supilka płacze...

MAŁASZKA.

E! coby ja ta w borze robiła?

JULEK.

Nie chcesz? To źle, Małaszko... Tam piękniej, jak tu i ludzi niema i tylko ja sam byłby z tobą i grał ci do późnej nocy. Może chcesz, zazulu, ja ci zagram to, co mi w boru dziś wiatr przyniósł. To w powietrzu się tak coś skarży i mnie do głowy wpada a ja to potem wygrać muszę, bo inaczej mnie głowa ciąży i usnąć potem nie mogę. O, słuchaj! tak dziś w boru jęczałol...

(Przykłada supilkę do ust i gra. Małaszka słucha z początku z uwagą, później ogląda się na dwór kilkakrotnie. Słońce zachodzi powoli, oświetlając grupę, t. j. Julka i Małaszkę. Julek, po skończeniu obciera oczy rękawem).

MAŁASZKA.

Ładne... ale tropak, ten, co go Stefan gra, ładniejszy. To nie tropak, co ty grał, prawda?

JULEK

(patrzy chwilę na Małaszkę).

Nie, Małaszko... to nie tropak.

MAŁASZKA.

Julek! nie graj już; powiedz lepiej, co dziś państwo na połudynek jedli. Chleb z jabłkami, czy co? No, powiadaj! Może sytę pili?

JULEK,

Oj, Małaszko, ty ciągle o tym dworze myślisz! Ta Warka ci het przewróciła w głowie

MAŁASZKA.

Ot, Warka ma jasną dolę!

JULEK.

Oj! to ci jasna dola! Chodzi wciąż koło roboty i pańskie szmaty płucze. Ot, tobie, Małaszka, lepiej się dzieje, bo wolna jesteś jak ptaszyna, a nie słuchasz nikogo, nawet twojej maty.

MAŁASZKA.

Jaby tam pani słuchała. (Gładząc Julka po twarzy). Słuchaj, Julek, kiedy ja pójde do dworu? Ty mnie przyrzekał, co kiedyś weźmiesz mnie ze sobą i całą sadybę pokażesz. Widzisz, Julek, u ciebie to nie dawać wiary; ty tylko tumanisz, ty mnie do dworu nie weźmiesz.

JULEK.

Po co ci to widzieć? Tam, prawda, bogactwo, aż oczy lśnią... Ale jak cię pili, to cię tam zawiodę.

MAŁASZKA.

Ach! Julku, gołąbku! powiedz, co oni tam jedzą? co robią dniami całymi.

JULEK.

E! cur ino! Bałakają całe dnie od świtania do zachodu, a my koło nich chodzimy, taj dumamy, czemu im dogodzić. Ty, Ma-

łaszka, takiej doli nie żądasz, bo to oczy wypłakać w takiej niedoli. W jamie siedz i talerze myj, a od tych drugich charkanie znos. Mnie to boli, a ty, głupia, za tem tęsknisz i oczy po próżnicy wypatrujesz. Oj, tak! widziałem ja cię wczoraj, jakęś koło dworu nawracała a pod kasztanami kuciała. Co ci też to po tem, zazulu! Ty nie patrz we dwór, bo dla dziewczki to zaprzepaszczenie! Moja biedna nenia mówiła nieraz, że gdybym dziewczką był, wolałaby mnie żywcem w mogiłę wkopać, jak do dworu w posługę oddać. Temu ja ci mówię, hołubko moja, do chatyny wracaj i nie patrz, aby pańską sadybę zobaczyć. To nie dla ciebie.

MAŁASZKA.

E! ja się tam na ciebie nie otkazuję, że ty na twej supiłce hołosisz i po rozputajach się jak nawięzany włóczysz.

JULEK.

Bo mi tak już z urodzenia przystało.

MAŁASZKA.

A mnie z urodzenia przystało na dwór patrzeć i do pańskiej komory żądać.

JULEK.

Ty, Małaszka, nie wyczytuj sobie jakieś niedoli takimi słowy, jeszcze cię lisowyk posłyszysz, a złe nie śpi, tylko na ludzi czycha.

MAŁASZKA

(ze złością).

Pek tobie! Ja wiem, co opowiadałam! A do pańskiej sadyby pójde, jak zechce. Słyszysz, ty dziadu?

JULEK

(spokojnie).

Nie hałas po próżnicy. Mnie mówisz: „dziadu“, a samaś w zapomogę nie bohata. Ale ty masz biesa w sobie, tylko, że ja się ciebie nie boję, jak inne głupie chłopcy z siola.

MAŁASZKA

(zeskakując z płotu).

Ty się mnie nie boisz? a bodaj cię łysy didko otumanil!...

JULEK

(chwytając ją za ręce).

Nie boję się ciebie, Małaszką, bo cię miłuję, choć taka czasem zła jesteś i łżesz, jak najpierwszy brechmi wioskowy. Ale już jak urośniesz i mołodycą mi będziesz, to się przemienisz... ja to wiem. Prawda zazulu?

MAŁASZKA

(śmiejąc się).

Patrzcie, jaki skory! A może ja widma lawica? zaswatasz mnie choćby tak?

JULEK.

Ano, choćby tak! Ja nie wiem, za co ciebie miłuję, boś ty wcale do miłowania nie rodzona a przecież lgnę do ciebie, bo choć ty głupia, to mi przy tobie ochotniej, weselej. Ty wiesz, Małaszką! ja czasem myślę, żeś ty chyba rusalka, bo jak ty siedzisz w słonku, to ci oczy się zielenią... i robią się zielone, jak trawa w czacharze.

MAŁASZKA.

Ja wiem, ja widziałam się czasem w koromyśle wody i rechotałam się aż z tej uciechy nad moją urodą. A widział ty, Julek, moją nową striczkę? (wyjmuje z zanadru kawałek brudnej wstążki). Ja to w sadzie takie koło dworu znalazła.

JULEK

(zniecierpliwiony).

Ach, hodi o tym dworze! Ale ty, Małaszką, o urodzie gadasz a brudna i nie myta jesteś.

MAŁASZKA

(obojętnie).

Etl po czorta się ta myć będę! Skóry ta nie odmienię a jak do dworu mnie weźmiesz, to się wymyję jak jaka hrabini.

JULEK.

Aj, ty durna! durna! Ale ostań z Bogiem, ja do domu muszę. Oni tam znów jeść będą.

dą i talerzy do pomycia ostawią bogato. A potem koło koni pochodzić muszę, bo to dziś to hałakanie na wsi, to się Hryhor porwie do karczmy a Hans i Franz już się zma-wiali, aby pójść do Czechów na kolونیę i tam do tej ich lesursy na taniec ostać.

MAŁASZKA.

To te chłopcy krasno ubrane, w tych kuszych świtkach? Oj! Boże! Boże! jakież to wertkie mołojcel!

JULEK.

Ty bo, Małaszka, tylko o szmatę dbasz i oczami ściągasz. U ciebie ten wertki, kto ma buty nowe a świtkę suto naszywaną.

MAŁASZKA.

Nie, Julek, nie! ty motasz jedno o drugie. Ja nie lubię świty i soroczki... to także szurpate i oczy nie mani. Ot tak, jak te niemczyki krasawic, albo Zenodański w tej siwej... To odziane! Żeby ty, Julek, miał takie krasne odzienie, toby dobrze było.

JULEK.

Ha! Bóg wie. Jaby dla siebie nie chciał, ale jak tobie takby w ład było, bo ja grubasny trochę a nie wyrosły bardzo. Jasnie pani wybiera do służby w pokojach chłopów jak topole.

MAŁASZKA.

Ale do stajni, do koni tobyś się zdał.

JULEK.

Ta może, ale harowanie ciężkie. Nie do-jeść, nie dospać...

MAŁASZKA.

Et, bajdurzenie! ale byś krasną odzież miał! (po chwili). Ty, dziadu! jak ty już taki jak te miemcy był, tobym się dała ci zaswa-tać i mołodycąbym została. Słysz?

JULEK

(smutno).

Słyszę...

MAŁASZKA

(gorączkowo).

I umyła bym się czysto a bohato ubrała, serzowe zapaski na się wdziała, koronę na głowę i jak kniahini prosto do dwora. Tam z korawajem pokłonić się państwu, ot tak! (udaje pokłony). A jasna pani powiada: Ty, Małaszka, siadaj na pohuti pod obrazami. Ja siadam i...

JULEK.

Ostań z Bogiem — ja idę; ty dziś nie sa-mowita.

(Odchodzi wolno).

SCENA III.

MAŁASZKA, później JANKIEL i SZMUL.

22

MAŁASZKA

(sama).

Ja nie samowita? Pek tobie... ty dziadowski syn! Ciebie do chatyny wsadzić, tobyś rad był i śmierci czekał. (Patrzy w górę). Ciemni się. Będzie źle. A dziś Naście Paziochową, na maju ciągnąć do karczmy będą. Toż to się starczycka naraduje a wódki kupi. Pójdę trochę ścieżyną, może już gromada wracać będzie; coś dziś się dłuży... Hano!...

(Wybiega i spostrzegłszy Lawdańskiego i Warkę, zatrzymuje się w głębi).

JANKIEL

(bardzo piękny, młody żyd, czysto odziany — śpiewa; po skończeniu śpiewu opiera się o płot i pozostaje chwilę zamysłony, następnie mówi wolno).

Noc zapada... nu! to dobrze dla nas, to bardzo dobrze. Gdyby tak noc miała, zamiast dwunastu, osiemnaście, albo dwadzieścia godzin, toby dla nas jeszcze lepiej było...

SZMUL

(żyd, około lat osiemdziesięciu, długa, biała broda, wychodzi z karczmy i przystępuje do Jankla).

Ty, Jankiel! nad czym tak rozmyślasz a głowę kiwasz, jakbyś co z humesz odmawiał?

JANKIEL.

Oj, nie z humesz ja odmawiam, bo na modlenie także czas jest. Ja patrzę tylko w górę a raduję się, co tam tak czarno się ciągnie od lasu. Będzie dobry czas — a gite zeit!

SZMUL.

Czy na zaborol dziś idziecie?

JANKIEL.

Na zaborol. Wczoraj ten graf, krowoładnik, kupił trzy nowe szkapy. Płacić podatek nie chce, tak jak inni robią. Będzie mu zły wiecór, ten dzisiejszy wiecór; będzie mu zła noc, ta dzisiejsza noc!

(Śpiewa):

Po całym świecie my rozrzuceni,
Kryjemy się trwożnie wśród nocnych cieni,
Wiekowej nędzy plód!
Na chmurne czoła goj z duszą hardą,
Przechodząc obok, plwa nam ze wzgardą.
Przeklęty jest nasz lud!
Niegdyś płakali my łzy krwawemi,
Do babilońskiej zabrani ziemi,
Lecz wierzył wtedy żyd!
Dziś bez ojczyzny — świata parjasy —
Tulać się musim po wszystkie czasy,
Nadziei zgasł nam świt!
Już nikt nie marzy o dawnej chwale,
Umilkły grzmiące proroków zale,
Zgiął lud pobożnie kark!

Zmalaly serca wśród Izraela
I snąć nie czekać już Zbawiciela.
Co jarzmo zdjąć miał z barki!
O! niech ciemności wieczne ogarną
Lud nieszczęśliwy zasloną czarną!
I skryją jego łzy!
Gdzież są, Jehowa, Twe obietnice?
W gniewie od żydów odwracasz licel
Więc już przepadli my!

SZMUL.

Dawid przyjdzie?

JANKIEL.

Tylko go patrzeć, od lasu nadciągnie. A ty,
stary, idziesz też?

SZMUL.

Nie. Gromady pilnować muszę... Dziś mają
jakieś świętowanie — przyjdą pić...

JANKIEL.

Ach, głupi naród! on sobie ciągle szabasy
wymyśla, aby tylko grosze trwonić. Grosz
łatwo się toczy a schwytać go trudno.

SZMUL.

Ty to ładnie powiedział, Jankiel. Z ciebie
prawdziwy hakren. Ty mówisz mądrze a po-
woli. Aj waj! ty jeszcze jak chodził do chede-
ru, to belfer i mełamed nad tobą głowami ki-
wali. Ty najgłośniej wrzeszczał ze wszystkich
a mogłeś zejść wysoko!

JANKIEL.

(machając ręką).

I tak się wszystko skończy! Ty, tatele, czy
ja, jednak pomrzemy. Wolę ja konie kraść
i szirtaszirim mieć. Mnie to nie zawadza.
Nul ja nawet lubię tak ciemną nocą iść.

SZMUL.

A narzędzia wziąć do rozkucia koni nie za-
pomnij — i farbę masz?

JANKIEL.

Kara na ogony wyszła — białej na taranty
jest trocha a biseit.

SZMUL.

Zaborolskie konie za wielkie, coby je na
taranty przerobić.

JANKIEL.

Nul to się na kasztan podfarbuje, bo to bu-
łane; byle wodą nie prowadzić, boby farbę
zmyła.

SZMUL.

Dawid idzie.

JANKIEL.

Nu, na koniec wybrał się ten szejtewate. Ty
tatele, głupiego syna masz jednego. Dziękuj
Bogu, co inni mają lepsze głowy, bo inaczej
zmarniałby nasz naród!



SCENA IV.

SZMUL, JANKIEL, DAWID.

■ ■

DAWID.

Lecę, lecę a nóg mało nie potracę! Wy wiecie nowinę a grojse nowinę?

SZMUL.

Co? co się stało? powiadaj!

DAWID.

To, że ty stary i ja i Jankiel i Monsze i Ajzyk i Aron i Tołce i Trejne i Gołda i moich siedmioro dzieci i twoich, Jankiel, siedmioro dzieci i wszystkich nas siedmioro dzieci — pójda w szwiat z torbą na plecach i jak proste szleper żebrac będą po drogach.

JANKIEL.

Ty, Dawid, masz schwache kopf; ty wymyślisz coś zawsze niebywałego; ty nie masz siedmioro dzieci.

DAWID.

Nu, ale mogę mieć. A oni już nie będą baali batim, ale włóczyć się będą po świecie i głodem mrzyć.

JANKIEL.

Zkąd? dlaczego?

DAWID.

No, bo pani chce, coby my z karczem ustąpili a karaimy arendę wzięli.

SZMUL.

Karaimy?

JANKIEL

(spokojnie).

Czego się ty, stary trwożysz? Tobie się nic nie stanie i nam także. Pani może chcieć, ale my możemy nie chcieć. Nasz ród tę ziemię zasiedział, wszyscy wokół wiedzą, co rebe Szmula Benjamina nikt z arendy ruszać nie śmie. Nie próżno mamy Trejne na progu codzien siedzi ze swoją pończochą. Ci, co przechodzą, wiedzą, że ona zasiedziała próg i całą karczmę dla rebe Szmula i jego pokolenia. Ty tate, śpij spokojnie! nikt cię nie podkupi i ztąd nie wygna.

DAWID.

A karaimy? te pół-goje a pół jeszcze judy? Oni prawa zasiedzenia nie znają, oni się pomsty Boga nie boją.

JANKIEL.

Ty szejtewatel karaim też się będzie bał, bo wie, że mu tej nocy, coby pierwszy raz chciał zasnąć pod naszym dachem, dym oczy wygryzie i cały się razem ze swymi dziećmi i żoną spali.

(Odwraca się, opiera o płot i patrzy w dal, nie mieszając się do rozmowy).

DAWID.

Twoja prawda, rebe Jankielu, ale zawsze nasza strata. Trzeba arendę podwyższyć, bo nas turbować będą.

SZMUL.

To się im napisze, co się będzie więcej płaciło. Albo to pisanie co kosztuje? I tak im się nie płaci.

DAWID.

Nie, tate, ja ci tu przynoszę podatek od tego dzierżawcy z Tarajewa. Nu, co to za szajgecl jak on się kręcił, ale ruble dał. Ty idź jutro i obejrz jego konie a naznacz dobrze, coby się nie pomylić, bo za tydzień ja i Mon-sze idziemy u jego ekonoma konie kraść.

SZMUL.

Nie zapłacili?

DAWID.

Nul to hazirowatel on winien za trzy miesiące. Szkapy trzeba wziąć.

SZMUL.

To się weźmie. Ja przez rogatkę przewiodę i w mieście postawię. To będzie najspokojniej. One tam stać będą aż do jarmarku a potem w jarmark wywiedziesz nocą i poprowa-

dzisz na granicę. Tam Ajzyk odbierze i przeszwarcuje. Nu a ten Polikarp? kiedy pieniądze da? Mnie jego szkapa kosztuje, bo żywić trzeba.

DAWID.

Mówił, co po zachodzie słońca dziś do karczmy przyjdzie a pieniądze tu koło płota złoży. Ot, idzie... a, nie! to Hans i Franz, pewnie idą na kolonję, można ich o Polikarpa zapytać, bo jak dziś pieniędzy nie da, to jego szkapę trza prowadzić dalej, a wózek to pachciarz z Lisowczyc kupi.

SCENA V.

CIŻ SAMI, HANS, FRANZ.

» »

HANS.

Al żydkil kłaniam! immer zusammen? i coś sztilują w kąta, aby głupi chłopą okpić.

SZMUL.

Pan Hans wesół i miły człowiek. A kluger Mensch! niech żartuje zdrów. My tu okpić nikogo nie chcemy, a jak głupi chłop sam w karczmę się pcha i miedziaki niesie, to czemu nie brać?

HANS.

No, ja! czemu nie brać?

JANKIEL
(w głębi).

Mądry bierze, głupi daje!

FRANZ
(śmiejąc się).

Ja, ja! Jankiel hat recht, mądra bierze —
głupia daje!

DAWID.

Pan Franz nie widział Polikarpa, tego od
lasu?

HANS.

Herr Polikarp? No, ja jego widział, stał
tam koło kredenca z panem Lawdańskim
i lamentował, ach Gott! Jemu znów żydzio-
wie koń zgesztolowali. Ty, Dawid, du muss
wissen, wo ist diese skapa?

DAWID.

Ja? Żeby jutra tak nie doczekał, jak ja wi-
działem jego konia! Żebym...

FRANZ
(śmiejąc się).

Ach, du dumer Kerl! Niby was cały Land
nie zna, co wy tylko tem szwindlujecie! Nasz
jaśnie państwo, unsere Herrschaften, mogą
być o swoja konia spokojny, oni nawet po-
datka roczny nie płacą, tak jak inni.

HANS
(uderzając Szmula po ramieniu).

Ty stara malpa! ty masz kopf na taki inte-
res, ale schulala mnie dobrze. Jakby zechcia-
ła ze stajni ode dwora konie wziąć, to Hans
i Franz werden schon schlafen a konie mo-
żna zabierać fort. Tylko przedtem Geld, ba-
res geld na ręką i to wiele, wiele, eine Men-
ge — anders nichts.

JANKIEL.

Aj waj! co też pan Hans gada! Kóni dzie-
dzicowi wziąć nie można... To się nie godzi...

HANS i FRANZ
(śmiejąc się).

Das ist famos! nie godziła się! nie godzi-
ła się!

SZMUL
(do Dawida na stronie).

Das wäre a geschäft, jakby się nie wydało.
Można w inny powiat konie odprowadzić
i zamtąd reb Mojsze podstawić.

DAWID
(cicho do Szmula).

Zobaczymy, tate, ile oni zechcą. Tylko
dziedzic goły, on już ze wszystkim szlepeł,
a szkapy niewiele warte. Nu — to się zo-
bacz...

SZMUL.

A nie zajrzą panowie do karczmy? Mam teraz fein wódkę, nie prostą śmierdziuchę, ale dla pięknych gości... dla mejuches...

HANS.

Nein, my wódki nie pila nigdy, my lubimy tylko Bier; to ładna rzecz, prawda Franz?

FRANZ,

Och, ja! W naszym Vaterlandzie to ja miałem osiem roki a już swoje kufel piwa ciągnęła w dzień. Ach! Gott! my też idziemy tam za las, na kolonię — tam kulmbacher jest dobry i dzisiaj kränzchen z tańcami.

HANS.

Przeszłego tygodnia my chcieli też iść a nie mogli, bo panna chorowała i za pijawkami Franz jeździł aż do miasta. Ta panna to ciągle chore, die ist so blas! ach, Gott! zu blas!

SZMUL,

Nu! wona się w matkę wdała. Jaśnie pani także takie delikatne i zchorowane. Jak wczoraj byłem we dworze, to mi mówili, że panna ma się znów gorzej.

FRANZ.

No, ja! ona dziś podobno cały dzień stękała. A pijawka na złość wszystkie wyzdychała. Jak-

by gorzej było, to znów musiałby Hans, albo Franz, do miasta laufen. Ach, Gott! my dziś uciekała na kolonię, niech nas szukała ta głupia państwal... Hans i Franz nie tak dumm, żeby się po noca tlukła za głupia pensja i ordynarja!

HANS

(patrzy w górę).

Ja! Teraz deszcz pewno będzie padala... Komm, Franz, wir haben a Stückelen Weg — komm, schnell!

FRANZ

(do żydów).

Adieul

HANS.

Ich empfehle mich! gute Nacht!

SZMUL.

Gite nacht!

DAWID.

Gite nacht!

(Odprowadzają ich).

HANS.

(stojąc na drodze).

A jakby chcieli ten Geschäft z pańska stajnia zrobicz, to tylko przyjść i pogadać.

(Odchodzi).

SZMUL.

Git! git!

SCENA VI.

SZMUL, JANKIEL, DAWID, później POLIKARP
i MAŁASZKA.

23

SZMUL.

Jankiel, masz ty rewolwer?

JANKIEL

(w głębi)

Nu, cobym nie miał mieć!

SZMUL.

Dawid, chodź ty do karczmy. Jankiel wird hier blejben. Ten Polikarp pewnie przyjdzie, wir werden durch Fenster patrzeć, czy on wszystko zrobi jak należy.

(Szmul i Dawid odchodzą do karczmy, pozostaje Jankiel, który, nucąc piosenkę, opatruje rewolwer i chowa się za krzak, rosnący za płotem. Chwila milczenia).

POLIKARP

(wchodzi spiesźnie).

Mówili mi, że to ondzie należy położyć te pieniądze! Psy żydowski! Tylem napłacił się za konia i tę nieszczęśliwą linijkę, a oni taki duszęby z człowieka wydarli. Każą mi się opłacać za to, że mi dobytek skradli. Nie

moja była wina. Zda mi się, że w lesie ktoś sosny klejuje. Zlazłem z lenijki i kruszynę wszedłem w las. Wracam — a tu ani kobyły, ani wozika. Oj, doloż moja! (wyjmuje z zanadru węzełek i liczy miedziaki). Są wszystkie! A na tom Lawdańskiemu ordynarję sprzedał, boć inaczej ciężkoby grosz z groszem złożyć. Gdzież to ten kamień? Aha! ondzie pod płotem. Przeczegnamy się, bo to pewnie tu jakaś sobaka żydowska gdzieś siedzi i jeszcze człowiekowi w łeb kulą świśnie, jak się obejrzeć chętką przyjdzie.

(Zegna się, potem powoli zbliża się do kamienia, kładzie pieniądze i szybko odchodzi. Jankiel podczas tego wysuwa się tak z zakrzaka, aby był widzialny dla publiczności, z wyciągniętą ręką, w której trzyma rewolwer).

POLIKARP

(odchodząc).

Ach, Bohl żeby tylko te koniokrady zrobili tak, jak przyrzekli i szkapę o północku do chaty przywiedli!

(Znika).

JANKIEL.

(chwilę jeszcze stoi nieruchomy, nareszcie, widząc, że Polikarp zupełnie odszedł, opuszcza rękę i chce przejść przez płot, aby zabrać leżące na kamieniu pieniądze.)

Głupi gojl... Oni wszyscy tacy głupie... Jeden tylko żyd jest a kluger Mensch! jeden tylko żyd!

MAŁASZKA
(wpada nagle).

Ni maty! ni gromady! Czort wie, kędy siedzą, a tu o maju ani słychu! Boh mój! nie będąż tańcowali? Aż mi nogi skaczą, żeby tak wyciąć tropaka!

(Tańcząc nuci):

Nie płacz, nie płacz, dziewczynianka,
Taka twoja dola:
Polubiłaś smarowoza,
Do misiacza słoja!

JANKIEL.

Ot, myszygene dziewczka... w drogę wlaźła...

MAŁASZKA
(j. w.)

Oj, szc zob ty, dziewczynianka,
Todi za mąż poszła...

(Urywa nagle, gdyż kończąc, spostrzega czerwony gałganek, w którym są zawinięte pieniądze, leżące na kamieniu).

MAŁASZKA.

Ot, co to? zatumanienie? krasna szmatka? dla mnie? Ja to wezmę i na głowę uwiążę, jak panna miała tam w sadzie (porywa gałganek, rozsypuje pieniądze, nie uważając na nie i zawiązuje go na głowie). A tom harna! a tom krasna! hu! ha!

(Śpiewa jak w.):

Oj, Boże mój!
Harny chłopiec to nie mój!

(Jankiel równocześnie strzela w górę z rewolweru. Małaszka przykuca ze strachu na proscenium i zakrywa oczy. Jankiel rzuca się na pieniądze i, zebrawszy je, ucieka do karczmy).

MAŁASZKA
(klęcząc).

A to co? nieczysta siła? czy ki lichy?... Ot, durna Małaszka, a toś się nastrachała! Czego? ta podnieś łeb a pogładnij, co tak huknęło kędyś z pod płota? Jak przelistic, to się go nie boję. Mam w zapasce zaszyty czartopoloch...

(Wstaje powoli i idzie do płotu. W tej chwili wchodzi z lewej strony Lawdański i Warka).

SCENA VII.

LAWDAŃSKI, WARKA, w głębi MAŁASZKA.

■ ■

LAWDAŃSKI.

Ty durna dziewczka, nie uciekaj, kiedy pan do ciebie mówi!

WARKA.

Pan Lawdański sobie naśmiewa tylko ze mnie... Gdzie mnie do was! Ja ot prosta córka a pan Lawdański pan na całą okolicę...

LAWDAŃSKI.

Przez to dla ciebie większy zaszczyt, że na ciebie patrzę i do ciebie się zalecam. Korale ci dałem i wzięłaś.

WARKA.

Korale wziąć nie grzech a jak dacie więcej, to wezmę jeszcze.

LAWDAŃSKI

(śmiejąc się).

Ty bo nie taka durna, jak się z pozoru wydajesz. Ty nie darmo się koło pokojów kre-
cisz i tam rozumu nabierasz. Czy ta stara Mizel cię rozumu uczy?

WARKA.

E! gdzie ta! Mizel nie do uczenia. Ja tak sama ze siebie naukę biorę.

MAŁASZKA.

Korale ma! korale ma!

LAWDAŃSKI.

Ty, Warka, dobrze zrobiła, żeś do dworu poszła. Ciebie na wieś do prostej roboty szkoda, ty ładna dziewczyna.

WARKA.

E! gdzie znowu! tam we dworze pan Lawdański ładniejszych się napatrzy poddostatkiem. Ach, panie! tam bywają krasne, jak

łabędzie a szaty wkoło nich złociste, aż rozkosz patrzeć.

LAWDAŃSKI.

Ty nie wiesz, co ładne. Te wielkie panie to takie wymokłe i blade, aż przykro patrzeć. Co chwila zdaje się, o! padnie która i będzie po niej.

WARKA.

Jak nasza panienska. Dmuchnij a zda się już niema... Dziś tam jęczy biedaczka i znów dychać nie może, ale pan Lawdański wymamlił mnie aż tak daleko ode dworu a tam może potrzebować będą.

LAWDANSKI.

A to niech potrzebują, co to Warę obchodzi? Niema to Paraski i Horpyny?

WARKA.

E! one koło panny nie sposobne.

LAWDAŃSKI.

E! co nas obchodzi ta galareta! niech się tam trzęsie; mają pieniądze od tego, żeby jej umrzeć nie dali. A teraz chodź do karczmy, kupię ci wódki.

WARKA.

Gromady tylko nie widać. Na rozhyrę tu przyciągną.

LAWDAŃSKI.

Ano, to i lepiej — trochę się przypatrzmy, jak to oni tańczyć będą.

WARKA.

A wy nie będziecie tańczyć, panie Lawdański?

LAWDAŃSKI.

Ot, głupia dziewczka! chamy to chamy a ja to ja! Ot, lepiej chodź tu i nie droż się znów... Paraskaby w ogień poleciała jakbym jej kazał.

WARKA.

To Paraska a nie ja.

MAŁASZKA
(na stronie).

Jaka ona durna! jaka durna!

LAWDAŃSKI.

No, jak ci o to chodzi, to ja się z tobą ożenię.

WARKA
(śmiejąc się).

Ojoj! a kiedy? Wy tak wszystkim gadacie. Jakby to była prawda, tobyście już żon mieli z dziesiątek... Dobrze duryły koły prostupaje.

LAWDAŃSKI.

E! bo ty za wiele ceregieli robisz!

(Chwyta ją wpół i przyciąga do siebie).

WARKA.

Oho! jaki wartki!

MAŁASZKA
(cicho, zakrywając oczy).

Na mnie jakby kto waru nalał.

LAWDAŃSKI.

No, jednego całusa! tak! a teraz drugiego!

MAŁASZKA
(j. w.).

Ach, żeby tak mnie! mnie!...

WARKA
(wyrywając się, ucieka do karczmy i gubi po drodze sznuerek paciorków).

A to spiesz! na horiwszy, na boliwszy!

LAWDAŃSKI
(goniąc ją, wpada do karczmy).

A to kosa! Z żadną nie miałem tyle kłopotu!

SCENA VIII.

MAŁASZKA, później JULEK.

MAŁASZKA

(sama).

Poszli! A to ma dobrą dołę ta Warka! Taki młójec, jak ten Lawdański, ją uściska i ucałuje a nawet zaswatać myśli. Żeby tak na mnie spojrzeć, ale gdzie jemu do mnie! Choć ja harniejsza jak Warka a gdzie jej uroda do mojej! Tylko, że ja odziać się nie mam w co, ani to zapak... aż człowiekowi żyć nie miło! (Podchodzi na pół sceny). Jeden! dwa! trzy! oho! tu aż cztery! — jest ich dużo, mnogo! cała siła!... coraz więcej!... Jak sobie pobieram, nawłokę na nitkę, na szyję uwiążę... Niech mnie Julek widzi! Umyję się nawet, ta włosy zaplotę, niech się dziwują mej urodzie! Może mnie kto ze dworu zobaczy i zawoła do izby i za Warkę albo Paraskę weźmie. A może pan Lawdański!...

JULEK

(wpada zdyszany).

Małaszka! nie widziała ty Hansa, albo Franza?

MAŁASZKA.

Zdybałam ich w lesie, szli na kolonję...

JULEK.

Ach, doloż moja! lecieć po nich chyba mi

przyjdzie. Jaśnie panienka zaniemogła bardzo a tu trzeba z miasta nowego leczenia i pijawek. Ty nie wiesz? na wsi niema pijawek?

MAŁASZKA.

Naścia Paziorzycha łapała, ale poniosła do miasta w sobotę.

JULEK.

Hieronim i Janek poszli na wieś, mnie kazali szukać Franza. Mówili w pokojach, co panienka może skończyć tej nocy, jak nie będzie tego lekarstwa, co go pan doktor nakazał, a tu wszystko ze dworu jakby dziś pociękało. Na deszcz idzie, gdzie się teraz do kolonji dobić! No, ostań z Bogiem, do lasu muszę i na kolonję szukać tego, coby do miasta duchem pojechał.

MAŁASZKA.

Na rozhyrę przyjdiesz?

JULEK.

Gdzie mnie do rozhyry! panienka tak się skarży, aż koło serca ciśnie. I jaśnie pani płacze; mnie zaraz dusza boli, jak ja cudzy żal widzę.

(Odechodzi).

MAŁASZKA

(sama).

Jakby Julek rozum miał a umiał swego pa-trzeć, toby sam do miasta jechał a prosił po-

tem państwa o wynagrodzenie... Tylko on
durny jest, nie pójdzie, stracha się burzy...
Ot, żebym to ja tak mogła na konia wleźć,
tobym pognała! pognała! oj!

(Podczas poprzedzających scen zaciemnia się coraz wię-
cej, w chatach zapalają światła, w karczmie widać płoną-
ce ognisko).

SCENA IX.

MAŁASZKA, MONSZE, AJZYK, ARON, później SZMUL,
JANKIEL, DAWID, BENIAMIN, CHAIMEK, TOŁCE, TREJ-
NE, GOŁDA, troje bachorów,

■ ■

MONSZE

(wchodzi z Ajzykiem i Aronem).

Nu, kimta ma! czego tak liziecie? Jankiel
pewnie już pojechał.

AJZYK.

Jak on mógł pojechać! Musi czekać na
mnie. Ja mam obcęgi od gwoździów.

MONSZE.

Stile! Chodź do tatele. Świeci się, pewnie
już czekają...

(Wchodzą pod strzechę karczmy i pukają do drzwi).

AJZYK.

Tatele, Jankiele, kimt tercini!

MAŁASZKA

(na proscenium).

A to psy żydowski! zmawiają się znów na
jakie śkapy — wraże syny!

SZMUL

(wychodzi z karczmy wraz z Aronem, Janklem, Dawidem,
Beniaminem, Chaimem, Tołcą, Trejną, Gołdą i bachorami).

Nu, dobrze, co wy przyszli — to kawał
drogi a deszcz poleje...

AJZYK.

Niech leje — hałas większy a gwałt ludzie
nie posłyszają...

DAWID.

Co oni mają słyszeć! woni dostali po zło-
tówce i spać będą jak należy... Treinel gibs
a farbe! wo ist die weise farbe?

TREJNE

(podaje mu garnuszek).

No!

JANKIEL.

Benjamin idzie też?

SZMUL.

Niech ostanie. Trzeba temu od lasu Poli-
karpowi odprowadzić szkapę.

MONSZE.

Zapłacił? bares Geld?

SZMUL.

Tak, tak! Ale Jankiele, Dawid, Ajzyk, kimt tu bliżej. Ja...

(Mówią wszyscy pocichu, sprzecząc się z sobą).

MAŁASZKA.

Strachu im nagnam, tym sobaczym duszom!

(Wyduje nagle dziki wrzask i wpada pomiędzy żydów, wywijając chustką).

Upyr! upyr! kucy idziel żydy psy do cerkwi weźmie, upyr! upyr!

(Żydzi, przestraszeni, rozbiegają się; pozostają: Małaszka, Beniamin, Chaimek, Gołda i bachory).

MAŁASZKA.

No, wy, rude bachory! pomsta na was! Skaczcie mi tu zaraz i śpiewajcie, jak wczora; a jak nie, to jednego z drugim poczęstuję i będzie wam ot tak!...

CHAIOMEK.

Nu, a co nam za to dasz?

MAŁASZKA.

A ty rudy didko! do sadu nocką z wami poleżę a przez płot poprzესadam, tak jak w tamten tydzień.

GOŁDA.

I mnie też?

MAŁASZKA.

I ciebie, ty widmo hałubko! No, dalej... ja w sere dynie!

(Bachory formują koło, Małaszka pośrodku z gałganem w rękę. Przygrywka).

BENIAMIN

(podchodząc pod okna karczmy).

Tatele, wo ist die skape?

SZMUL

(z karczmy).

Gaj zu die chlewki; wyciągnij wózek a konia ci przyprowadzę!

(Taniec i śpiew bachorów):

Hejde łyde, mame, tate,
Djabeł skacze tu rogate,
Sam a szwarce jur!
Hajde, łajde, tate, mame,
Mi od niego uczekame
Do ciemności gór!
Wun nas łapie, wun nas goni,
Aj waj!
I kłojzeł nie obroni,
Aj waj!
Wi a leib wycząga łape,
Aj waj!
Gwałt! ratunku! mame, pape!
A, waj!
Hajde łajde, mame, tate,
Djabeł skacze tu rogate,

A szwarc jur, bo sam.
Hajde łajde, tate, mame,
Rady sobie z nim nie damel
Da on, da on nam!

MAŁASZKA

(pośrodku bachorów wyskakuje, wydając dzikie wrzaski).

Hop! czur! hop! czur!... A nuże, wraże syny! hul ha!

(Bachory po skakaniu padają bez duszy na ziemię. Małaszka kopie ich nogą).

SCENA X.

MAŁASZKA, LAWDAŃSKI, WARKA.

■ ■

LAWDAŃSKI

(wychodzi z karczmy).

No cóż? podpiłaś sobie, dziewczyno? a wstydzilaś się niby — he!

WARKA.

Boście nalegali.

LAWDAŃSKI.

Co ty się ze mną hadryczysz! Ty wiesz, co ja zechcę, to każda zrobić musi!

(Spostrzega na ziemi leżące bachory i Małaskę).

A to co?

WARKA,

A to moja rodnia siostryczka. Hej, Małaszka! a wstań ty! Cóżes już pokojnica, że leżysz jak bez ducha?

(Małaszka wydaje dziki okrzyk i zrywa się na nogi).

LAWDAŃSKI.

A to co? warjatka?

WARKA.

E, nie! tylko ją tak czasem nosi... ona tak wrzeszczy, bo mówi, coby ją to udusiło, jakby ze siebie nie wyrzuciła. Ot! (Spluwa) nieczysta jakaś siła ma do tej dziewczki przystęp...

LAWDAŃSKI

(przypatruje się Małaszce).

Ano! będzie piękna dziewczka, ani słowa, oczy jak tarnina a świecą się po nocy jak kolczyki na jasnie pani. Chodź tu bliżej! (Małaszka zbliża się powoli z ruchami kotki). Ja cie znam, ja cie widział często koło dwora, jak chodzisz, a po oknach zaglądasz. Czego ty tam szukasz?

WARKA

(porywezo).

Nie bresz! Ty za Julkiem latasz; cały świat wie, że to będzie twój zażennyj. Patrzcie ją, widma ta! już się pana Lawdańskiego czepia!

MAŁASZKA

(z wściekłością).

Hodi ty taka... bo cię pazurami rozorzę!

LAWDAŃSKI.

No, cicho! spokojnie mała! (do siebie zadowolony).
Jak się to o mnie żrą — mało się nie pozabijają... To tak zawsze.

(Za sceną przygrywka).

BACHORY

(zrywając się z ziemi).

Idą! idą!

(Wybiegają, wrzeszcząc, naprzeciw gromady).

Śpiew gromady wracającej z pola:
Do domu, do domu, bo nocka się zbliża
I słońce się chyli za las
I mgła nad łąkami podnosi się świeża,
Do domu, do domu, już czas!
Pożeliśmy niwę, zorali nowinę,
Robota skończona też bron,
Gromadki się schodzą na polną drożynę,
Ze wszystkich powraca lud stron.
Do domu, do domu! z chat płyną już dymy,
Wieczerać i kłaść się do snu,
Do znojnnej się pracy znów jutro zbudzimy
Więc spocząć i nabrać trza tchu!

(Po śpiewie wchodzi gromada: Semen Bolaczka, Benedio, Opanas, Kandzinka, Ułas, Semen, Zazula, Sycz, Dzendżera, Marta Himka, Jewka Dzinbenka, Modanka, Paraska).

BENEDIO.

Hano, do Szmula nie przeszkodzi zająć
a popytać jak to tam z tymi karaimami, co
ich to jaśnie pan chce na arendzie osadzić.

OPANAS.

Chodźmy. Szkodaby Szmula; już tyle lat
karczmę zasiedział — jakby mu to wybierać
się przyszło!

SEMEN BOLACZKA.

O! durnym durno w głowie. Gdzie czort
nie może, tam babę pośle. I posłał chyba
czort jaśnie panią, aby zawieruchę robiła.
Ale ze Szmulem nie poradzisz. Gdzie wola,
tam i siła...

SYCZ.

Sprawiedliwe słowo. Szmul miejsce zasie-
dzał, ta z nim poradzić już trudno.

DZENDŻERA.

Karczmaby w marne poszła, jakby tu inny
osiadł a jeszcze, chowaj Bóg, na nasze sady-
by mogłoby nieszczęście spaść.

MARTA CHIMKA.

Pluńcie, Dzendżera, pluńcie! to może w złą
godzinę wyrzekliście.

OPANAS.

Kto wie, może to pletetna chwila?

DZENDŻERA.

Ot, nie bajdurziel płenetnej pory niema, tylko jest płenety człowiek. A mnie znacie od dziecka, ja nie w poniedziałek odłączony.

UŁAS.

Dosyć tego... My chodzimy po Naścię Paziorzychę. Przecież to dziś rozhyra.

PAROBCY i DZIEWKI.

Tak! tak! rozhyra!

MAŁASZKA

(podskakując).

Pójdę z wami! pójdę z wami!

MARTA CHIMKA.

A, ty tu, latawico? (uderzając ją). Masz! na! cobyś się po drogach nie tłukła!

MAŁASZKA

(śmiejąc się).

Ot tobie ból! Ciebie, maty, więcej boli, jak mnie. Tak! tak hołubko! Ano, chłopcy, za mną po Paziorzychę!

UŁAS.

Chodźciel chodźciel bo może być nie pora i tak się ściemnia.

[DZENDŻERA.

Trza Szmulowi kazać, coby smolaki dał.

(Wchodzi do karczmy).

ZAZULA.

A wy, dziewczki, nogi przygotujcie. Jak Naścię na maju przywieziemy — koło niej trepaka; a jak się nie pomęczycie, to czerebiaczka!

MAŁASZKA

(wyskakując).

Koło czerebiaczki
Przypadajem raczki!
Albo ju wypijem,
Albo ju wybijem!
Hu! ha!

MARTA CHIMKA.

A to czysta projawa!

(Parobcy, powtarzając śpiewkę, wybiegają, Małaszka przed nimi. Kilku gospodarzy wchodzi do karczmy, baby siadają na kłocach przed karczmą, dziewczki zbijają się w jedną gromadę i popychają się, chichocząc i piszcząc. Z karczmy wychodzi Beniamin i Chaimek, zatykają dwie smolne pochodnie na słupach. Scena prawie ciemna, chwilami słychać przyciszony grzmot).

BENEDIO.

Ot, grzmil! Bóg swarzy się czegoś! będzie zły czas. A tu tańczyć mają!

SEMEN BOLACZKA.

Ot, durnemu durno w głowie!

BENEDIO.

Młode to i durne.

SEMEN BOLACZKA.

Durnych nie sieją, nie orzą — ta sami się rodzą.

OPANAS

(wychodzi z karczmy i niesie blaszanki i flaszkę).

W wasze ręce, Semeniel! Wam na dolę a na pohybel złym!

SEMEN BOLACZKA

(pijąc).

Zła iskra i spali i sama zginie!

MARTA CHIMKA

(do bab).

Ot, nasz Semen Bolaczka ciągle przypowiadki gada.

SEMEN BOLACZKA.

Czemu nie? Mnie maty w głowę nie bili.

LAWDAŃSKI

(podechodzi do dziewczek).

Cóż wy, głupie, tak w kupie stoicie? Zimno wam? he?

(Głaszcze pod hrodę Paraskę, dziewczki z piskiem popychają się).

SEMEN BOLACZKA

(do Opanasa).

Ot, tobie czarcie i szpak!

LAWDAŃSKI.

Jak się macie, panowie gromada?

SEMEN BOLACZKA.

Zdrowo! A gromada to wielki człowiek!...

LAWDAŃSKI.

Oj, wiem! wiem! A ze wszystkich pan Semen największy.

SEMEN BOLACZKA.

Niema siola bez chłopca bogatego, psa kudłatego i białej kobyły.

OPANAS.

Nie napije się pan Lawdański jedną krużkę?

LAWDAŃSKI.

Ja we dworze przywykłem do czego innego — siwuchy nie lubię.

SEMEN BOLACZKA.

Nie pluń w wodę, bo się z niej napić przyjdzie...

LAWDAŃSKI

(śmiejąc się).

Mnie tam już siwuchy pić nigdy nie przyjdzie.

SEMEN BOLACZKA.

Oho! harny, jak świnia w deszcz!

LAWDAŃSKI.

Co? jak co w deszcz?

OPANAS

(do Semena).

Ta dajcie pokój, Semen. Jeszcze wam u dworu zło uczyni...

SEMEN BOLACZKA.

Ostawcie! Ja znam, komu dzień dobry a komu dobry dzień!

SZMUL

(wychodząc z karczmy).

Kłaniam! kłaniam! Nu, co to dziś tak długo robota szła koło pola? Już myślałem, co tam i nocować będziecie!

MARTA CHIMKA.

My przyszli, ale wy, Szmulu, z karczmy się wybieracie.

SZMUL.

Zartuj sobie, Chimka. Na co ja się mam wynosić? Ja się jeszcze i do twojej chałupy wniosę, jak zechcę.

CHIMKA.

A ty wraży synu! ty do mojej sadyby!

SZMUL.

Aj waj! czemu nie? Wy, Chimka, jeszcze u mnie szynkować a świece na szabas objasniać będziecie.

SEMEN BOLACZKA.

Nie tak się bardzo dzieje, jak się bardzo gada. A ty, Szmul, pomnij sobie, co na cudzem podwórku i drzazgi gniją!

CHIMKA.

Jak jaśnie pani zechce, to cię wygna, żydu!

SZMUL.

Ty, Chimka, wiesz, co ja się twojej pani nie boję!

SEMEN BOLACZKA.

Bez pana dwór płacze, lecz pana chata.

OPANAS.

Myby za naszą nie płakali!

DZENDŻERA

(pokazując na Lawdańskiego).

Pokaranie! Bóg z tobą! Nie widzicie go? Czy wam didko oczy ztumańiło?

LAWDAŃSKI

(na przodzie sceny do Paraski).

Czemuś wczoraj uciekła z sadu?

PARASKA.

Bo Mizel szła lipową ścieżką.

LAWDAŃSKI.

Jutro przyjdź do sadu za kuchnią i czekaj
w południe koło ożynowych krzaków.

PARASKA.

Kiedy rankiem ciężko się od panny wy-
rwać. Teraz chora, ta człowieka trzymają, ta
wiążą.

LAWDAŃSKI.

Wracasz do dworu?

PARASKA.

Po licha? Jeszczebym na rozhyrze nie była!
Niech tam Warka siedzi.

(Słychać głośnie śmiechy za sceną, przegrywki. Na scenę
wpada chór parobków, wlokąc rodzaj wózka, plecionego
z drzewek zielonych. Na wózku siedzi Naścia Paziorzy-
cha. Małaszka biegnie przodem, podskakując, obok niej
bachory i kilkoro dzieci wiejskich).

CHÓR PAROBKÓW.

Wieziem przez ulicę
Babę czarownicę
Na maju, na maju!
Kto koło niej stanie,
Ten się wnet dostanie
Do raju, do rajul
Stańmy wszyscy w koło
I tańczmy wesoło
Przy maju, przy maju!
Potem, nucąc śpiewki,
Pójdziem chłopcy, dziewczki,
Do gaju, do gaju!

SOLO NAŚCI.

Gdy chcesz, chłopaku, mieć dziewczynę,
Przy maju zaraz łap jedyne
Jam pani dziś na całe sioło!
Jam czarownica!
Wszyscy w koło
Tańczyć, aż wstanie
Tam na kurhanie
Pyłu metelęca!

Gdy chcesz, dziewczyno, mieć chłopaka,
Wraz z nim przy maju skacz tropaka.
Jam pani dziś na całe sioło!

(etc. etc., jak wyżej).

CHÓR PAROBKÓW.

Stańmy wszyscy w koło
I tańczmy wesoło
Przy maju, przy maju!
Potem nucąc śpiewki,
Pójdziem chłopcy, dziewczki,
Do gaju, do gaju!

NAŚCIA

(po śpiewie staje na wózku i woła):

Hej! Szmull! wódki a prędko! Ja dziś knia-
hini na całe sioło! Ot i mnie na stare lata
królowanie przyszło!

(Parobcy i dziewczęta tańczą dokoła wózka Naści z kie-
liszkami w rękach).

MAŁASZKA

(do matki).

Maty, daj wódki swojej dłoni...

CHIMKA

(napół pijana).

Idź, wiedźma! nie mam już.

MAŁASZKA

(prosząc).

Hotucheczko siwa!

(Wysuwa jej blaszankę z ręki, biegnie na przód sceny i pije).

LAWDAŃSKI

(do Małaszkii).

Ty mała a mądra! Wódkę jak wodę ciągniesz i kochanka masz!

MAŁASZKA.

Bóg z wami! Kochanka nie mam.

LAWDAŃSKI.

A Julek?

MAŁASZKA.

Ot tobie raz — taki tam chudzina.

LAWDAŃSKI.

Chudzina nie chudzina, każdy jak przystał do dworu, to chudzina był. I Hans i Franz i...

MAŁASZKA.

Ale pan Lawdański nie...

LAWDAŃSKI.

No, ja...

MAŁASZKA

Oj, nie! Pan Lawdański to już był taki zawsze harny molojecz — oj, taki harny i krasny, jak mak...

LAWDAŃSKI

(śmieje się).

To żaba!

MAŁASZKA

(chwytając go za rękaw).

Daj!

LAWDAŃSKI

Co?

MAŁASZKA

(pokazując guzik przy liberji).

To!

LAWDAŃSKI

(śmiejąc się).

Masz!

(Urywa guzik i daje Małaszcze. Małasza wydaje okrzyk, wpada z guzikiem w środek gromady i zaczynają tańczyć w sześć par. Błyskawice, grzmoty).

OPANAS.

Ostawcie tańczenie! wracajmy do chałupy — Bóg się gniewa...

SEMEN BOLACZKA.

Rozum ostawili a szau nabrali!

SCENA XI.

CIŻ SAMI, JANEK.

26

JANEK

(wpada zdyszany).

Gdzie Hans? gdzie Franz?

(Taniec ustaje. Coraz silniejsza burza).

Co się stało?

GROMADA.

JANEK.

Nieszczęście! Panienska kończy, leków nie-
ma, do miasta trzeba w mig!

(Uderza piorun).

GROMADA

(przerażona).

Hospod Boh! hospod Boh!

JANEK.

Jaśnie pani bez duszy leży, a jaśnie pan
płacze. Te łotry, Hans i Franz, poszli i staj-
nię na skobel zamknęli...

OPANAS.

A Jakób, furman?

JANEK.

Bez pamięci pod krzakiem berberyzu leży.
Już pije od Zielonych. Jabym pojechał, Bóg
widzi, alem już stary i do niespokojnych nie
spodobny. Kucharz zachorzał od rana, bo się
pańskich ślimaków objadł a kuchciki, to dro-
biazg, w taką słotę pojechać ani weź. Hiero-
nima wysłali na drugą wieś po pijawki i wró-
cił z niczem.

(Słychać grzmot).

BENEDIO.

Jaby nawet za guldena na taki czas przez
las nie worywał.

JANEK.

Pani kazała pytać: może kto z parobków
jechać chce. Zapłacą...

UŁAS.

A nam co do nich? Mnie życie miłe. Jakby
ja zabolął, toby jaśnie pani po nocy i burzy
nie leciała za lekami dla mnie.

JANEK.

Ależ zapłacą!

UŁAS.

Ja ta na ich grosze nie łakomy! Dobrego
mi tam nic nie zrobili a przeszłego roku to
bez powodu krowę zabrali, bo niby im ko-
niczynę zeżerała.

JANEK.

Panienka umrze!

NAŚCIA PAZIORYCHA.

Ta niech umiera; u nas tyle doczek pomarło
a dwór ledwo na domowinę cztery deski dał.

JANEK.

Jaśnie pani mówiła, że ten parobek, co leki
przywiezie, to na miejscu Hansa, albo Franza
ostanie.

SYCZ.

Niech ta, my nie łakomi na takie wywyż-
szenie...

PAROBCY.

Tak, tak, my nie łakomi!

(Słychać grzmot).

MAŁASZKA

(gorączkowo).

Gdzie Julek? Julek!

(Biegnie w stronę lasu).

Julek!

CHIMKA.

Hospod, zmiłuj się! Ta nawiedzona w las poleciała! Siarczysty ją roztrzaska!

JANEK.

Ach, miły Boże! Gdybyście wy, ludzie, widzieli panienkę, tak, jak ja, od małego dziecka... Zawsze to było jak przylepeczka, dobre, grzeczne. A teraz to tam zajrzeć, nie można, bo aż mnie, staremu, do ocz łzy biją potokiem! No, namyślcie się! Ułaz! ty najwarszty z całej wsi, chodź ze mną, siadaj na konia a jutro już we dworze miast Franza będziesz...

UŁAS.

Ja na waszych koniach jeździć nie potrafię a u nas takiej zdrowej szkapy a silnej w nogach niema.. Potem burza, aż lśni w oczach, ja przez las nie pojadę, bo tam didko na rozputajach szaleje.

GROMADA

Prawda! prawda!

(Słychać grzmot).

SCENA XII.

Ciż, MAŁASZKA, JULEK.

■ ■

MAŁASZKA

(biegnie z lasu, ciągnąc Julka)

Julek! Julek jest! on pojędzie!

JANEK.

Tyby chciał?

JULEK.

Na kolonję biegłem, ale wicher w lesie szaleje, drogi dopytać nie mogłem... Panienka kończy! O! Boh mój, Boh!

JANEK.

Ty dobry chłopak, Julek...

OPANAS.

Nie jedź, Julek, w taki czas marnie skończysz, didko cię porwie... lisowyk zatumani...

GROMADA.

Tak, tak, przepadniesz!

MAŁASZKA

(chwytając się gorączkowo Julka).

Ty nie wierz, Julek! oni wszyscy dernowaci! Ty jedź! ja chcę! ja każę! Słysz! jak ty pojedziesz a wrócisz, to za lat trzy zaswatać mnie możesz.

JULEK.

Ciebie, Małaszką, ciebie!...

MAŁASZKA

(j. w.)

Ty, Julek, na miejscu Franza masz być... mówił Janek! Ty będziesz pan, jak ten Niemiec w krasnej odzieży... Ty jedź — nic ci nie będzie! Tyś z wisielakiem dobrze razem grał — on ci nic nie zrobi...

JULEK.

Panienka chora...

JANEK.

Chodź!

(Uderza piorun).

GROMADA.

Ostań, Julek! ostań!

MAŁASZKA.

Jedź, Julek! jedź...

JULEK.

Bóg z wami! pojedę!

(Wybiega z Jankiem).

OPANAS.

Zatumanił, czy co?... Świat się pali wokoło
a ten chłopak rwie się przez las!

NAŚCIA PAZIORZYCHA.

Na przepaść leci! na przepaść!

SEMEN BOLACZKA.

Będzie, co Bóg da.

MAŁASZKA.

Ach, Boh! żeby wrócił a lek przywiózł, toż-
by była złota dola...

(Grzmoty i błyskawice. Po za płotem na koniu przelatu-
je Julek. Gromada klęka).

GROMADA.

Hospod, nad sierotą zlituj się!

MAŁASZKA

(podnosząc ręce).

Julek wracaj, albo... kark złam!

(Piorun uderza).

Kurtyna zapada.

AKT DRUGI.

Scena przedstawia bardzo elegancki zamknięty salonik. Ściany błękitne, meble i portjery tegoż koloru. Pianino, etażerki z kwiatami, stoliczki do robót, fotel na biegunach na stołach drobiazgi.

SCENA I.

MARTA, MADMOISELLE LATOUR.

(Za podniesieniem zasłony Marta siedzi przy pianinie i gra przegrywkę, potem śpiewa przy akompaniamencie):

22

Na mem okienku kwiatek usycha,
Bez blasków słońca umrze.
W sercu mem wstaje tęsknota cicha,
Snać umrzeć tak i mnie!
O, sny me cudne! o, mary złudne!) bis.
Nie dla mnie szczęście, nie!)
O! jak mi smutno u życia proga!
Już w śmierci patrzę mgłę;
Nikt mi już w życiu nie powie: „droga!”
Nikt nie pokocha mnie!

I łkam boleśnie na jawie, we śnie,)
Nie dla mnie szczęście, nie!) bis.
(Po skończonym śpiewie, Marta pozostaje chwilę zamyślona przy pianinie).

MAD. LATOUR

(lekki akcent francuski).

O czym myślisz, moje dziecko?

MARTA

Mizel, ile ja mam lat?

MAD. LATOUR.

Matka mówi, że siedemnaście.

MARTA

To źle, Mizel, źle bardzo...

MAD. LATOUR.

Dlaczego? Chciałabyś być starszą?

MARTA

(wstaje od pianina i siada na fotelu).

Wolałabym mieć trzydzieści lat; suchotnicy, gdy dojdą lat trzydziestu, mogą żyć jeszcze długo.

MAD. LATOUR.

Znów zaczynasz swoje gorączkowe brednie. Ależ, ma cherie, jest to czyste przywidzenie, ty masz najzdrowsze płuca.

MARTA.

Daj spokój, Mizel! Nie zmuszaj mnie, abym

przed tobą komedię grała. Mnie to tak męczy, że przed mamą i papą udawać ciągle muszę. Nie chcę ich martwić; niech myślą, że jestem zupełnie zdrowa, gdy tymczasem... O! Mizel! to okropne!

MAD. LATOUR.

Biedne dziecko moje! Wierz mi, tu twoja wyobraźnia gra tylko główną rolę — wyglądasz tak ładnie.

MARTA.

Ach, moja droga, żartujesz chyba! (bierze lustro ze stolika). Widzę aż nadto dobrze swą zapadniętą twarz i mogę śmiało powiedzieć: la comedia e finita!... (Chwila milczenia). Mizel, czy są jeszcze słodowe cukierki?

MAD. LATOUR

(zaglądając do bombonierki).

Jest kilka... ale dziś hrabia Jerzy przywiezie kilka paczek.

MARTA.

Ach, tak! hrabia Jerzy... (po chwili). Mizel, czy on mnie kocha?

MAD. LATOUR.

Hrabia?

MARTA.

Tak!...

MAD. LATOUR.

Dlaczegoż nie miałby cię kochać? Jesteś tak dobrą i piękną...

MARTA.

Ale jestem tak słaba... Czytałam w jakiejś książce, że mężczyźni chorowitych kobiet nie lubią. Gdyby się Jerzy miał do mnie zrazić!... I tak ukrywam me osłabienie jak umiem i mogę. Ja go kocham, Mizell...

MAD. LATOUR

(na stronie).

Biedne dziecko! (głośno). Wiem o tem, kochanko. I dobrze robisz. Pan Jerzy jest zupełnie dobrze, partja dla ciebie odpowiednia... jego ułożenie...

MARTA

(wstaje z fotelu i klęka przy Latour).

Nie tak, Mizell! nie tak mów do mnie, proszę cię! O świetnej partji, tytule hrabiowskim i o ułożeniu Jerzego mówi mama a czasem papa — ale ty, moja staruszko, coś mnie na rękach wyniańczyła, coś podczas nocy bezsennych, schylona nad mojem łóżkiem, ratowała mi nędzne istnienie — ty mów mi inaczej o tym, któremu mam się oddać cała, bez podziału, na życie całe, do zgonu! Ja nie wiem, Mizell, dlaczego, ale ja się mego losu boję i zda mi się, że to jakaś przepaść otwiera się przedemną. Jerzy mówi, że mnie kocha; wierzę mu, bo ta wiara — to życie moje i w chwili takiego wyznania daleką jest odemnie myśl o świetności partji lub o hrabiowskim tytule.

MAD. LATOUR.

Sądzę, że i wewnętrzne przymioty pana Jerzego...

MARTA.

Widzisz, Mizel, to dziwne, według mnie, zawieranie małżeństwa. Toć idzie o śmierć i życie, a ja z przyszłym mężem moim dwóch słów, ponad konwenans nakreślonych, zamienić nie mogę... Chciałabym go poznać, zbadać stan jego serca, duszy — trudno! niepodobna! Konwenansel i wiecznie konwenansel... (zamyśla się i kaszle). Mizel, daj mi cukierek!

MAD. LATOUR

(podając).

Masz, moje dziecko!

MARTA.

Jak tu duszno! gdyby okno otworzyć...

MAD. LATOUR,

Nie można, dziecko moje. Już po czwartej — jeszcze jesteś rekonwalescentką...

MARTA

(ze smutkiem).

Prawda! ja zawsze jestem albo chorą, albo rekonwalescentką. Gdzie mama?

MAD. LATOUR.

Pani ubiera się do obiadu. Zapewne niedługo tu z panną kanoniczką przyjdzie.

MARTA.

Mnie do obiadu zejść niewolno?

MAD. LATOUR.

Nie, kochaneczko, mogłabyś się przeziebić — lepiej zostaniemy tu.

MARTA

(uśmiechając się smutnie).

W więzieniu! (po chwili). Mizel, czemu kanarek nie śpiewa?

MAD. LATOUR.

Jakiś smutny. Nie wiem, co mu się stało.

MARTA.

Jemu duszno w tym pokoju — w tej atmosferze lekarstw i balsamów... Otwórz mu klatkę, Mizel, i wypuść go na wolność, proszę cię!

(Mad. Latour otwiera klatkę i wypuszcza kanarka przez uchylone okno).

MARTA.

Poleciał?

MAD. LATOUR.

Och i jak szybko!

MARTA.

Gdyby mnie tak!...

SCENA II.

TEŻ SAME, JANEK.

» »

JANEK.

Jaśnie pan zapytuje, czy jaśnie panienska wstała. Za chwilkę tu przyjdzie.

MARTA.

Powiedz ojcu, że już od godziny jestem ubrana.

JANEK

(całując Martę w rękę).

Och! jaśnie panienko! jakże ja rad jestem, że panienska już chodzi i na twarzy dobrze wygląda!

MARTA.

Mój pocciwy Janku! dużo wam wszystkim przysparzam kłopotu swoim brakiem zdrowia.

JANEK.

Ach, panienko! królewno!... to nasz psi obowiązek służyć i jaśnie państwu dogadzać; ale mnie, przez wzgląd na samą panienkę, żal zawsze za serce chwyci, jak panienska w chorobie legnie. Jan panienkę widział, o taku teńkę! (gest) i niech się panienska nie gniewa... ale ja... ja... panienkę kocham, jakby moją donię, która mi dawno już zmarła. Niech się panienska na mnie starego nie gniewa... proszę pokornie.

MARTA.

Mój Janku, toż nie gniewać się, ale dziękować ci chyba za dobre słowa twoje.

JANEK.

Och, złota panienko! ja wiem, co się komu należy po sprawiedliwości. Ja chłop a panienska moja panil!... Ale to już jaśnie panienki wina — tak nas ośmieliła, że my zawsze z prośbą do panienki jak w dym.

MAD. LATOUR.

Oho! znów coś przeskrobali. No, o cóż to chodzi?

JANEK.

El to marnota, ale to dla biedaków konieczne potrzebne. Polikarp złapał Naścię Pazio-
rzychę, jak sobie chrust w lesie zbierała
a w chruscie było kilka polan z sągu, co go
Jankiel wczoraj ustawił. Odebrał Naści świtkę...
To starczycha, panienko, bardzo biedna; niech
panienka do jaśnie pana przemówi słowo, to
Polikarp wyda świtkę. Naścia stoi tu pod
oknem i zmiłowania czeka. Przyniosła jaj
i kurę. Weźcie, panienko, bo jej będzie przy-
kro, że panienka jej nędzą gardzi.

MARTA.

Dobrze, mój Janie, weź kurę i jajka. To
(wyjmuje ze stoliczka pieniądze) daj Naści i powiedz,
że świtkę dostanie.

JANEK.

Jeszcze coś panienko. U Opanasa zmarła
najmیتka, ta za co pochować niema. Ot, kilka
desek na domowinkę... Tyle teraz tarcic
Szmul wywozi, a po drodze gnije ich nie je-
den dziesiątek. W tym lesie koło kolonji, wie
panienka, gdzie teraz fabryka...

MARTA.

Jakto, Janie? fabryka?

JANEK.

No tak, proszę panienki. Tam Szmul teraz
rąbie i wywozi co najpiękniejsze sosny masz-
towe...

MARTA.

Sprzedał papa? sprzedał las... dlaczego?

JANEK.

Nie wiem, jaśnie panienko.

MAD. LATOUR.

Janek się myli. Przejeżdżałam tydzień temu
do kolonji — ani śladu traczów lub żydów.

JANEK.

Bo oni tam w głębi i cicho to robią a przed
okiem ludzkim się tają. Od pola i drogi to
las cały stoi jak mur a we środku... Ale co
tam gadać po próznicy... Ot marnieje, topnie-
je i tyle.

MARTA

(na przodzie sceny).

Słyszysz, Mizel, las papa znów sprzedał.
To straszne! I płynie wszystko jak woda; jak
ja widzę tę ruinę, która zagraża lada chwila
upadkiem! Ja czuję tę nędzę, którą jedwab
pokrywa... Mizel, ja jestem bardzo nieszczę-
śliwa!...

MAD LATOUR.

Nie płacz, Maciu! Ty wiesz, jak wszelkie
wzruszenia ci szkodzą...

MARTA,

Czyż nie lepsza śmierć, niż takie życie?...

JANEK.

Och! jaśnie panienka płacze?! O, panienko!
Bóg mnie skarże, jeżeli chciałem wam żalność
uczynić! Ja myślał, co panienka także wie
o tem i dlatego mej żalności ulżył; bo mnie to
także boli, jak widzę żydów szarpiących te

szumiące chojny moje... Ja też chłop, panienko, to mnie bór drugi dom. Teraz żyd bór zabiera i mnie sadybę moją rozwała. O, ciężki los! pokaranie na starość przyszło...

SCENA III.

CIŻ SAMI, WARKA.

■ ■

WARKA

Jaśnie pan hrabia przyjechał.

MARTA

(uradowana).

O, Mizell jak to dobrze, że on przyjechał — chodźmy...

MAD. LATOUR

(powstrzymując ją).

Kochanko, nie możesz wychodzić z pokoju...

MARTA..

Prawda! A więc czemuż on tu nie przychodzi?

WARKA.

Jaśnie pan jest w gościnnych pokojach. Przebiera się.

MARTA.

Ach, prawda! konwenanse! Chodź Mizel, poprawisz mi włosy. Gdybyś mnie jako inaczej uczesała, bo w tem uczesaniu jestem jeszcze mizerniejsza.

MAD. LATOUR.

Chodź, spróbujemy... Może różę we włosy wepniesz?

(Marta i mad. Latour wychodzą).

JANEK.

Biedna gołąbka!... Aż serce się ściska pomysleć, komu ją za żonę dadzą!

WARKA.

Pan Janek by nie tumanił! Pan hrabia aż gładko patrzeć, taki wertki chłop. Panienka będzie dobrą miała dołą za takim królewiczem.

JANEK.

Oj ty durnal ty dużo wiesz! Janek stary już i dużo widział. Ja ci mówię, że pan hrabia to sużennyj dla naszej panienki! (ogłąda się). On chytry jest na dobytek — o zapomogę panny więcej dba, jak o nią a jej głowę tumani i o miłości rozpowiada. Co mi to za pan hrabia! taki biedak, że aż w pięty się bije. Ot, didko ich oplątał, żeby takiego anioła dawać na taką niewolę.

WARKA.

Jan niepotrzebnie jakieś osnowy rozkłada... Bóg ich przysądził sobie i już się nie rozejdą. To już taka Boża wola! Ot jak i naszych. Ot, Julek dziś pojął Małazkę... Dobrze to starzy mówią: sązonego to i koniem nie objedziesz.

JANEK.

Także do tego przystąpiła! Dziewka nie-

pocziwa, latawica, będzie mu złą młodycą.
Byłaś na dziewiczym wieczorze?

WARKA.

Byłam, ale nie zabawiłam długo, bo Mizel
kazała mi wracać. Karowaj piękny nad po-
dziw a kwitków i świeczek co niemiara. Ale
wiecie, co się stało? Jak parobcy wikę przy-
nieśli do izby i, jak się godzi, Julek przywią-
zał swoją kalinę i owies, Małaszka wstaje
z pokuty i idzie do stoła. Prydanki śpiewają—
a tu Małaszka wikę przewraca na świeczki
i całe się palą. Tak ich bukiety zgorzały
a śwityłka mówiła, że to zły znak...

JANEK.

O, zły znak!...

WARKA.

Julek, choć sierota, mógł inną dziewczę za-
swatać. Małaszka urodę ma, ale niepocziwa
a chytra jest i wysoko się obnasza. Ani do
niej przystępuj! Ot, musiała go oczarować.
Ona jeszcze jak mała była, to czysto wiedźma
po rozputajach latała a brzyczała. Nigdy jej
w sadybie nie było, zawsze w sadzie pode
dworem siedziała. Słyszę, mają z korowajem
do dworu przyjść. Ona się napiera, ta Julek
ją przywiedzie...

JANEK.

Ot, to nie nasza, to czysta odmiana — ta-
kie to harde a złe. Boże daruj, jaby się jej
bał, żeby mnie nie zabiła. Złe oczy ma...

(Warka wychodzi).

SCENA IV.

JANEK, JAŚNIE PAN, SZMUL.

22

JAŚNIE PAN.

Gdzie panna?

JANEK.

Ubiera się, jaśnie panie.

JAŚNIE PAN.

Dobrze, odejdź! (Janek chce odejść). Ale... ale...
jak Szmul przyjdzie, nie wpuszczaj go pod
żadnym pozorem! Gdzie Julek? Zawołać go!

JANEK.

Julek, jaśnie panie...

JAŚNIE PAN

(porywczo).

Zawołać! Do miasta jechać musi!... Przysłać
go tu do mnie.

JANEK.

Dobrze, jaśnie paniel

(Odechodzi).

JAŚNIE PAN

(sam).

Żeby tylko Marta zbytnich ceregieli nie ro-
biła. Ślub musi się odbyć jaknajprędzej. Indult
mam. Nie można ani chwili zwlekać... Mają-
tek ginie — czuję, że tonę! Zapis Hadenowej
uratuje mnie. Marta do chwili pełnoletności
zostaje pod moją opieką, pod moją kuratelą;
płacić im będę procenta. Kapitał wydzwignie
mnie z toni i zwróć im go w całości. Od

córki pożyczyć mogę... A zresztą... vogue la galere!

SZMUL

(delikatnie odsuwając parapetowe drzwi).

Z przeproszeniem jaśnie pana, czy mogę...

JAŚNIE PAN

(z wściekłością).

Jak śmiesz, judaszu jeden, pokazywać się tutaj? Czy nie wyrzuciłem cię przed chwilą?

SZMUL

(j. w.).

Nu! jasny pan mi zrobił więcej — ząb mi nawet wybił... Ale niech jaśnie panu to idzie na zdrowie! Szmul mścić się nie będzie... (próbując wsunąć jedną nogę do pokoju). I choć jest napisane...

JAŚNIE PAN

(j. w.).

Jak śmiesz tu wchodzić, oszuście jakiś!

SZMUL

(cofa się).

Niech jasny pan krzyczy. Krzyk zdrów jest, bo przez krzyk to lżej na sercu jest. Ja to wiem. A jaśnie pan wie, że stary Szmul dobra jaśnie pana pragnie...

JAŚNIE PAN.

To dobro, łotrze jeden?! To dobro — fałszywy klejm mieć i po nocy drzewo klejmować?...

SZMUL.

Aj waj! ktoby miszłał, co to prawda jest!

Jaśnie pan nie wie, kto to złodziej jest i jaśnie pana kradnie. To nie Szmul, nie Dawid, nie Ajzyk, ale chłopcy, ale baby, ale sam! leśnicze... Ot, niech jaśnie pan się zapyta, czy Polikarp baby wczoraj w lesie nie złapał a świtki z grzbietu nie zdarł... Że tam biedny żyd jaką sośninę wywiezie, to zaraz gwałt i wrzask a jak baby las roznoszą w fartuchach... (wsuwa się do pokoju) to jaśnie pan nic nie mówi. Ale Szmul jest i pilnuje pańskiego majątku, bo Szmul jasnego pana na rękach nosił i maka-gigi na Hamana przynosił.

JAŚNIE PAN

(łagodniej).

Ty stary złodziej jesteś, ja cię znam...

SZMUL

(kłaniając się).

Nu, to na zdrowie jasnemu panu! niech mnie zna! Ja się tylko chciał spytać, czy Ben może sobie studnię wykopać koło karczmy?...

JAŚNIE PAN

(z wściekłością).

Ben znów tam siedzi? Kto mu pozwolił brać tę karcznię? Ja nie chcę, żeby on koło kolei był... Ja tę arendę oddam innemu, rozumiesz?!

SZMUL

(cofając się za drzwi).

Nu a komu?... Z naszych nikt nie weźmie a katolik z przeproszeniem zdechnie z głodu, bo to takie miejsce, że tylko żyd tam siedzieć może...

JAŚNIE PAN.

A tom ładnie się ubrał! Już sześciu koniokradów mam na karku a teraz siódmy mi włoży!

SZMUL

(za drzwiami).

Czy to źle jaśnie panu z nami? Czy kiedy choć raz konie zginęły?...

JAŚNIE PAN

(w najwyższej pasji).

Co? Jakby mi koń który zginął, to posyłam po ciebie i w łeb ci palę, jak psu!

SZMUL

(z flegmą, wsuwa się do pokoju).

Jaśnie pan tego nie robi, bo zabić — to nie ząb wybić; a potem, ja bym nie przyszedł. I jeszcze co jaśnie panu powiem, że jak się chce kogo zabić, to trzeba uciec na ten czas a możeby jaśnie pan czasu nie miał...

JAŚNIE PAN

(śmiejąc się).

Ha! ha! ty nie taki, Szmul, prawda?

SZMUL

(włażąc zupełnie do pokoju).

Nu, jak się jasny pan śmieje, to już dobrze. Szmul wie, że za tego zęba to dostanie jego najmłodszy syn tę arendę. On jaśnie panu dobrze zapłaci, bo to bardzo rzetelny i uczciwy żydek. Zresztą, gdzie się to jaśnie panu kłopotać i arendarza szukać, kiedy gotowy jest i już dobrze nauczony...

JAŚNIE PAN.

A tak, nauczony kraść! Ja wiem, że twoi synowie to jeszcze lepsi, niż ty!

SZMUL.

Nu a co my jaśnie panu ukradli? My od jaśnie pana nie żyjemy z arend, żebym tak zdrow był! Ja chciałem co innego jaśnie panu powiedzieć... Ten Smotrycki w Chabarówce, to kapcan jest; on dzierżawy nie płaci. Ot, dziś termin — a gdzie on jest? Jego niema, bo on i pieniądze nie ma. Jaśnie pan co z Chabarówki ma? Nic... A Szmul ma delikatny rozum i krzywdy pańskiej nie chce. Niechby jaśnie pan Chabarówkę w dzierżawę oddał Jankłowi. To mądry żydek i zawsze wszystko zapłaci!

JAŚNIE PAN.

Aha, żydzie! mało ci moich karczem? zachciewa ci się jeszcze dzierżawy? Patrzcie go, jaki mi skory! Ja nie chcę żydowskiego gospodarstwa, rozumiesz?!

SZMUL.

Nu! co to jest niby żydowskie gospodarstwo? Żyd pięknie zasieje, zaorze i pieniądze zawsze jaśnie panu da.

JAŚNIE PAN.

Ziemie mi wydusisz jak cytrynę...

SZMUL.

Owa! ziemia! to ci rarytna rzecz! — ona będzie zawsze ziemia! A potem, czy to jasna córka? albo, z przeproszeniem, jasna żona?

JAŚNIE PAN

(na stronie).

Ma rację! (głośno). No, to już później zobaczymy. A teraz dawaj pieniądze!

SZMUL.

Na te lasowe to jutro czas, bo jutro termin. A niech jasny pan każe mi jeszcze sto pięćdziesiąt sosen masztowych dać, bo się przez pomyłkę krzywe pościłało.

JAŚNIE PAN,

Przez pomyłkę? Sto pięćdziesiąt sosen! A to złodzieje! jak oni mnie kradną!

SZMUL

(dobywa pugilaresu)

A to arenda (wyjmuje stos kwitów i kładzie przed jaśnię panem) i jeszcze czternaście florenów i pięćdziesiąt centów.

JAŚNIE PAN

(wściekły).

To? Cóż to jest?

SZMUL.

Co ma być? Kwity na wódkę, co dawał jaśnię pan i pan rządca. Ja u pana rządcy był, on przejrzał i powiedział, co wszystko rzetelnie jest. Ale jak jaśnię pan nie wierzy, to niech jaśnię pan przejrzy.

JAŚNIE PAN.

Idź do diabła!... Ja nie mam czasu na przeglądanie. I to tak co kwartał mnie kierują...

(Bierze kwitki i wrzuca do kominka, rozsypując po podłodze, sam staje tyłem do kominka. Szmul manewruje tak, aby się dostać do leżących kwitków, które, mówiąc, zgarnia i chowa do kieszeni).

SZMUL.

Niech tylko wszyscy jaśnię pana tak kierują, jak ja... Albo z tym lasem, proszę jaśnię pana, czy to nie czysta dla nas strata?..

JAŚNIE PAN.

O, ja wiem! wy zawsze tylko tracicie a my na was zarabiamy.

SZMUL.

Żeby to jeszcze jaśnię pan mojemu Chaimkowi chciał werszki sprzedać... onby zaraz za kontraktował.

JAŚNIE PAN.

Nie chcę.

SZMUL.

Jaśnię pan będzie litościwy dla rodziny Szmula. Tyle mam dzieciów, to o każdego muszę dbać.

JAŚNIE PAN

(śmiejąc się).

Czemu ty, żydzie, tyle dzieciów miał? Czy ja ci kazał?

SZMUL.

(kuca przy kominku i zbiera kwity).

No! niech się jasny pan zdrów śmieje! Szmul się nie pogniewa. Szmul dobry a jaśnię pana kocha jak syna i tylko jego dobra pragnie.

SCENA V.

CIŻ SAMI, JULEK.

■ ■

JULEK.

(wchodzi w ubraniu dzokieja — kurtka ponsowa, blacha na ramieniu — staje w głębi przy drzwiach).

Jaśnie pan wołać kazał?

JAŚNIE PAN.

Dobrze, żeś przyszedł. To ty wczoraj w lesie złodziei złapał? Powiedz, jak to było?

SZMUL.

(cicho, podsuwając się do Julka).

Nie gadaj nic... ja ci na gospodarstwo krowę dam.

JAŚNIE PAN.

Szmul! odstęp od niego i nie szwargocz. Powiedz, Julek, jak to było?

JULEK.

Ot, jaśnie panie, opowiem poprostu. Szedłem nocką koło mogiły wisielaka a księżyc świecił jak na dłoni...

SZMUL.

Niech się jego jaśnie pan zapyta, co on po nocy w lesie robi... może i on kraść chodzi.

JULEK

(gwałtownie).

Ty milcz, żydzie! Ja do lasu grać chodzę; ja nie złodziej — nie żyd!...

JAŚNIE PAN.

No! cicho, ty harda duszo!

JULEK

(spokojnie).

Idę drożyną, aż tu naraz za krajem widzę Ajzyka i Arona...

SZMUL.

To nieprawda! Niech jemu jaśnie pan nie wierzy, on tak cygani. Jego znają, on szijte-wate, on warjat — jemu się przywidziało... on z djabłem trzyma... (Na stronie). Ja ci tego nie daruję, ty... chamskie kopyto!

SCENA VI.

CIŻ SAMI, MARTA, MADMOISELLE LATOUR.

■ ■

MARTA

(całując ojca).

Dzień dobry ci, papo! No! dziś możesz być ze mnie zadowolony. Choć blade wyglądam, ale jestem zdrowa i silna... choć mury łamać, jak to mówił doktor Likunio... Dzień dobry, Szmulu! Coś taki wystrojony? atlasowy chałat!...

SZMUL.

Wolne żarty, jaśnie wielmożna panienko! to mój zwykły ubiór... a zresztą, ja dziś przyszedł się dowiedzieć o zdrowie panienki. No, chwała Bogu, panienka wygląda jak róża!

MARTA

(śmiejąc się, do mad. Latour).

Słyszysz, Mizel... jak róża... Ale teraz idź ztąd, Szmulu. Mama może nadejść; a ty wiesz, że nie jesteś u niej w łaskach.

SZMUL.

Ja sobie, z przeproszeniem panienki, wyjdę tak, jakem przyszedł. (Do jaśnie pana). Nu, a co będzie względem Bena? On tam już siedzieć może, prawda?

JAŚNIE PAN
(porywczo).

Niech mi się wynosi, ani słyszeć o nim nie chcę! Ja komu innemu karczmę dam...

SZMUL.

On już tam mieszka — nu, to jak będzie?

JAŚNIE PAN
(j. w.).

Niech się wyniesie! bo ja tam z nim każe koniec zrobić... Słyszysz, ty herszcie!

SZMUL
(uciekając za okno).

Niech jaśnie pan zdrów krzyczy!... Krzyk, to samo zdrowie!...

(Chowa się).

MARTA

(śmiejąc się smutnie).

Biedny papo! oplątany w sieć!

JAŚNIE PAN.

A to skaranie Boże!

SZMUL

(pokazując się w oknie).

Ja powiem Chaimowi, co jaśnie pan mu werszki dał. On jutro w las wjedzie.

(Chowa się).

JAŚNIE PAN
(w pasji).

Niech się nie waży, bo mu w łeb palnąć każe!

SZMUL
(pokazuje się).

Tego jaśnie pan nie robi, bo za to jest turma. A werszki będągniły, bo ich nikt nie weźmie. Ja tu wszystkie zasiedział.

JAŚNIE PAN
(j. w.).

Odczep się odemnie, ty pijawko!

SZMUL.

Dziękuję jaśnie panu za mego Chaimka i Bena...

JAŚNIE PAN.

Julek! wyrzuć tego utrapieńca, niech mi się na oczy nie pokazuj!

(Julek robi kilka kroków, Szmul cofa się gwałtownie)

SZMUL.

Nie potrzeba, już idę! Aj waj! jaki mi stoj-kowy...

MARTA
(do Julka).

To ty, Julek? Mówiła mi Warka, że dziś twoje wesele?

JULEK.

Tak, jaśnie panienko.

MARTA

(zainteresowana).

Cóż, twoja narzeczona ładna?

(Jaśnie pan siada przy biurku i pisze, nie słuchając rozmowy Marty i Julka).

MAD. LATOUR

(cicho do Marty).

Ależ, Maciu, to niewypadał

MARTA.

Pozwól, Mizel... ten chłopak ma prawo do mojej wdzięczności. Pamiętasz, że uratował mi życie? Ja byłam bez przytomności, ale później mi opowiadano, że w najstraszniejszą burzę do miasteczka po lekarstwo pędził. (Do Julka). Macie chatę? gospodarstwo?

JULEK.

Nie, jaśnie panienko. Małaszka jeszcze musi przy matce ostać, bo ja własnej sadyby nie mam. Może kiedyś, jak wysłużę jaśnie państwu, chatę dadzą. Teraz nie mam nic.

MARTA.

Twoja narzeczona ładna? Słyszałam o niej.

JULEK.

Och, najpiękniejsza z całego siola!... To Małaszka, Małaszka, córka Marty Chimki. W zapomogę nie bogata, ale urodziwa, ach, piękna taka...

(Urywa).

MARTA

Czemu nie kończysz? Miłujesz ją bardzo?

JULEK.

Czy ja ją miłuję, jasna panienko? Toć bez niej niema życia dla mnie, bo ona od małego lgnęła do mnie a za mną chodziła. Ja ją miłuję, panienko, bardzo... bardzo...

MARTA.

A ona miłuje ciebie?

JULEK.

Ona? (pocichu). Nie wiem, panienko.

JAŚNIE PAN.

Julku! pojedziesz do miasta i oddasz sprawnikowi ten list. Powiesz mu...

MARTA.

Ależ, papo! Wszak to dziś jego wesele. Nie czyn mu przykrości, pošlij kogo innego...

JAŚNIE PAN.

Wesele? a prawda!

MARTA

(klękając przy ojcu).

Papo! ja mam do ciebie prośbę. Każ tym ludziom tu przyjść; ja chcę zobaczyć, jak oni od święta wyglądają. Mój papo!

JAŚNIE PAN.

Ależ, Maciu, szalona jesteś. Pomyśl tylko, co mama na to powie?

MARTA

Ach, ja ją tak ślicznie prosić będę!

MAD. LATOUR.

Ależ, dziecko, do czego to podobne!

MARTA.

I ty, Mizel, przeciw mnie? Niepocziwał Papo! papeczko! ja się tak nudzę w tem zamknięciu; to będzie dla mnie, jakbym była w teatrze.

JAŚNIE PAN.

Ha! jak chcesz koniecznie... (do Julka). A czemu ty przed weselem do dworu z młodą nie przyszedł?

JULEK.

Byłem, jaśnie panie, i ona była, ale... (cicho) jaśnie pani wpuścić nie kazała.

JAŚNIE PAN
(do Marty).

Widzisz! no i cóż teraz będzie? Mama się pogniewa...

MARTA.

Już ja przeproszę. Idź, Julku, na wieś i przyprowadź pannę młodą i družków i bojaryna i śwityłki.

JAŚNIE PAN.

Martol a ty skąd to wiesz?

MARTA.

Mnie Warka mówiła. Widzisz, papo, w samotności mojej lud studjuje. No! no! nie marszcz się... to modne teraz.

(Julek wychodzi środkiem).

JAŚNIE PAN.

Maciu teraz o czem innem chcę z tobą pomówić.

MARTA.

Słucham cię, papo!

JAŚNIE PAN.

Hrabia przyjechał — pewnie wiesz o tem?

MARTA.

Słyszałam tylko. Do tej chwili go nie widziałam. Nie spieszy się powitać. Widocznie nie bardzo stęskniony.

JAŚNIE PAN.

Nie przesadzaj, Maciu. Życie trzeba brać jak jest. Poematów niema, chyba w książkach. Chodzi o przyspieszenie twego ślubu. Chciałbym, aby się odbył za kilka tygodni.

MARTA.

Jakto? tak prędko?

JAŚNIE PAN.

Sądziłem, że cię to ucieszy. O ile mi się zdaje, sprzyjasz hrabiemu. Powinnaś więc być mi wdzięczną za przyspieszenie tego terminu.

MARTA.

Ależ moje zdrowie...

JAŚNIE PAN.

Weźmiesz ślub tu w pokoju — każe wam urządzić ołtarz. Widzisz, Maciu, nie czyni mi

przykrości, odwlekając dzień ślubu. Mam w tem ważne powody, to musi być koniecznie.

MARTA

(patrzy na ojca, po chwili milczenia).

Dobrze, ojczel! Skoro tak być musi, niechże będzie.

JAŚNIE PAN

(całując ją).

Ty jesteś dobre i pocziwe dziecko. A teraz spójrz weselej na świat. Zobaczysz, jak będziesz szczęśliwa.

MARTA

(machinalnie).

O tak, będę szczęśliwa! (po chwili). Ty, ojczel, las sprzedałeś? prawda.

JAŚNIE PAN.

Ty wiesz o tem, Marto?

MARTA.

Tak, ojczel, wiem. Źle zrobiłeś, sprzedając las — to początek ruiny...

JAŚNIE PAN.

A twoja wyprawa, dziecko? A przecież trzeba dać cośkolwiek na zaliczkę twego posagu. Zresztą... nie masz czem się martwić... „Był las — nie było nas, nie będzie nas — będzie las“.

MARTA.

Ach, tak! wyrośnie nowy las! ale kiedy? kiedy?

SCENA VII.

CIŻ, JAŚNIE PANI, KANONICZKA HADEN, PANI ELEONORA, LAWDAŃSKI w ubiorze kamerdynera, frak czarny, otwiera drzwi).

22

HADEN.

Bonjour, Maciu! Przychodzimy osobiście zapytać, jak się ma la belle fiancée naszego prince charmant?

ELEONORA.

Raczej możnaby powiedzieć la belle an bois dormant... bo tu wszystko tak cicho comme dans un cloître.

MARTA

(z przymusowym uśmiechem).

Raczej comme dans un hôpital, kochana pani. Cóż począć — i dla słabych miejsce na ziemi być musi.

JAŚNIE PANI.

Wiara cuda czyni. Za mało się modlisz, Maciu.

MARTA.

Mamo! wierz mi — sił mi brak.

(Panie siadają, mad. Latour na drugim planie).

JAŚNIE PANI.

Mizel, proszę cie, daj Maci jaki ciepły szal — tu trochę chłodno.

(Mad. Latour wychodzi).

ELEONORA.

Mizel — to bardzo oryginalne imię, czy nazwisko. Cóż to prezentuje?

MARTA.

To ja, będąc dzieckiem, nie mogłam wymówić słowa „mademoiselle” i moja Latour przez skrócenie Mizelcią została.

JAŚNIE PANI.

Osoba dziwnie pobożna. W Sacré Coeur chowana. Przeszła życie bez skazy.

ELEONORA

(do siebie).

Łatwo jej to przyszło. (Głośno). Czy hrabia przyjechał?

HADEN

(do siebie).

Już ją korci, tę kokietkę. (Głośno). Zdaje się, że i Kazio także.

JAŚNIE PAN.

Tak, obaj zmieniają toaletę, za chwilę przyjdą.

ELEONORA.

Ciekawa jestem, czy pamiętał o moich empletach. Nieoceniony ten hrabia, tylko trochę roztargniony.

HADEN.

Jak każdy zakochany.

JAŚNIE PANI.

Ja prosiłam o flakonik wody świętej Hermenegildy. Woda ta ma moc nadzwyczajną, a tylko Sarcanki posiadają ją niefałszowaną.

JAŚNIE PAN

(ironicznie).

Czy gwarantują za jej prawdziwość?

JAŚNIE PANI.

Nie drwij, Pawle. Boli mnie twoja niewiara, ale sądzę, że Bóg się zlituje i oświecić cię raczy...

JAŚNIE PAN.

Wątpię bardzo.

ELEONORA.

Nie wiedziałam, że ateusz z pana. Choć to teraz zaczyna być modne. Miasto nam nasyla te niezdrowe prądy. Dawniej ludzie z towarzystwa przynajmniej wyznawali jawnie przekonania swoje.

JAŚNIE PAN

(siadając obok Eleonory).

Oho! i pani coś mi się starzeć zaczynasz.

ELEONORA.

Gdybym miała sakramentalną a tak straszną trzydziestkę, obraziłabym się na pana. W dwudziestym piątym mogę śmiało zapytać, z jakich to strasznych symptomatów wysnułeś to spostrzeżenie?

JAŚNIE PAN

(ciszej).

Bo robisz się pani bigotką a tylko stare kobiety są bigotkami.

ELEONORA

(ciszej, śmiejąc się).

Méchant! et madame votre femme?

JAŚNIE PAN.

Achl to moja żona, ça ne compte pas?

HADEN
(do jaśnie pani).

Tak, droga Olimpiu! najgłówniejsze kwestje już załatwione. Jerzy i Macia w dniu ślubu otrzymają cały mój kapitał, który się zapisze na imię Maci. Pojmujesz dobrze, że nie mogę obdarzyć nim otwarcie Jerzego. Ale ty rozumiesz mnie, wszak prawda?

JAŚNIE PANI.

Bądź spokojna. Dla nas i dla świata hrabia pozostanie twoim siostrzeńcem. Skoro twoja siostra tak szlachetnie przyjęła go za swe dziecko a twój szwagier zgodził się — nie mamy powodu rozgłaszać przed światem to, co wszyscy ignorują zupełnie. Bądź bez troski o szczęście twego dziecka i powracaj do Krakowa, aby w ciszy pokutować dalej za błąd, który popełniłaś. Grzech twój jest ciężki, ale łaska Boża niezmierzona.

HADEN.

El moja Olimpiu! Wolałabym ja więcej popełniać takich grzechów... Ale za późno spadła na mnie ta sukcesja po stryju. Człowiek, którego kochałam a ojciec Jerzego umarł i nie miałam sposobności zostać jego żoną a tem samem matką ze sześciu takich Jerzych. Ale co tam! stało się. Tylko nie sądź znów, abym ciężko pokutowała w tej ciszy. Och, nie! Tytuł kanoniczki nie krępuje mnie bynajmniej. Bywam w świecie a nawet się dekoltuję... Wprawdzie czasem na niektórych rautach jest tak zimno, że mi

to dekoltowanie daje lekki przedsmak pokuty, z tem wszystkim jednak...

SCENA VIII.
CIŻ, LAWDAŃSKI, HRABIA, KAZIO.

□ □

JAŚNIE PAN.

Otóż i nasi podróżnicy!

HRABIA

(podchodzi do jaśnie pani, potem kolejno wita kanoniczkę, Eleonorę, Martę).

Madame! chere tante — mademoiselle!

ELEONORA

(do Kazia).

Ach, comme vous etes change. Doprawdy, spowaźniałeś pan jeszcze.

KAZIO.

To ten herbarz tyle mi czasu zajmuje. Przytem vous avez, moi rodzice chcą, abym się starał o szambelanję. Papiery w nieporządku, alors...

HADEN
(do Jerzego).

Że nie w porządku, to wierzę. Babka jego była kucharką, prawda?

JERZY.

On dit. (Do Marty). Mademoiselle, oto cały zapas cukierków. Sądzę, że wystarczy. (Lawdański podaje olbrzymią pakę słodowych cukierków).

Najlepszy dowód mej pamięci o pani; wszak
prawda?

MARTA.

Jestem panu wdzięczna! (do Latour). Mizel,
jak on mnie chłodno wita.

MAD. LATOUR

(do Marty).

Zdaje ci się, kochanko. Wobec obcych...

JERZY

(do jaśnie pani).

Pour vous madame, flaszcza z wodą świę-
tej... świętej... (na stronie). Que diable, zapom-
niałem! (głośno). Cette grande sainte, cette
sainte qui...

HADEN.

Skończ, Orciu, bo ci nie idzie.

JERZY

(szukając).

Gdzież mi się podziła taka maleńka fla-
szeczka...

LADWAŃSKI

(podając wielką flaszkę).

Może ta, jaśnie panie?

JERZY.

Justement, tal (podaje jaśnie pani). Służę pani.

HADEN.

Ależ to prowizja. Moja droga, będziesz
mogła się nawet w tej wodzie wykapać...

JAŚNIE PANI.

Schowam ją tylko na nadzwyczajny wy-
padek...

KAZIO

(do Eleonory).

Un blagueur! Przedstaw pani sobie, że on
zupełnie o tej wodzie zapomniał. Jadąc, na
stacji zatrzymał się przed karczmą i kazał
żydowi nalać zwykłej wody. La pauvre da-
me est enchantée! gdyby wiedziała, jak rzeczy
stoja!

ELEONORA

(do Kazia).

Pauvre maman!

JAŚNIE PAN.

Jesteście przynajmniej słowni. To lubię
w młodych ludziach. Zapowiedzieliście swój
przyjazd na dzień dzisiejszy i oto jesteście.

JERZY.

Pomimo kursów, które mnie szczególnie
wabiły ku sobie.

JAŚNIE PAN.

Co słyhać w kasynie?

JERZY.

Nic nadzwyczajnego. Była wprawdzie une
avanture o tego Jacques'a, którego starsi
chcieli koniecznie oddalić, ale my młodszy po-
stawiliśmy się ostro i podtrzymaliśmy kandyda-
turę Jacques'a.

HADEN.

Czy się kto podawał do balotu?

JERZY.

Redaktor gazety.

JAŚNIE PAN.

Wpuściliście go?

JERZY.

Ha! cóż robić! Miał silną partję za sobą.
Powoli kanaljuje się nasze kasyno.

JAŚNIE PAN.

Radby tam zajrzał. Nie byłem już kilka lat we Lwowie.

ELEONORA

(do Kazia).

Gra szła?

KAZIO.

Zapytaj pani Orcia, to jego specjalność.

JERZY.

O! partja niewielka. Kilku z Jass i jeden z Ukrainy.

ELEONORA.

Szczęście służyło?

JERZY.

O! po mojemu — ważyło się chwilami, ale ostatecznie wyszedłem.

HADEN.

A sce?

JERZY.

A, znowu tak dalece...

JAŚNIE PANI

(wacząc flaszkę).

C'est extraordinaire. Woda świętej Hermenegildy ma jakiś szczególny zapach... au direct de l'eau de vie.

HADEN.

Wódka! ale cóż znowul...

KAZIO

(śmiejąc się).

To nic dziwnego...

JERZY

(do Kazia).

Pst... proszę cię!

(Siada koło Eleonory).

KAZIO

(przechodząc obok Marty).

Jakże zdrowie pani? Wygląda pani uroczo!

MARTA.

Dziękuję, czuję się zupełnie dobrze. (Na stronie). Ze mną nikt o niczem nie mówi, tylko o mojej chorobie.

JAŚNIE PANI

(do jaśnie pana).

Proszę cię, mon cherieu, powachaj tę wodę świętej Hermenegildy... C'est extraordinaire, jak ona wódką pachnie.

7 G. Zapolska. „Małazka” (Lektor)

ELEONORA
(cicho do Jerzego).

Dopiero teraz uznajesz za stosowne zbliżyć się do mnie?

JERZY.

Proszę cię, uspokój się, miej takt. Tu, w tym domu, muszę się jeszcze więcej krepować, niż gdziekolwiek indziej. Moja ciotka, oni wszyscy, Marta...

ELEONORA.

Ta suchotnica?

JERZY.

Passe! istota nieszkodliwa.

ELEONORA
(z ukrytą złością).

Nieszkodliwa? Może się jeszcze zaczniesz rozpywać nad jej przymiotami... Och! mam czasem ochotę rzucić się pomiędzy nią i ciebie i wyznać głośno, co mnie z tobą wiąże, wtedy...

JERZY
(prerażony).

Leno! miej rozum! (Na stronie). A to pijawka! oszaleję!

MARTA
(do Mizel).

Wiesz, Mizel, tak mi smutno! tak smutno! Patrz, pani Eleonora znowu zupełnie zaabsorbowała Jerzego... O czym oni mówią?

MAD. LATOUR.

Zapewne pani Eleonora pyta o zdrowie męża i dzieci... tęskni za nimi...

MARTA.

Za mężem? O! nie, Mizel, oni nie mówią o mężu, ręczę ci.

JERZY
(na stronie).

Przywołam do pomocy Kazia, inaczej rady sobie nie dam. (Głośno). Kaziu! pani Eleonora zapytuje się o szczegóły ostatniego smiłjagdu.

ELEONORA
(z pasją do Jerzego).

Ha! zastawiasz się trzecią osobą! Rozumiem, co to znaczy,

KAZIO
(zbliża się do Eleonory).

Ach, Dieu! nic nadzwyczajnego! Jeleniem, jak zawsze, był nieoszaczowany Sender na swym Woltingerze, psami ja i Staś Biński. Gdy Sender ruszył przez Wolę...

(Mówi dalej pocichu).

JAŚNIE PAN
(do Haden).

A więc koniec, wszak prawda? Za trzy tygodnie. Daj pani rękę.

HADEN.

Tapez la dessus! Teraz będę spokojna, widząc tego pocziwego figlarza już w klatce.

JAŚNIE PANI.

Małżeństwo jest sakramentem, nie klatką,
moja droga.

HADEN.

Jeżeli chcesz, niech będzie sakramentalną
klatką. Ale jakże tam ze zdrowiem Maci?

JAŚNIE PAN.

O, wszystko jaknajlepiej. Nigdy nie czuła
się silniejszą.

HADEN.

Mile dziecko — a zatem rzecz ułożona.
Sumę, którą mam lokowaną u Malczewskiego,
podnoszę, a w dniu ślubu oddaję ją pannie
młodej. Chcę stworzyć im byt odrazu niezale-
żny. Pan, jako naturalny opiekun córki,
umieścisz te pieniądze na pewnej hipotece
a procent do chwili dojścia do pełnoletności
wypłacać będziesz. Później zobaczymy. Je-
żeli się Jerzy usatkuje...

JAŚNIE PAN.

Wysokość tej sumy?

HADEN.

Umówiona — trzykroć sto tysięcy reńskich.
Reszta po mojej śmierci. Nie pytam, co ze
swej strony córce dajecie: wiem, że...

JAŚNIE PANI

(słodko).

Pozwól, moja droga. Moja córka wnosi ze
swej strony prawne pochodzenie.

HADEN

(ironicznie).

Z tem wszystkiem przecież możnaby umrzeć
z nędzy, bo legalność czasem procentów nie
daje.

JAŚNIE PAN

(na stronie).

Trzeba zażegnać burzę. (Do Marty). Maciu, zbliż
się: ułożyliśmy z naszą nieoszacowaną przyja-
ciółką warunki twego przyszłego szczęścia.

HADEN

(na stronie).

W formie trzech kroć sto tysięcy florenów.
(Głośno). Chodź tu, moja córeczko, bo zastę-
pując matkę Jerzemu, mogę cię tak nazwać;
wszak prawda? (Marta klęka przed nią). Nie je-
steś przecież słabą?

MARTA

(kryjąc kaszel).

Nie, pan!

JAŚNIE PAN

(pochylony do Maci).

Nie kaszlej, bój się Boga!

MARTA

(ze łzami).

Jestem... bardzo zdrowa, droga pan!

ELEONORA

(do Kazia).

Patrz pan, jaka to rozczulająca scena. A ty,

hrabio, nie przyłączysz się do tej rodzinnej grupy?

(Za sceną słychać przyciszony śpiew gromady, podczas dalszej rozmowy coraz głośniejszy).

JAŚNIE PANI.

Cóż to za koncert?

MARTA

(wstając).

Ach, to onil (biegnie do okna). Idą!

HADEN.

Cóż to takiego?

MARTA.

Wesele! prawdziwe wesele! Idą tu, kazałam im przyjść.

JAŚNIE PANI.

Maciu, co ty masz za idee?

MARTA.

Mateczko! to Julek, Julek — ty wiesz, który dla mnie w nocy po lekarstwo jedździł. On się żeni, ja jestem taka ciekawa, jak chłopci od święta wyglądają.

HADEN.

Rzeczywiście, chciałabym zobaczyć ich zbliżka. Proszę cię, moja Olimpko, każ wpuścić tych ludzi.

JAŚNIE PANI.

Ależ, pomyśl tylko, muszą aż tu przyjść, bo Macia wychodzić nie może a atmosfera, którą wniosą ze sobą, jest fatalna.

MARTA.

Och, to się wywietrzy... Panie Jerzy, proszę pan za mną.

JERZY.

Nie wiem, o co chodzi, ale prośba pani jest dla mnie rozkazem.

ELEONORA.

Jeżeli dobrze słyszałam, idzie tu o jakieś chłopskie wesele, które Marta pragnie nam sprowadzić aż tutaj. Vrai — byłoby to wcale nie złe, rodzaj divertissement; uśmiejemy się przynajmniej.

JAŚNIE PANI.

Ależ...

MARTA.

Mameczko, daj się ubłagać!

HADEN.

Ależ tak! już postanowione! (do Marty). Każ ich sprowadzić! Zrobmy rodzaj amfiteatru.

(Marta dzwoni).

ELEONORA

(do Kazia).

Zbliżają się piękności wiejskie! Niebezpieczne porównanie dla nas, kwiatów cieplarnianych...

KAZIO.

Niebezpieczne? quelle idée? (na stronie). Spodziewam się!

(Marta mówi coś cicho do Janka, który wszedł — Janek wychodzi).

HADEN.

C'est bien gentil z twej strony, moja kochana, żeś pozwoliła nam na tę rozrywkę. Jestem pasjonowana do chłopów.

JAŚNIE PAN.

Ach! gdybyś ich pani bliżej poznała...

JERZY

(do Marty).

Masz pani nieraz dziwne pomysły. Pocóż sprowadzać tę całą falangę do swego pokoju?

MARTA.

Chcę zobaczyć, czy wszyscy narzeczeni jednakowo wyglądają.

JERZY

(ze sztucznym zapałem).

Och! drugich tak szczęśliwych, jak my, nie znajdziesz pani na świecie.

MARTA

(z przymusem).

Tak pan sądzisz? Widocznie szczęście objawia się w rozmaity sposób.

(Za sceną śpiew ustaje).

JAŚNIE PAN.

Widocznie już idą.

HADEN.

Nie wierzycie, jak mnie to animuje!

SCENA IX.

CIŻ, JULEK, MAŁASZKA, MARTA, CHIMKA, SEMEN, BOLACZKA, OPANAS, KANDZINKA, UŁAS, SEMEN, ZAZULA, SYCZ, NAŚCIA, DZINBANKA, MODANKA, JEWKA, chłopcy i chłopki.

(Małaszka w stroju hucułki, wieniec na głowie, buty żółte, koszula wyszywana. Dziewki postrojone świątecznie, bez świtek, parobcy to samo. Wchodzą nieśmiało, poprzędzani przez Lawdańskiego i Janka; w milczeniu kłaniają się nisko, poczem zbici w jedną gromadę, stoją po prawej stronie. Na przodzie Julek. W grupie, trochę odrywana od tł. Małaszka).

23

MARTA

(w środku).

Moi dobrzy ludzie, powiedzcie mi, która tu z was panna młoda?

(Ruch w gromadzie).

OPANAS.

Jaśnie wielmożna panienko, nim młoda się pokłoni, niech ja, jako każe providencja, do was podejść a wercz oddam, jako wam z rodu pierwszeństwo należy. Piekła go tescza a łzami oblała — udał się cudnie, jak i nasz korowaj.

A zaświeć Boże z raju

Naszemu korowaju,

Żeby było widniuteńko.

Krajać go drobniuteńko.

(Przystępuje do jaśnie pana z werczem i kłania się Ułas wysuwa się naprzód).

UŁAS.

Do wercza wedle rodu wywołuje się. Jaśnie pan jest?

MARTA
(śmiejąc się).

Jest.

JAŚNIE PANI.

C'est extraordinaire... cóż to za heca?

HADEN.
Laisse donc! ja się wybornie bawię.
(Opanas podaje jaśnie panu wercz).

UŁAS.

Jaśnie pani jest?

MARTA.

Jest. Ale co to znaczy, mój człowieku?

OPANAS.

Taka providencja. Drużka musi po starszeństwie wywołać.

MARTA.

El lepiej dajcie to całe ciasto; już ja tych państwa podzielę.

JERZY.

Jak myślicie — może do tego wywoływania dać im nasze karty wizytowe.

ELEONORA
(do Kazia).

Niebrzydki naród, surtout mężczyźni.

KAZIO.

Jabym powiedział: surtout kobiety.

HADEN.

Gdzież młodzi?

OPANAS.

Pokłońcie się.

MAŁASZKA
(do Opanasa).

Nie petaj — ja sama zdążę.

OPANAS.

Zawsze harda, nawet we dworze.

(Małaszka wysuwa się naprzód; patrzy na wszystkich, potem wolno zgina głowę. Julek kłania się znacznie niżej; szmer pomiędzy państwem).

HADEN.

Charmantel

JAŚNIE PAN.

En effet!

MARTA.

Dieu! elle est belle!

ELEONORA.

Voila une surprise!

KAZIO.

Diable...

(Jerzy od tej chwili patrzy wciąż na Małazkę).

SEMEN BOLACZKA
(do gromady).

Coś harkają. Udała im się nasza kniahini.

CHIMKA.

Ba! jakby się ta udać nie miała — taki cud

SEMEN BOLACZKA.

Oj, ojl wielkiego rodu a psiego chodu.

DZINBANKA

(do Zazuli).

Spójrzcie, Zazula, co tam stoi?

ZAZULA

(patrząc na posąg Djany).

Czort zna, niby ta święta.

DZINBANKA

Rogi ma.

ZAZULA.

Jak u peretyslnyka.

(Żegna się ukradkiem).

MARTA

(do Małaszkii).

Ty rodziców masz?

MAŁASZKA.

Matkę mam — ojciec zmarł.

HADEN.

Jaki ma miły głos. Ile ma lat?

MAŁASZKA.

Kto?

HADEN.

No wy... ty!

MAŁASZKA.

Nie wiem, jaśnie pani.

(Śmiech między państwem).

MAŁASZKA.

U nas, jak dziewczka, to młoda; starych dziewczek między nami niema. To srom!

ELEONORA

(do Kazia).

Doczekała się Hadenówna. (Do Małaszkii).
A, to twój narzeczony! Dawno się znacie?

MAŁASZKA

(zdziwiona).

Ta niby my? Od małego my już przysądzeni.

JAŚNIE PANI.

Przysądzeni? Cóż to znaczy? Zapytaj się, Maciu.

MARTA.

Mój panie bojaryn, powiedzcie mi, co to znaczy przysądzeni?

OPANAS.

I to providencyja. To, jaśnie panienko, już Boh przed wiekami zdziałał, że każdemu parobkowi przysądził na żonę taką a taką dziewczynę. I to już przepadło — zaswatać ją musi.

KAZIO

(do Jerzego).

Jaka niedobrana para! On mały, brzydki, a ona jak łania. Szkoda dziewczki.

JERZY.

Ja tę dziewczkę widziałem już kilka razy, przejeżdżając przez wieś. Piękna jest.

KAZIO.

Bije w oczy. Na to nie trzeba być nawet koneserem.

HADEN.

Wierzą więc w fatalność!

JAŚNIE PAN.

Raczej mają ślepą wiarę w Opatrzność. Jest to wcale piękne i wzniosłe.

MARTA.

Julku, czy ty zawsze tak ładnie grasz na flecie.

JULEK.

Gram, jaśnie panienko, jak tylko czasu dopadnę.

ELEONORA.

A więc artysta!

JAŚNIE PAN.

Domorosły.

NAŚCIA

(do Chimki).

Jakie to mają odzienia — a mnie Polikarp i świtkę w lesie zabrał. W pożyczanej jestem.

CHIMKA.

Milczcie ta z waszą świtką. Ot to ubrana, jak kniahini z kazki.

SEMEN BOLACZKA.

Ma być u pana żonka nie piękna, kiedy grosze są...

KAZIO

(do Jerzego).

Reszta dziewczuch brzydka. A cóżes się w nią tak wpatrzył?

JERZY.

Laisse donc — ona mi się podoba, czuję to.

KAZIO.

Miej rozum, proszę cię — obok Eleonory i Marty...

JERZY

(śmiejąc się).

Och! spryt od czego!...

HADEN

(do Małuszki).

Niech się zbliży! Pokaż-no te hafty u koszuli.

(Małuszka zbliża się).

CHIMKA.

Patrzcie-no, jak moja donia sobie z państwem rozmawia wiedzie.

SEMEN BOLACZKA.

Ot, za pan brat świnia z pastuchem.

MARTA

(do Julka).

Ty Julek smutny? Powinieneś być wesoły, szczęśliwy.

JULEK.

Ja zawsze taki, jasna panienko. To już od urodzenia.

HADEN.

Ten haft na rękawie wcale ładny. Dziwnie delikatny deseń. Chciałabym zawieźć próbkę do Krakowa.

MAŁASZKA.

Jakby jaśnie pani nie gardziła moją robotą, to ja rada wyszyję taki pas i jaśnie pani przyniosę.

HADEN.

Dziękuję—elle est bien gentille cette petite.

MARTA

(do jaśnie pana).

Papo! ta chata przy bramie próżna. Słyszałam, jak mówił ci o tem rządca. Daj tę chatę Małaszce, mój papo!

JAŚNIE PAN.

Ależ, Maciu...

ELEONORA.

I ja chcę ten haft zobaczyć. Chodź tu, dziewczyno!

(Małaszka postępuje kilka kroków ku Eleonorze i spotyka się wzrokiem z oczyma Jerzego).

MAŁASZKA

(na stronie).

To przysądzony panny. Ach, harny pan!

(Eleonora zajęta oglądaniem haftu. Małaszka patrzy wprost w oczy hrabiemu).

HADEN

(która chwilę rozmawiała z jaśnie panią i Martą).

Tak, to będzie najlepiej—niech nam co zaśpiewają. Powiedz im, Maciu.

MARTA

Moi dobrzy ludzie, zaśpiewajcie nam jaką ładną pieśń. Chcielibyśmy to posłyszeć.

OPANAS.

Jak wasza wola.

(Przystępuje do gromady i naradza się).

MARTA

(do ojca).

Papo, cóż z tą chatą?

JAŚNIE PAN.

Ty wiesz, że tam musi mieszkać ktoś taki, kto wrota będzie otwierał. Julek śpi w stajni.

MARTA.

No, to ona, to Małaszka robić będzie, papo! Pomyśl, oni nie mają gdzie mieszkać, proszę cię!

OPANAS

(do gromady).

Tylko nie hałasować, w ład śpiewać, bo to w izbie, nie na polu. (Do państwa). Kiedy wola i chęć, to słuchajcie proszę. Smętna pieśń, bo młody sierota, bez ojca i matki.

JULEK

(cicho).

Ostawcie, Opanasie.

(Małaszka cofa się na środek sceny i staje przy Julku.
Przegrywka do śpiewu).

JULEK

(do Małaszi).

Małaszka, co tobie? Ty się trzęsiesz cała
a lica ci się palą! Bóg z tobą!

MAŁASZKA.

Odczep się!

JULEK.

Ty chora?

MAŁASZKA.

Cur tobie z chorobą. Ja szczęśliwa! ach!
jaka!

ŚPIEW GROMADY

Oj, Julka maty
Przed Bogiem stoi.
Ręce na krzyż trzyma,
Do Boga się modli:
Oj, Boże, Ty mój Boże!
Puść-że mnie na ziemię,
Niech-że dziecko moje biedne
Choć zobaczę ja!
Choć zobaczę ja!
Gdzie je posadzili,
Jak je ożenili,
Tę sierotę nieszczęśliwą,
Sierotę mą!
Sierotę mą!

OPANAS.

A teraz, młodzi, po błogosławieństwo do
jaśnie państwa!

(Podczas drugiej zwrotki Julek i Małaszka kłękają kolejno
przed gośćmi. Eleonora wstała i podeszła ku Marcie.
Przy zakończeniu śpiewu a podczas przegrywki Julek
i Małaszka oddają wreszcie pokłony hrabi Jerzemu).

ŚPIEW GROMADY.

Julku, sieroto,
Julku, nieboże,
Pokłoń się oto
Państwu w pokorze;
Niech cię, zamiast ojca, maty,
Błogosławić raczą,
By ci było, sieroteńko,
Lekko w świecie żyć,
Lekko w świecie żyć!
Ucałuj w kolana
I panią i pana;
Taż to twój ojciec, maty —
Dobrze życzą ci,
Dobrze życzą ci!

JERZY

(do kłaniającej się Małaszi).

Bądź po zachodzie słońca za wierzby,
koło stawu.

MAŁASZKA

(schylając się niżej).

Paniczu mój... przyjdę...

MARTA

(triumfując).

Małaszko! Papa wam daje chatę koło bramy!

JULEK i MAŁASZKA.

O, panienko!

(Przy zapadnięciu zasłony osoby grupują się w ten sposób: po lewej stronie Jerzy, koło niego pochylona Małasza, koło Małaszy Julek, odwrócony ku Marcie, Kazio stoi za Jerzym obok Eleonory, dalej kanoniczka Haden i jaśnie pani, po za niemi stoi jaśnie pan; w głębi mademoiselle Latour po prawej stronie. Gromada na froncie sceny. Opanas, Chimka i Naścia. Z końcem przygrywki zasłona spada).

Koniec aktu drugiego.

AKT TRZECI.

Scena przedstawia wnętrze chaty Julka. Wieczór. U kominka zapalone łuczywo, na kominie ogień. U pułapu, po lewej stronie, koło tapczanu, kołyska pleciana (kobiątka), zawieszona na sznurach. W kołysce uspione niemowlę. Po prawej maluchne okienko, krzywo zalepione papierem. Po lewej tapczan pokryty derką, koło tapczana skrzynia, nad nią lustro. Nad tapczanem dużo obrazów złocistych i kilka główek kobiecych kolorowanych, nalepionych na ścianie. Po prawej nad oknem półki, na półkach naczynia gliniane i trochę porcelany. Za podniesieniem zasłony chór kobiet siedzi na dwóch ławach po obu stronach komina; kobiety przędą, mając kądziel zatknętą za pas, Małasza siedzi na tapczanie, chmurna, z założonymi rękoma; kądziel jej leży na ziemi.

SCENA I.

MAŁASZKA, NAŚCIA PAZIORYCHA, MODANKA,
JEWKA, WARKA, PARASKA, DZINBENKA,
chór kobiet.

■ ■

ŚPIEW PRZAŚNICZEK.

Na dworze ciemno, straszna metęlica,
Wicher tak wyje, dmie!
A w chacie ciepło i jasna świetlica,
Wrzeczona trzęsą się.

Zbliżcie się cieśniej,
Słuchajcie pieśni,
Słuchajcie kazek, powieścił
Łuczywo świeci,
Słyszcie, dzieci,
Jak ptak zdaleka leci
I skrzydłem w okno bije.
O miłaż, miła nasza wieczornica,
Kiedy na dworze ciemno, metyłyca
I wicher głucho wyjel

Skończone bajki, kazki i powieści,
Ot, starsi wszyscy śpią,
W półcieniu chłopak swą dziewczynę pieści,
Całuje, ściska ją;
Ciemniej i ciszej,
Szept ucho słyszy,
Łuczywo zwolna dogasa,
Święta młodości,
Żar, ptak miłości,
W półcieniu chyba gości —
I skrzydłem w sercu bije.
O miłaż, miła nasza wieczornica;
Kiedy na dworze ciemno, metyłyca
I wicher głucho wyjel

NAŚCIA
(drąc pierze).

Ano, toście w ład i pięknie zaśpiewały.
Nawet się Stepanek nie zbudził.

DZINBENKA.

Ot, hołubyna śpi a z aniołami rozhowory

wiedzie. Jak to małemu to raj jeszcze na
świecie.

NAŚCIA

Jak podrośnie, to zazna dołę. A teraz niech
się zdrowo chowa a na pohybel złym. Cur im!

WSZYSCY.

Cur złym!

NAŚCIA
(do Małaszki).

A ty co, Małaszka, taka chmurna w kącie
siedzisz, nie jak na gospodynię przystało? Ju-
lek nas do waszej chaty na wieczorynkę pro-
sił, taj przyszyliśmy rade, że się naśmiejemy.

MAŁASZKA
(sucho).

Śmiejcie się z Bogiem; ja ta nie do śmiechu
i do posłowania...

PARASKA.

Ty, Małaszka, jakaś nieswoja. Dziw do cie-
bie przystąpił... Dawniej bywało, jak krzyk-
niesz, to jakby zmałka się śmiała, tylko bór
powtarza; teraz sama w kącie siedzisz i za
ludźmi się nie oglądasz.

MAŁASZKA
(j. w.).

Po czorta mam się za ludźmi oglądać. Ja
sobie nie starczę?

NAŚCIA.

Et, Małaszka, ty zawsze Bogu obrazę czy-
niesz. Stepanek nieraz w kołysce zawodzi

a ty nawet do niego nie przystąpisz... My to dobrze widziały i nieraz dobrze uważały, jaka tu może być przyczyna...

MAŁASZKA.

Ja za wami nie chodzę i po sadybach nie zaglądam. Czyńcie jak ja.

NAŚCIA.

Ot, nie zważajcie na nią. Jeszcze po słabości nieswoja. Coś jej pewnie dolega a gadać nie chce. Lepiej, jak wam to powoli, to opowiem wam kazkę!

WSZYSCY.

Ach, tak, Nacia! kazkę! kazkę!

MAŁASZKA

(na stronie, z wściekłością).

Czort te baby przynęca! teraz będą sobie kazki opowiadać.

WARKA.

Czekajcie, Naściu, niech-no z nogami na ławie zasiądę. Wasze kazki straszne, zawsze o łyśch didkach, peretysnikach, latawicach... Czasem okrutnie się boję.

NAŚCIA.

Nie bój się, zazulu! Dziś ci opowiem kazkę o jednej głupiej dziewczce i o panu Lawdańskim.

DZIEWCZĘTA

(śmiejąc się).

Ha! ha! o panu Lawdańskim!

WARKA

(z gniewem).

Ostawcie takie przyczepki, bo to ni do Boga, ni do ludzi. Pan Lawdański to pan Lawdański, ja na niego dawno nie patrzę.

NAŚCIA.

Aleś patrzała, hołubko moja, patrzała, aż sobie oczka wypatrzyłaś.

DZINBENKA

(śmiejąc się).

Oho! pan Lawdański teraz gdzieindziej zagłada a zachodzi, prawda, Małaszką?

MAŁASZKA

(zeskakując z tapczana).

Pek tobie! Czego odemnie chcesz, ty pro-jawo jedna!

NAŚCIA.

Boh z tobą, Małaszką! Nie sierz się, mileńka. Że pan Lawdański teraz za tobą chodzi to prawda wierutna... niema czego odkazywać i kłać nie po Bożemu. Ale teraz kazkę rozpowiadać zacznę. Tylko co chcecie, hołubki moje? czy gadać mam o żar ptaku, czy o szuci figlarzu i poźce żywuszce, czy o lisowyku, co w topoli siedział a kije i drągi nazad rzucał.

PARASKA.

Mów, matenka, o królewiczku, co był taki śliczny, tak krasny, jak ten jasny pan, naszej panienki przysądzony. Jak bywało przyjedzie do dworu, to aż łuna od jego urody bije a my

dziewczyny tylko za oknami patrzymy na jego urodę. A ty, Małaszka, widziałas go też, jakęś chodziła z werczem do dwora.

(Małaszka gwałtownie zrywa się z tapczana i wybiega z chaty, trzaskając drzwiami).

NAŚCIA.

No, tej coś nie do smaku. No, ale dziewczki słuchajcie a bacście pilnie każde moje słowo. Był to sobie jeden król i długo u niego nie było dzieci, aż nareszcie urodziły mu się bliźnięta, ot, królewicz i konik malutki. Ot miał ich miał, ale rosną jak na drożdżach, nie dniami a godzinami. W kilka lat królewicz już był tak, jakby miał kilkanaście, to samo brat jego, koń...

SCENA II.

TEŻ SAME, LAWDAŃSKI.

■ ■

LAWDAŃSKI.

Oh! co tu bab!

NAŚCIA.

A z Bogiem, panie Lawdański! A z kądem wam to przyszło na wieczorynkę naglądać?

LAWDAŃSKI.

Julka niema?

NAŚCIA.

Julka we stajni pod ten czas, wy to dobrze wiecie. Małaszce się dłużyło, ta nas zaprosił do chatyny, nim wróci.

LAWDAŃSKI

A Małaszka gdzie?

NAŚCIA.

Wyszła — tylko patrzeć, jak wróci.

LAWDAŃSKI

(siada na tapczanie).

Niech tam która da mi ognia, no, prędzej, Paraskal

PARASKA.

Weż sam, zbereźniku jeden!

(Dziewki się śmieją).

LAWDAŃSKI.

Ty dawniej nie była taka harda. We dwo-
rze ty była inna!

PARASKA.

Bo durna byłem. Teraz mnie już nie zmusić, nie zmienić — ja kniahini. A odkąd mnie Ułas zaswatał, to się na pana Lawdańskiego przez plecy patrzę. Ot, tak!

(Dziewki się śmieją).

LAWDAŃSKI.

Ty tak dużo nie gadaj, bo...

PARASKA

(wstając).

Bo co? A to wielki pan, bo cały czarno jak pop chodzi... Pan Lawdański już powinien się rozplacić za wszystkie oszukaństwa i tumanienie... No, chodźcie już, dziewczęta.

Późna nocka, do domu wracać a ty, Warka, do dwora.

NAŚCIA.

Niech pan Lawdański powie, czy to prawda, co powiadają? Nasza jasna panienska te... pani hrabina ma syna?

LAWDAŃSKI.

Tak na pokojach mówili, co z Warszawy taka wieść przyszła.

NAŚCIA.

Ano, patrzcie! patrzcie! Takie to było biedne a zanędzone...

PARASKA.

Ta chodźcie już raz, Naściu! Łuczywo dogasa a Małaszka nam nie rada bo z chaty uciekła.

(Kobiety wstają i, śpiewając strofkę piosnki rozpoczynającej akt, wychodzą powoli. Śpiew słyhać jeszcze chwilę, poczem ucicha stopniowo).

LAWDAŃSKI

(sam).

Poszły te utrapione więdzmy... Gdzie Małaszka? Musiała widzieć, jakim tu wchodził. Czyżby się skryła i wcale nie przyjdzie? Głupiec ze mnie! wszak do chaty do dziecka powrócić musi... (po chwili). Czym ja oszalał dla tej kobiety? co ze mną? Gdy mi się na oczy nawinie, to w głowie czysto młotem wali a ręce się ku niej ciągną, Gdybym durnym chłopem był i wierzył w uroki, mógłbym myśleć, że ta zwodnica mnie oczarowała! Ot,

na co mnie przyszło! Ja, Lawdański, jak tu-man za jedną babą chodzę a rady sobie z nią dać nie mogę. Harda i pyszna, głowę wysoko trzyma, a ja ją zgiąć muszę... (po chwili). Ach, Małaszka! Małaszka! takąż ona jakaś, aż dreszcz po człowieku chodzi, kiedy o niej myślę.

SCENA III.

MAŁASZKA, LAWDAŃSKI.

22

MAŁASZKA

(wchodzi do chaty, nie widząc Lawdańskiego, z pasją przewraca nogą ławkę i idzie do skrzyni; przechodząc, potrąca kołyskę).

Już skomli to nieszczęście! (klęka przed skrzynią i podnosi wieko). Ten Julek mi nawiódł baby a mnie aż podnosiło, aby jedną po drugiej za kołnierz chycić, ta z chaty wygnać. (Wyjmuje ze skrzyni chustkę małą, batystową). Jest — już zółknie... ta prać jej nie będę, niech ostanie taka, jakim ją po nim naszła. (Pociera chustką po twarzy). Jakie to gładkie a miłe! Ach, Boh! jak jego ręka. Jak oczy zamknę a po twarzy tę szmatę sunę, to tak, jakby on mnie po licu głaskał. Boh! mój Boh! gdzie on! gdzie ten królewicz! ten żar ptak jasny!... I póki on był, toć me życie się miłło, a kraśniałam jak mak w zbożu! Ostawił mnie, ostawił i za tamtą poleciał... a w stronę moją nawet głowy nie zwrócił...

LAWDAŃSKI

(przystępując do niej i obejmując ją wpół).

Małaszka!

MAŁASZKA

(zrywa się).

Ki cort?! (odtrąca go). A, to wy! Czego tu po nocku łazicie?

LAWDAŃSKI

(hamując się).

Ty, Małaszka, rozum miej! nie odtrącaj mnie i głowy nie noś tak wysoko! Za panem hrabią oczów nie wypłakuj, bo on nie dla ciebie... rozumiesz?

MAŁASZKA.

Mnie hrabia w konopiach jest! ja dla niego nic nie mam — słysz!

LAWDAŃSKI.

Nie łzyj! (chwytając ją za rękę). Ja cię widział nie raz, nie dwa, jakeś do lasu do niego biegła... Ja cię poznał, jakeś siedziała z nim w uroczysku na Wołochowie. Ty mnie się strzeż, bo ty grzech na sumieniu masz... Ty z panem hrabią się wdała a jakby ja powiedział...

MAŁASZKA

(z krzykiem).

Ha! wraży synu! Ty mnie podpatrywał a za mną jak żmij chodził!...

LAWDAŃSKI.

Tak, chodził za tobą, Małaszko, bom cię miłował i teraz cię miłuję! Nie! ja ciebie nie mi-

łuję! tylko mi ciebie trza... chcę cię mieć i będę miał!

(Chce się do niej zbliżyć).

MAŁASZKA

(chwytając łuczywo).

Ja ci ślepie ogniem wypalę, ty projawo jedna!

LAWDAŃSKI.

Jaka ty harda! paniczowi to do nóg padała!

MAŁASZKA.

Bo to pan! jasny pan! wielki pan! Jak byłam mała, toś ty mi się zdawał jasnością największą... A cóż ty przy nim? co ty? Ty sługa a on pan! jasny pan! wielki pan!...

LAWDAŃSKI

(szydlerczo).

A cóż ci z tego pana przyszło? ha! Porzucił cię, jak psa nogą kopnął i z tamtą się ożenił.

MAŁASZKA.

Milcz! bo ci język w piersi wtłoczę! On mnie porzucił ale mnie nazad wziąć musil (wstrząsając łuczywem nad głową). Mnie maty nie darmo odminą nazwała... Mnie jakaś widma późną nocką przyniosła i na ziemi ostawiła. Ja jak inna dziewczka, hołosić nie będę i włosy wydzierać. Włosów szkoda! Ja czas mam — i czekać a baczyć będę... (opuszcza łuczywo w stągiew wody — ponuro). Co ma się stać, to nie minie.

LAWDAŃSKI.

Jakby ja zły człowiek był, toby ja ci krzywdę wielką zrobił, Małaszka. Ja Julkowibym o jasnym panu powiedział a onby ciebie z chaty wygnał.

MAŁASZKA.

Tyby tego nie zrobił. Ty wiesz, dlaczego?... jabym cię zato struła... (Lawdański mimowoli cofa się kilka kroków). Ja tobie nie powiem, że myślę co złego, albo zadam uroku — nie! Ty taki durny nie jesteś; ale ja ci powiem, że cię struje; ty wiarę miej — bo ja ziola znam a w świecie ich siła a moc wielką mają! ty wiesz! Potem mnie nie strasz, że Julek mnie z chaty wygna. Ja nad Julkiem moc mam, on się mnie boi a miłuje jak nawiedzony, jak ty, panie Lawdański. Taką już urodę mam. Z czarta wzięta, boć nie z maty, ludzie tak mówią, ot niechaj tak.

LAWDAŃSKI.

Gdyby Małaszka rozum chciała mieć a na pana nie czekać i do mnie się przygarneła, jabym ci korali dał i nie jedną krasną wstążkę na szyję włożył.

MAŁASZKA

(chyttrze).

Ja nie od brania — korale dajcie, w bodni miejsca dużo jest. Mnie tylko nie po woli, gdy kto mnie się czepia przez gwałt i siłę. Siłą ze mną końca nie dojdiesz; lęku nie mam, od dziecka jużem rosła taka.

LAWDAŃSKI.

Kiedy z tobą, Małaszko, nijak końca nie dojdiesz, ani złością, ani dobrocią. Proszę — to śmiesz się, grozę — to odpychasz. Powiedz, jak z tobą trza?

MAŁASZKA.

Jak ze mną trza? Czort wie jak! Co mi dziś powoli, to jutro idzie po niewoli. Dziś to miłuję a jutrobym złe ziele zwarzyła i struła. Już ja od małego taka. Jakaś siła zła we mnie jest i coś we mnie gore a tak jakby mnie zerwać chciało na szmaty. Z wiosną, jak wyjdę w pole, to mnie w górę rwie a nocką spać nie daje. W sadybie mnie ani wysiedzieć a z pola gna do chaty. I tęsknica za czemś rwie duszę... Ach! Lawdański, ja nie wiem, co mnie jest, ale ja swoją śmiercią nie zgine; jaby chciała z tego siola iść precz, gdzieś w dal, bez ustanowienia, tam gdzie jaśniej, przestronniej, gdzie od jedwabiu szeleści, korale dzwonią a ludu mnogość wielka, jak szarańczal szarańcza wprost! (prawie jak w gorączce). Ot tam, wiesz Lawdański, tam u nas we dworze było wszystko tak jak ja chcę, jakby mnie było w ład.. i bogato i jasno i przestronno! Mnie tam zawieść! mnie tam, mnie tam!...

LAWDAŃSKI.

Szkoda, Małaszka, że ty się jaśnie panią nie urodziła. Byłabyś teraz panią hrabiną i w Warszawie na aksamitnych stolkach byś się rozsiała. Szkoda wielka, że to właśnie ona a nie ty w taką dolę poszła...

MAŁASZKA.

Cur jej, tej bladej dziewce, co jak latawiec
białem licem ludzi straszy! Gdzie jej do
mnie!... Patrz, Lawdański — patrz na mnie,
jaka ja urodziwa... (obraca się zalotnie, śmiejąc się).
Ha! ha! zielone oczy mam, jak kamienie na
dnie ruczaju... A mieni się to, błyska! Ha!
ha! błyska, jak zła siła! wielka siła czartowska
moc!

LAWDAŃSKI

(namiętnie wyciąga ręce).

Małaszkal

MAŁASZKA.

Ręce przy sobie miej! Ja nie dla ciebie; ty
tylko lokaj a ja wysoko patrzę, bo mi już tak
patrzyć sędzono...

(Słychać hałas przed chatą).

LAWDAŃSKI

(szybko).

Idą! Małaszka, namyśl się — za hrabią nie
płacz, bo to nie dla ciebie!

MAŁASZKA.

Ha! ha! ja za nim nie płaczę, tylko za głu-
potą moją; mnie on w konopiach jest, powie-
działam to raz! A ty bacz, co mówię, ty
dworski nędzaku!

SCENA IV.

CIŻ, JULEK, UŁAS.

22

JULEK

(w kurtce z szarego sukna, buty i płócienne spodnie).

Wejdźcie, Ułasie, Paraska pewno jest.

UŁAS.

Chciałbym tylko dziewczę zabrać i do sa-
dyby ją odprowadzić.

(Wchodzą. Małaszka cofa się w głąb i zajmuje się ukła-
daniem rzeczy w skrzyni).

JULEK.

A! pan Lawdański? Wszakżeście mówili,
że idziecie do garderoby?

UŁAS

(gniewnie).

Znów go po chałupach nosił

LAWDAŃSKI.

Jaśnie pan kazał powiedzieć, żebyś na jū-
tro o świcie był gotów do miasta. Pojedziesz
oddać depeszę w urzędzie. Jaśnie pani hra-
bina ma syna, państwo chcą o zdrowie pytać.

UŁAS.

Mogliście mu to wszystko koło stajni po-
wiedzieć a nie ponocku do sadyby włożyć.

LAWDAŃSKI.

Co tobie, psi synu, do mnie? A skąd ci
to przyszło do mnie gadać i to z taką śmia-
łością, chamie?

UŁAS

(z pasją).

Ty czorci bracieli chamem mi w oczy ko-
lesz, ale chamskich dziewczek to ci się zachcie-
wał! Ty chciał moją Paraskę zaprzepaścić,
ale ci się nie udało — ha! podle nasienie! ty
dworski gnacie! Odstępuj odemnie daleko,

bo jak mi na ręce padniesz — marna twoja dola!

LAWDAŃSKI

(posuwając się do wyjścia).

Ot, pies chłopski ujada! Na łańcuch wziąć a różgą smagać!

UŁAS

(j. w.).

O! teraz nas nie smagać! Te dnie na marne przepadły, jak nas smagano... Tobie dziś baty dać, żeby aż to cienkie sukno spadło z twoich kości... ty!

(Lawdański wychodzi).

JULEK.

Ot, puścić, Ułasiu! Co się srożycie, krwi waszej poprostu szkoda.

UŁAS.

(uspakajając się powoli).

Bo ty, Julek, nie wiesz jeszcze, jak to duszę rwie, kiedy się kogo miłuje a za tym kimś inny goni, ta odebrać tobie chce... (Małaszka wychodzi z chaty. Julek przystępuje do kołyski i otula dziecko w płachtę). Mnie on tak z Paraską robił a dziewczka, choć się niby drożyła a przecież ślipia jej się czasem świeciły i czut czut nie stało się nieszczęście! Ale ja ich pilnowałem i upilnowałem. Paraskę zaswatałem i teraz jużem jej pewny. Ona na tego zbójnika ani spojrzysz (ogląda się). A ty, Julek, baczenie miej, żeby ci Lawdański do żony nie zaglądał... Może być źle!...

JULEK

(kołysząc dziecko).

Małaszka bardzo harda a nieprzystępna. Wiesz sam.

UŁAS.

Tak, wiem. Ale Lawdański dworski sługa, właśnie do niej przystęp łatwiejszy może mieć. Ona już taka jest, że co się świeci, do tego gna.

JULEK

(chmurno).

Wasza prawda. Dziwna bo to kobieta. Ja sam nie wiem, jak z nią... ot, ciężko, ciężko!...

UŁAS.

Całe sioło dziwuje się na wasze życie... Jeszcze jakieście się pobrali to Małaszka była weselsza i kręciła się koło sadyby jak na święto przyodziana, cała w koralach, później ot... podczas jak jaśnie pannę wydali za tego grafa, to wasza Małaszka zaczęła się chmurnić a krasne suknie rzuciła w kąć i przestała się ludziom wdzięczyc. Prawda?

JULEK.

Wasza prawda. (Po chwili gwałtownie). Ułasiu! słysz ty, powiedz bracie, co z nią jest? co z nią jest? Ja ją tak miłuję! ach, tak miłuję! jak jeszcze nikogo nie miłowałem na ziemi — i chciałbym jej dać wszystko, co dać mogę a ona chmurna chodzi, odemnie się odwraca, na Stepanka spojrzeć nie chce. Ot, poprostu przepaść! I mnie i dziecko sobie brzydzi, po

nockach nie śpi — z chaty wyjdzie, ta stoi i w sad patrzy a patrzy. Cóż w tym sadzie ma? co ją tam ciągnie? Toć pustka jest, pustka taj tylko... Dawniej, jak jasna panienska była jeszcze we dworze—ha, myślałem patrzy, patrzy, ta niech się napatrzy dowoli—ot, ciągnie jej oczy jedwab, ta złoto. Ale odkąd jej nie stało, czego ona tam stoi? — powiedz, Ułas, czego do chaty nie wraca? (Otwiera drzwi, w głębi ukazuje się krajobraz oświetlony księżycowym światłem. Małasza stoi nieruchomie, wpatrzona w dal). Ot, tak stoi godzinami całemi a mnie z piersi serce mało nie wyskoczy a detyna w chałupie zawodzi za matką hołówkę obraca... (po chwili). Ułas, powiedz ty, czego jej brak? Ja jej dał co mógł—i chatę przybrał i obrazów nawieszał; ja z sanek kilimek ściągnął i na ścianę przybił, na tapczan derkę z koni dał. Patrz, Ułas, ja te bohomazy dla niej przyniosł i powiesił, żeby się do niej śmiały. Ja jej imbryk od Janka kupił, czerepy skleił i dał, ja za innych drzewo rąbię z tyłu za stajniami, aby grosz mieć i szmatę jej jaką kupić. O! Ułas! jabym pierś swoją rozdarł, ta krew serdeczną utoczył, żeby tylko tej hołubinie nic nie brakowało! (wyciąga ręce w stronę Małaszi). Zazulu moja! zazulu! (Małasza stoi nieruchoma). Patrz, Ułas, ona się nie odwróci, ona wciąż tak stoi, ta w sad patrzy...

UŁAS.

Może to za Lawdańskim?

JULEK.

O, nie, Ułasie; to nie. Ja wiem, bom słyszał, jak go do czorta z gniewem odsyłała. I ty mówisz, Ułas, żeś ty ból miał, ale tyby ból jeszcze większy czuł, jakby ty widział, że się twoja młodyca od ciebie odwraca i za czemś niebywałem, niewidzianem dla ciebie, goni. Ot, ja się do dziecka obrócił, bo mnie prosto tak nieraz, jakby kto w głowie rozpałił żar... Ja dziecko kołyszę, hołubię, bo Małasza o niem nie myśli a to sierota, żyje tak bez matki, jak ja... bez żony! bez żony!

(Wybuch płaczem).

UŁAS.

Ty bo, Julek, nie umiesz z nią. Jaby droga dobrego wziął, ta do chaty zagnał — do dziecka, do roboty, ot prost jak najmitkę i byłoby tobie i jej w ład.

JULEK.

Nie, Ułas, tak nie. Z Małaszką nie tak, jak z Paraską, albo z Modanką. Ona inna, jak te wszystkie dziewczki z siola. U niej mądrość i zachowanie jest, choć nie uczona. Ją bić strach, boby się na człowieka jak upyr rzuciła.

UŁAS.

Boh z taką żonką, coby mnie było po niej—jaby ją cisnął i w świat od niej szedł.

JULEK

(po chwili).

I w świat od niej szedł... Tobie, Ułas,

łacno to wymówić, ale uczynićbyś nie mógł, ja wiem. Ja prosty chłop, to tego wygadać nie mogę jak należy, ale ta niewiasta coś ma w sobie, co do niej prost człowieka tak przywiąże, jak psa łańcuch do jego budy. Ona mnie słowa dobrego nie da a ja ją miłuję i hołubię, bo wiem, żeby jej w tej chałupie nie stało, chybaby mi przyszło być już ze wszystkim niesamowitym, jak maty moja. Ty znał moją matę, Ułasie. Ty sam za nią po wsi biegał, ta krzyczał i śmiał się, jak ona na rozputi usiadła, ta hołosić poczęła... Mnie później mówili, że to z żalości ona tak od rozumu odeszła, bo ją jej mąż a mój ojciec z sadyby wygnał a z najmitką miłowanie zaczął. Tak i mnie jak coś za serce chwyci, to chce się usiąść gdzie na rozstaje a zawodzić i chychotać się, jak moja matka. O, tu! (wskazuje na głowę) tak mnie coś ciśnie, jakby prosto obręcz...

UŁAS.

Już późno. Idź ty, Julek, spać; ja jeszcze do Paraski zajrzę, ta do siebie pójde.

JULEK.

Spać? O, Ułas! co mi ta po spaniu! Ot, jeszcze tej detynie świeżą zaściółkę dam a potem koło chaty siadę, taj grać będę. W las nie chodzę, bo droga daleka a tu Stepanek płakać może. Trza do dziecka iść.

UŁAS.

Ty dziwny, Julek, jesteś. Jaby się tam z detyną wodził, kiedy baba w chatynie jest...

Ot, drąga wziąć, ta walić! walić!... No, ostan z Bogiem!

JULEK.

Idź z Bogiem!

(Ułas wychodzi).

SCENA V.

JULEK, później MAŁASZKA.

» »

JULEK

(krząta się chwilę koło kołyski, bierze z ławy szmaty, owija niemni dziecko).

Tak, synaczkę mój, trza cię okryć, bo to nocka zimna, a ty, okruszko, maleńki, to mi zmarznąć możesz... Ot, śpi hołubczyk, ta o świecie Bożym nie wie. Niech śpi, niech śpi!

(Kołysze dziecko. Po chwili drzwi się otwierają i wchodzi Małaszka).

MAŁASZKA

(opryskliwie).

Sól ty przyniósł?

JULEK

(pokornie).

Przyniósł, za pazuchą mam.

MAŁASZKA

(j. w.).

A cukier?

JULEK

(j. w.).

Nie, Małaszka, cukru dziś niema.

MAŁASZKA

(ze złością).

Czemu?

JULEK.

Lawdański kredens zaparł, dobrać się nie mogłem.

MAŁASZKA

(z wściekłością).

Tfu! z ciebie nic, tylko na babę zdatny...
(Odwraca się, idzie do komina, wyjmując garnek, wytrząsa kartofle na stojącą na stole miskę. Z półki bierze łyżkę i garnek z kwaśnem mlekiem — to wszystko stawia na stole, poczem obraca się do Julka). Na, jedź!

JULEK

(wstaje z tapczana i siada koło stołu).

A ty, Małaszka, nie jesz?

MAŁASZKA.

Odczep się! sam się opchaj! ja nie chcę!

JULEK.

Jak twoja wola.

(Zaczyna jeść. Chwila milczenia).

MAŁASZKA.

Ty, Julek, słysz! Czy to prawda, co gadał Lawdański? Pani hrabina syna ma?

JULEK.

Ma — taka wieść przysła do dwora.
(Chwila milczenia). Możeby ty, Małaszka, trochę kartofli zjadła?

MAŁASZKA.

Nie chcę!

JULEK.

(wstaje i chwilę patrzy na Małazkę).

Widzisz, Małaszka, mnie samemu smutno jeść. Jabym chciał, żeby ty, jak każda żona, z jednej misy ze mną jadła.

MAŁASZKA.

Ja lubię poosobno. Ty najmitkę sobie weź, ta niech przeciw tobie na pohuti siedzi i pcha jadło — będzie ci weselej. (Julek idzie do dziecka i chwilę stoi przy kołysce, mrucząc, słuwa trzy razy, przemierza kołyskę i dziecko. Małaszka patrzy z ironją). Mierz, mierz! coby ci kto nie odmienił... Oj je! tak się więdźmy za twoim synaczkiem pewnie czają... Durnyl...

JULEK.

Detyna śpi — ty, Małaszka, także już na spoczynek idź; ja jeszcze pójde trochę na pole posiedzieć. Nocka, choć chłodna, ale jasna. (Zdejmuje supłkę ze ściany i wraca jeszcze do kołyski). Jakby Stepanek się ocknął, weź ty go na ręce, ja niedługo wrócę... No, ostań z Bogiem! (Małaszka stoi nieruchoma). Małazka! ta spójrz, Zazulu, na mnie, nie chmurz się tak ciągle; co ja ci zrobił, żeś na mnie taka krzywa? No powiedz, co?

MAŁASZKA

(niecierpliwie).

Hodi już z tem gadaniem!

(Odwraca się od Julka).

JULEK

(wychodząc, na progu odwraca się).

Ja daleko nie pójde, ot tam za chatą Pazio-
rzychy usiąde, gdzie wierzby rosną. Jakby
Stepanek się rozkrzyczał, wołaj głośno na mnie,
bo widzieć cię z tamtąd nie zobaczę. No!
ostań z Bogiem! (po chwili). Tak mi jakoś
ciężko ztąd odejść, jakby mnie tu co przykuło.
Małaszk, daj mi ty dziś dobre słowo, bom
taki zmartwiony, sierota, jak jeszcze nigdy.

(Małaszk odwraca się patrzy na Julka w milczeniu,
później idzie do tapczana i poprawia posłanie. Julek
wychodzi powoli środkowymi drzwiami).

SCENA VI.

MAŁASZKA, później SZMUL.

22

MAŁASZKA

(krząta się po chałupie, potem zrzuca chustkę z głowy
i rozpuszcza dość krótkie włosy kręcone; staje przed
lusterkiem, blask łuczywa ją oświeca; patrzy chwilę na
siebie z upodobaniem).

Poszedł utrapienie! ostawił mnie samą,
abym się napatrzeć sobie mogła. Jaka ja uro-
dziwa! Boh, mój Boh! jaka ja wyrosła... jaka
krasawica. Inne baby to po dziecku spasuują
a ja tom jeszcze harniejsza a siły we mnie
tyle, żebym całe sioło rozniosła... (wyjmuje z za-
nadrza chusteczkę i wacha). Ot, cały rok ta szmata
jest a jeszcze woń ma. Ach! jakaż to woń!
jaka woń! Lawdański mnie chce... ha! ha!
pek jemul cur temu lokajowi... Ja po panu na

lokaja spadnę... Jeszczeby co! jeszczeby co!
(Za sceną flet solo, ten sam numer, co w akcie pierwszym).
Już ten nawiązany gra! Ot tobie raz z takim mę-
żem... na supilce hołosi — muzyką jemu być!
(zaczyna czesać włosy). Jak ja za niego szła, myśla-
łam, co on niedługo we dworze pierwszą osobą
będzie. Gdzie jemu, temu durnemu, do jakiej
chęci! Ot, siedzi w tych stajniach cały rok i na
koniach wygania. Żeby go choć na furmana
wzięli. (Stukanie do okna). Ki czort? Lawdań-
skiego niesie? Ano, trza ożoga wziąć...

(Chwyta za ożóg).

SZMUL

(ukazuje się we drzwiach i ostrożnie patrzy dokoła i do-
piero po chwili wchodzi do chaty).

Ty, głupia, połóż ten drag! Julka niema, co?

MAŁASZKA.

Niema — a czego ty chcesz?

SZMUL

(wchodząc).

Ty, Małaszk, nie bądź dla mnie taka
harda — ja ciebie dobrze znam i ze Szmulem
ty inaczej mów. Ja od ciebie dosyć się gro-
sza za striczki i paciorki nabrał, co prawda, to
prawda. Ale ja też wiem, zkąd ty tych pie-
niądów brała...

MAŁASZKA

(gwałtownie).

Ty żydowska żmijol

SZMUL.

Nie krzycz i nie hałasuj, bo w tem interesu niema. Szmul wie, jakieś za panem grafem latała, ale Szmul milczy, bo rozum ma. Ty mnie od żmij wymyślasz a ja dla ciebie taki geszeft mam, co ty się aż za głowę z radości weźmiesz.

MAŁASZKA

O, pewnie jaką nową szmacinę chcecie mi wetknąć. Nie chcę, bo teraz ani po temu woli, ani pieniędzy nie mam.

SZMUL.

Ty się nie ciskaj, aż wszystko posłyszysz. Nu, ja, choć głupi niby żyd, ale ja mam delikatny rozum i wiem, co takiej młodycy jak ty przystoi. Ty masz gładką twarz i cała jesteś nie na chłopkę. Ja to zawsze mówił, co ty z takim durnym chłopem siedzieć masz! Na co ty z nim wysiedzisz? Ot, nędzę i ze dwanaścioro dzieciów! (Małaszka żyje się). Ano, widzisz, ty sama masz rozum i wiesz, co tobie trza. Teraz tobie się zdarza wielka, rarytna rzecz! a grojse geschichtel... co ci tego losu wszystkie baby ze wsi zazdrościć będą. Jasnie pani hrabina ma syna a że to bardzo delikatne pani, to doktorzy kazali mamkę wziąć. Tu pisali po mamkę, żeby ją ze wsi dać; a mnie rządcą zawołał i powiedział: „Szmull ty wiesz, która tam najfajniejsza dziewczka, albo młodyca— zabierz ją tu, weź zaraz, bo jasnie grafiatko czeka“. Nu, tak ja pomyślał sobie:

Małaszka — choć tam od Dzendżery teżby mogła synowa jechać...

MAŁASZKA

(żywo).

Kto? Horpyna? Ot, pomsta na ciebie! Gdzie jej do pańskich pokoi, taka ropucha!

SZMUL.

No, ty się zabieraj, jak chcesz.

MAŁASZKA.

Julka pytać trza.

SZMUL.

Oj, ty durna głowa... Jakby ty się Julka zapytała, toby ty przepadła. On cię miłuje i nie puści od siebie. Jak ty chcesz w mieście być i los fajny mieć, to na Julka nie patrz — nie pytaj i uciekaj nocką zaraz, póki on do chaty nie wróci. Ja cię na kolej zaprowadzę i sam z tobą pojedę, bo rządcą chory a ja i tak mam interes do pana hrabiego. Ny — i cóż? Ty nie bądź głupia i szczęścia nie depcz, kiedy ci samo w drogę włazi.

MAŁASZKA

(jak w gorączce).

Tak, tak! samo mi szczęście w drogę wlaży!

SZMUL.

Nu, pomyśl tylko, czego ty tam nie użyjesz w tem mieście! U takich wielkich grafów to będziesz tak, jak druga grafini, bo to mamce dogadzać będą i skakać, jak ty im zagrasz.

Na aksamitach będziesz się rozsiadać, bo tam to od złotości aż kapie a wszędzie pierwszy plac trzymać będziesz.

MAŁASZKA

(j. w.).

Wasza prawda!

SZMUL.

Ja wiem, co moja prawda jest. Ty jeszcze o Szmulu pomyślisz i nieraz mi będziesz, że-bym tak zdrów był. Ty mi za to kilka guldenów dasz i czarnego byczka, co go w chlewiku trzymasz.

MAŁASZKA.

Po kiego licha ci jeszcze płacić? Nie dam nic.

SZMUL.

Aj waj! ty bardzo mądra jesteś! Dobrze; jak ty nie chcesz w ten interes wejść, to ja idę do Dzendżery — oni mi zapłacą i podziękują. Aj waj!

(Zabiera się do wyjścia).

MAŁASZKA

(przywołując go).

Szum!

SZMUL.

Ny? czego?

MAŁASZKA.

Ty już byczka weź, ale Julkowi powiedzieć trza. Jakże tak z sadyby uchodzić?...

SZMUL.

Ty nie wiesz, co Julek warjat? On ciebie jeszcze zbije i nie puści. No! nie oglądaj się i nie bądź durna baba, za Julkiem się nie oglądaj, bo co z niego masz?... A tam we dworze w mieście to ci się jeszcze jasne panny kłaniać będą, jak zechcesz... Ny? ja pójdę byczka wziąć. Ben czeka za chałupą, ty rze-czy wiąż; ja tu wnet będę. Spiesz się, bo mnie czas a ten myszygene przestanie grać i do chałupy wróci... Byczek gdzie?

MAŁASZKA.

W chlewiku.

SZMUL.

Nu a dobrać się jak?

MAŁASZKA.

Nie zaparte.

SZMUL.

Ty się tu spiesz. Dużo szmat nie bierz, bo cię tam ubiorą w same fajne suknie. Aj waj, Małaszka! jak ty oczy ludzi ciągnąć będziesz! Za tobą będą sznurkiem ludzie chodzić i dziwować się a cmokać... Ot, tobie się los zdarzył, a Glück! a Glück!

(Wychodzi).

MAŁASZKA

(sama; otwiera skrzynie, wyrzuca z niej gorączkowo trochę bielizny, szmat, chustek, wiąże część tych rzeczy, resztę porzuca na ziemi).

Ot, tobie los się zdarzył... ma prawdę Szmul, to jasna dola, to dobra dola mi się śmieje.

10 G. Zapolska. „Małaszka” (Lektor)

145

Na świat! na świat! Do państwa, do szerokich i widnych izb! A co mi tam tu gnić, ta marnie przepadać! Już mi tak sądzono, że bym w pańską służbę szła... Pójść muszę, bo mnie rwie, bo mnie rozszarpie, jakbym tu dłużej siedziała... (Chwyta tłomoczek i idzie ku drzwiom, nagle potrąca się o kołyskę). Tfu! cóż to?... A, to Stefanek! (Chwila milczenia). On ta nie zmarnieje bezemnie, ja i tak jemu na plewę zdatna. Julek go wyhołubi a potem to ja wrócę... (Chce iść — rękaw koszuli zaczepia się o kołyskę; ona, zgniewana, odwraca się). Tfu! czary, czy co? nie mogę iść — ot, wciąż mnie trzyma... (chce wyplatać rękaw). A to wprost trzyma jak rak (szarpie mocno). Urzekł mnie kto, czy co?! (wyrwa rękaw, zostawiając kawałek płótna). Ot tobie raz... (idzie kilka kroków, potrąca płonące łuczywo, łuczywo pada; ona patrzy chwilę, potem depce łuczywo nogami). Ogień mi w drogę zaszedł... to źle!... Może nie trza iść...

SZMUL
(we drzwiach).

Małaszka!

MAŁASZKA
(jakby walcząc z sobą),

A ten nawizeny ciągle gra!...

SZMUL.

Idziesz ty, czy nie?

MAŁASZKA
(j. w.).

Idę... idę... (na stronie). Ot, prost jakbym

wrosła w ziemię, nóg nie oderwać, siły brak. Tfu! przepadnij! zgiń! ty siło nieczysta!

(Chce się żegnać — ręka jej opada).

SZMUL.

Czego ty słuchasz? za czym ty patrzysz? — ty warjatka!... Chodź, bo idę do Dzendzery... No, chcesz, czy nie? Ja idę po Horpynę.

MAŁASZKA
(porywając się).

Niel nie!

(Z krzykiem wybiega gwałtownie z chaty. Na scenie zupełnie ciemno; flet ciągle gra).

SCENA VII.

■ ■

LAWDAŃSKI

(wbiega szybko, wydobywa stoczek i zapalnik, zapala stoczek i rozgląda się dokoła).

Niemal uciekał! uciekał! A, piekielnica! djablica! czarcie dziecko! Ja słyszał jej krzyk, jak z chaty leciała. Ja ten krzyk dobrze znam! w ucho go mam; prosto jak puszczyk wyje na rozdrożu! (z rozpaczą). Co robić? Wstrzymać ani weź! Mnie nie posłucha, jeszcze zabić gotowa. A potem co ja dla niej? — ani brat, ani swat... Ja wiedziałem, że tak będzie... Jak Szmul mówił, że mamki szuka po wsi i do niej też przyjdzie — ja wiedziałem, że ona poleci na to zaprzepaszczenie do miasta i tam ludziom we łbach przewracać będzie... (po chwili). A to zwodnica... Jaby się już był wyszko-

dował i korale jej dał — kto wie, może i jeszcze co dorzucił — a ona porwała się nagle i ani śladu o niej, ani słyhu... (rozgląda się i siada na kuferku). Teraz już musi przez las iść, za kwadrans dobieje się do stacji. Jabym za nią poleciał poleciał, ale to darmo, ona mnie nieposłucha a jeszcze w twarz napluje. Gdybym ja był jej mężem... (Nagle, jakby uderzony myślą, zrywa się z kuferka). Ano, przecież mąż jest, wołać go trzał... niech leci, niech ją zatrzyma, niech sprowadzi. Ale gdzie on? A! gra — słyhać go tu. (Wybiega przed chatę i woła): Julek! Julek! Nie słyshi, Julek! hodi z tem graniem! (Flet milknie, Lawdański wraca do chaty). Tak, tak! niech on po nią idzie, ja pójdę za nim zdala. Jakby przyjsć nie chciała, to związać, zbić pomogę a nazad do wsi przywiodę. (Nagle z namiętnością rzuca się na porozrzucane suknie Małaszi i całuje je, jak w szale). A ty projawo! ty odmino! ty siło nieczysta!... jak ty mnie do siebie ciągniesz! Ty wrócić musisz, albo ja za tobą pójdę; bo ja ciebie, twoich oczu i twego krzyku nawet chcę!...

SCENA VIII.

LAWDAŃSKI, JULEK.

■ ■

JULEK

(wchodzi przez drzwi środkowe).

Co to? ciemno tak? Cdzie ty, Małaska? To nie ty mnie wołała? Stepanek się budzi? Gdzie smolaki? trza ogień rozniecić.

LAWDAŃSKI.

Julek, ty ognia nie nieć, a w las biegnij!

JULEK.

To wy, panie Lawdański (po chwili). Gdzie Małaska?

LAWDAŃSKI.

Małaszi niema.

JULEK.

Może do sąsiady po żar poszła. Wy mnie pewno pisanie do miasta przyniesli. Dajcie, jutro świtem pojedę, choć taki jestem nie-swoj... Ot, w głowie to prosto jakiś żar, czy co...

LAWDAŃSKI.

Ty, Julek, dobrze słyhaj, co ci powiem. Małaska uciekła z chaty i już nie wróci.

JULEK

(nie rozumiejąc).

Czego nie wróci?

LAWDAŃSKI

(gorączkowo).

Bo Szmul ją zabrał na mamkę do dworu, do miasta, do pani hrabiny... (Julek stoi osłupiały). Ty, Julek, zbudź się! jeszcze czas, oni przez las idą na kolej... dogonisz ich! Chodź prędzej, ja z tobą... (wstrząsa ręką Julka). Czy ty ogłuchł? Może ty nie rozumiesz, co ja ci powiedział? Małaszkę wzięli do miasta w służbę — ona uciekła od ciebie, od dziecka i nie wróci tu nigdy.

JULEK

(jakby przez sen).

Uciekał uciekał...

LAWDAŃSKI.

No, patrz! (świeci stoczką). Rzeczy poroz-
rzucane; zabrała co lepsze a jej ani śladu.

JULEK
(j. w.).

Ani śladu!

LAWDAŃSKI.

Ale czas jeszcze jest, my ją dopędzimy,
żyda zbijemy a ją nazad do chaty przywie-
dziemy.

JULEK
(siadając machinalnie na ławce).

Przywiedziemy...

LAWDAŃSKI

Julek! czy ty się wściekł, że ty siedzisz jak
bałwan, kiedy ci żona uciekła i ciebie i dziec-
ko na przepaść zostawiła?... Ty nie wiesz, co
ją tam gna? Ty nie wiesz, że ona do pana
hrabiego leci, aby mu znów do nóg padać
i w kątach miłować się pozwolić? (Julek podnosi
głowę). A, patrz! patrz jak zwierzę! Co cała
wieś widziała, ty jeden nie widział... Twoja
żona wnet po weselu była miłośnicą pana
hrabiego i, jak szalona, za nim do sadu, albo
na uroczyska leciała... A on jej dał nie-
jedno... i...

JULEK.
(zrywa się z ławy i rzuca się z rykiem na Lawdańskiego).

Łżesz! łżesz! psi synu!

LAWDAŃSKI
(odtrącając go).

Ha, no! toś się poruszył wreszcie, ty tru-

piel... Mnie nie tykaj, bo cię jednym palcem
przewrócę! Ty zapytaj całej wsi, co na to
gospodarstwo twojej Małaszk! patrzyła a po-
tem mi powiesz, kto łże... (postępuje kilka kroków
i płacze się w chusteczkę hrabiego, rzuconą przez Ma-
łaszkę; schyla się i podnosi). Ano, patrz!... ot, je-
go chustka, pana grafa chustka! Ja tę chust-
kę dobrze znam. Widzisz, między jej szma-
tami była...

JULEK
(wyciągając ręce prawie nieprzytomny).

Dajcie!

LAWDAŃSKI
(rzuca mu chustkę).

Na! (schyla się nad skrzynią). Ano, patrz! Ty
jej kupił taką wstążkę? (wyciąga szeroką, piękną
wstążkę ze skrzyni). Prawda, że nie? To Szmul
jej przyniósł za pana hrabiego pieniądze...

JULEK
(j. w.).

Dajcie!

LAWDAŃSKI
(j. w.).

Ano bierz, bierz! napatrz się, to może się
przekonasz. No cóż? idziesz teraz zemną?
Trza nam dobrze biedz bo to i tak późno jest;
oni już koło stacji być muszą. Chodź!

(Chwyta Julka za rękę).

JULEK
(zataczając się nieprzytomnie).

Trza iść... trza iść... Stepanek się zbudził...
O! słysz — płacze... Supikę też wziąć trza,

bo jak na rozputij przyjdzie z maty sięść, to grać mi wisielak każe... a jak panu hrabiemu o żonę przyjdzie się pokłonić, to znów grać trza... grać trza... grać trza!... Al...
(jęk przechodzi w bolesny śmiech, zakończony łkaniem i Julek bezsilny osuwa się na ziemię).

LAWDAŃSKI

(z rozpaczą wstrząsa Julkiem kilkakrotnie).

Wstań! wstań! będzie za późno! Ty! kolej odejdzie... ona odejdzie, zginie nazawszel nie wrócił... Ja sam pójdę po nią! polecę! do nóg jej się rzucę... Niech depce, niech pluje jak na psa, ale niech tu wróci... Małaszk! Małaszk!

(Z krzykiem rzuca się ku drzwiom. Za sceną słychać oddalony gwizd lokomotywy).

Ha! zapóźno! już pojechała!... Niema jej... niema Małaszk!...

(Kopnąwszy nogą Julka, wybiega z chaty. — Cichy bardzo akompaniament w okieście do końca aktu — motyw sola fletu).

JULEK

(sam, w początkach obłąkania; po chwilowej pauzie podnosi się zwolna, ale zostaje na klęczkach).

Młodo zaswatali, młodo pogrzebali... Wiedzisz, maty, na co twemu Julkowi przyszło!... Miał żonę — wzięli mu żonę!... miał rozum — wzięli mu rozum!... Tylko dziecko zostawili... Ty, mały, się nie śmiejesz, że Julek durny był a pan hrabia mu żonę brał... Pan hrabia jasny pan, za to wstążkę dał taką krasną... taką krasną, jak lica Małaszk!...

(Podnosi się zwolna z trudnością, idzie ku drzwiom i otwiera je na rozciernie).

Zazulu! ty do chaty idź! już nocka czarna jak przepaść się robi a tobie po co tak koło sadu stać? Pan hrabia dziś nie przyjdzie... Chodź tu zazulu! Patrzu! ja sam, ja sierota — ja taki biedny, taki zmarnowany!

(Osuwa się znów na kolana i wyciąga ręce w stronę drzwi).

Ty nie chcesz tu przyjść, ja wiem! wiem, czemu — bo tobie w chacie ciemno, ta smutno. Tobie do dworu serce się rwie... Ja ci, zazulu, nic już więcej dać nie mogę, jak to, com ci dał. Pokraj ty mnie na ćwierci! weź ty duszę ze mnie, jak chcesz — bo ja biedniaszka, nie mam już więcej nic! nic!...

(Odwraca się po chwilowej pauzie w stronę kołyski).

Stepanek płacze... Trza dziecku jeść dać!..

(Wlecze się z trudnością do kołyski).

(Zasłona wolno spada).

Koniec aktu trzeciego.

AKT CZWARTY.

Za podniesieniem zasłony przegrywka krakowiaka. Sześć par w krakowskich kostjumach stoi ustawionych do tańca. Para pierwsza PANI ELEONORA i HRABIA JERZY, para druga PANNA ZOFJA i HRABIA KAZIO, para trzecia BARONOWA RÓŻA i ROSENKRANZ, para czwarta HRABINA HORTENSJA i jeden z gości, dwie pozostałe pary z osób niemych. Po lewej stronie sceny siedzi MARTA i KANONICZKA HADEN, po prawej stronie stoi MAZAMOWSKI i uważnie spogląda na tańczących. Gdy zasłona jest zupełnie podniesiona, pary tańczą krakowiaka i zatrzymują się przed orkiestrą.

SCENA I.

□ □

PANI ELEONORA

(w przegrywce do Marty).

Eh bien, Maciu, dites donc, jakież efekt
sprawiamy!

MARTA

(z uśmiechem).

Nie robicie wrażenia prawdziwych ludzi!

HADEN

(śmiejąc się).

Chyba „ludzi“.

MARTA

Może się pomyliłam.

MAZAMOWSKI

(z ukłonami).

Jeżeli się ośmielę wtrącić małe słówko
względem tańca jaśnie wielmożnych osobisto-
ści, to więcej życia nie będzie przeszkodą
w osiągnięciu pożądanego skutku.

PANNA ZOFJA

(śmiejąc się).

Dieu qu'il est diôle!

JERZY

(obracając się do Zofji).

Un pauvre diable! Allons! zaczynajmy. Niech
pan Mazamowski uważa. Teraz moje solo.

(Śpiewa)

Świeci miesiąc, świeci
Naokoło gwiazdzic,
Ja cię szukam hen, tędy,
A ty jesteś Ordzie...

(Obraca się triumfująco).

A co! to moja inwencja...

WSZYSCY.

Oh! charmant! charmant!

(Mazamowski z ukłonami prowadzi taniec).

KAZIO

(na froncie).

Panna Zofia!

(Śmieje się).

PANNA ZOFJA.

Śpiewaj szambelanie.

KAZIO.

Zaraz, zaraz!

JERZY.

Zaczynajmy!

KAZIO

(próbując).

Na kamieniu... Nie, to nie tak. El bo widzisz,
ton mi zgubiłeś; teraz nie wiem, jak to...

MAZAMOWSKI

(z ukłonem).

Ośmielę się podrzucić.

PANNA ZOFJA.

Eh, laisser donc... Pan nie masz słuchu —
tylko się skompromitujesz passer la dessus.

KAZIO.

Zapewniam panią, że miałem ten ton, wy-
chodząc z domu. C'est ironie.

JERZY.

Teraz na kogo kolej?

ROSENKRANZ

(przepychając się).

Teraz ja, Rosenkranz!

WSZYSCY

(śmiejąc się).

Rosenkranz! Rosenkranz!

ROSENKRANZ

Tylko proszę, cobyście się państwo ze mnie
nie wyśmiewali; ja tak sobie tylko zaśpiewam,
jak może śpiewać polski szlachcic.

HADEN
(do Marty).

A ten co?

MARTA
Hal c'est sons faible!

ROSENKRANZ
(śpiewa).

Gruszka i pół gruszki,
To półtorej gruszki —
Dama i pół damy,
To półtorej damy.
Hul ha!

ELEONORA
C'est gentil! kto to ułożył?

ROSENKRANZ.
To ja, Rosenkranz!

(Pary się rozchodzą. Eleonora zbliża się do kanoniczki
Haden i Mazamowskiego; zostają sami na boku).

HORTENSJA.
Sądzę, że na dziś już dosyć tej próby.

KAZIO,
Och! dosyć... Ale — co dziwnego zauwa-
żyłem, że nam wszystkim nad wyraz dobrze
w tych kostjumach, prawda?

WSZYSCY

Prawda! Vous avez raison!

MAZAMOWSKI
(na stronie).

Towarzystwo wspólnej admiracji...

PANNA ZOFJA.

Żałuj, Marto, że nie należysz do nas. Zro-
bimy piorunujący efekt, wpadając do sali ba-
lowej.

HORTENSJA.
Czy pozostaniemy dłużej na tym balu?

JERZY.
Nous allons voir, jak się tołoży. Będzie-
my się starali odseparować od reszty sali
i utworzymy osobny cercle.

RÓŻA.
Jeśli tak — będziemy mogły zabawić tam
czas jakiś.

ELEONORA.
On dit, że i te panie z teatru będą także
w sali... Czy to możebne?

JERZY,
Hal komitet był mieszany. Sądzę, że się
wkradło trochę nieporządku.

ELEONORA.
Nous espérons, że nas nie zechcecie nara-
żać na tak niemiłe sąsiedztwo i wcześniej
postaracie się, aby damy te nie przybyły.

WSZYSTKIE PANIE
(oprócz Marty i kanoniczki)

Och! oui, nous vous supplions!

MAZAMOWSKI
(na stronie).

Boją się porównać.

KAZIO.

Bądźcie panie przekonane, que nous ferons tout notre possible, aby się stało zadość życzeniom pań...

ROSENKRANZ.

I ja także — ja, Rosenkranz!

(Przez ten czas wszyscy posiadali; Mazamowski stoi w kącie, usuwając się ciągle).

HADEN
(cicho do Eleonory).

Prosiłam panią kilkakrotnie, ażebyś nie tańczyła z Jerzym. Afiszuje to go niepotrzebnie a i panią także, jeśli to być jeszcze może...

ELEONORA
(równie cicho do Haden).

Niepotrzebnie się pani troszczysz. Pan Jerzy jest dawno pełnoletnim i postępuje według swej woli. Tańczę z nim, bo dobrze tańczy i pasuje do moich włosów. Voila tout!

HADEN.

Jesteś pani bezczelna! Występuję tu w imieniu żony Jerzego.

ELEONORA.

Czy upoważniła panią do tego?

HADEN
(żywo).

Jamais... voila une idée. Ale lękam się, aby nie spostrzegła wreszcie, co się tu dzieje. Jest tak delikatna i słabowita, że mogłaby to przypłacić życiem. Nie chcę tego! Zakazuje pani prowadzenia dalej romansu z Jerzym!

ELEONORA
(ze znaczeniem)

A chere damel... Przyznałabym ci zupełną rację a nawet usłuchała twych rad, gdybyś była matką Jerzego. Ponieważ tylko jesteś jego ciotką, pozwól, że, złożywszy niski ukłon, odejdę w inną stronę. Au plaisir...

(Podchodzi do grupy, w której znajduje się Jerzy).

HADEN
(na stronie)

Bezczelna żmija! Ale przyjdzie czas; kiedy i ona kąsać przestanie.

(Zwraca się do Marty).

PANNA ZOFJA
(do Kazia).

Vous avez l'air, zupełnie zniwelowanego człowieka.

KAZIO.

Ach, ten krakowiak mnie tak zmęczył. Teraz, kiedy usiadłem, zdaje się, że jestem w rajcu...

PANNA ZOFJA.

A gdybyś pan usiadł naprzykład koło naszej kanoniczki, byłbyś także, jak... w raju?

KAZIO

(z galanterją).

Ach. Dieu! Sąsiedztwo anioła sprawia mi to złudzenie!

PANNA ZOFJA.

A aniołem tym?...

KAZIO

(tłumiąc ziewanie).

Pani!

PANNA ZOFJA

(na stronie).

Szkoda, że tu mamy niema, możnaby ten interes ubić. (Głośno). Cóż ztąd — niedługo już odjeżdżamy... Będiesz pan musiał wstać z tego raju...

KAZIO.

Szkoda... Chciałbym tak siedzieć życie całe.

PANNA ZOFJA

(szybko).

Powtórz to pan mamie.

KAZIO

(reflektując się).

Mamie? a to po co? Wszak ja mogę siedzieć przy pani ile zechcę a mama nie będzie nic miała przeciw temu (na stronie). O! byłbym wpadł w pułapkę!

PANNA ZOFJA

(na stronie).

Nie udało się. Próbuje jeszcze... cierpliwości przedewszystkiem.

(Rozmawiają pocichu).

MAZAMOWSKI

(do siebie).

Wszyscy posiadali... nie wiem, czy i mnie usiąść wypada. Nogi mnie bardzo bołą a dziś tańczę w tej przeklętej „Meluzynie”. Czuję, że wyjdę z formy i sypnę się... jak statysta...

RÓŻA.

Kiedyż druga repetycja?

JERZY.

Sądę, że jutro.

KAZIO.

Czy znowu tutaj?

ELEONORA.

Ach, nie! Zanadto utrudzamy tę kochaną Martę. Jest już tak błądą i zmęczoną, że aż przykro patrzeć.

MARTA.

Zwodzi was moja twarz. Jestem dziś bardzo silna. Mogłabym nawet z wami tańczyć, gdybyście mnie do swego grona przyjęli.

ROSENKRANZ.

Toby było bardzo pięknie. Pani byś wyglądała w kostjumie jak bóstwo. Ja to mówię — ja, Rosenkranz. Hrabina Zdżisiowa, ta ze

Lwowa, co to jej mąż to jest mój kuzyn, to także taka blada jak pani a w kostjumie to była...

MARTA
(śmiejąc się).

Jeszcze bledszal

ROSENKRANZ.

Ale nie — wyglądała jak róża. Ja to pani hrabinie mówię — ja, Rosenkranz.

HORTENSJA

Zdaje mi się jednak, że ten krakowiak trochę za długi... możemy zapomnieć figur.

JERZY.

Możnaby go skrócić. Panie Mazamowski — gdzież on? Al jest! Niech pan Mazamowski pomyśli, żeby trochę taniec był krótszy.

MAZAMOWSKI.

Jeśli takie życzenie całego grona tańczącego, możnaby ująć „baranki“, albo „pałataj“. Jedna z tych figur odpadnie bez szkody dla społeczeństwa.

PANNA ZOFJA.

Wielka szkoda, żeśmy się nie namyślili wcześniej. Oto pan Kazimierz opowiada mi o jakimś huculskim weselu, które widział u rodziców Marty. Kostjumy są malownicze.

ELEONORA.

Czy taniec miejscowy trudny?

JERZY.

Nie wiem. Mais voila une idée, byłoby nam więcej do twarzy w takich kostjumach.

ELEONORA.

Czy nie macie rycin lub jakich gravures odpowiednich, aby zobaczyć stroje?

MARTA.

Rycin nie mamy, ale jest u nas żywy model. (Dzwoni). Będziecie panie mogły obejrzeć dokładnie ubiór, bo na wyraźny mój rozkaz zachowała swój strój, w którym jest jej nadzwyczaj do twarzy. Chciała się przebrać, przyjechawszy do miasta, ale jej na to nie pozwoliłam.

ROSENKRANZ.

Bardzo piękna kobieta. Widziałem ją w Saskim ogrodzie. jeszcze w lecie... Ma w sobie jakiś charakter; ja to mówię — ja, Rosenkranz!

(Wchodzi Lawdański).

MARTA.

Zawołać tu mamkę.

(Lawdański wychodzi).

RÓŻA

(do Eleonory).

Piękny chłopiec... Zkąd go wzięli?

ELEONORA

(do Róży).

Przywieźli go z domu rodziców — a właściwie dopiero przedwczoraj Jerzy przyjechał

z nim razem. Przedtem towarzyszył hrabiemu w podróży.

RÓŻA.

Oryginalne małżeństwo! W kilka miesięcy po ślubie mąż odjeżdża od żony i drapie się na szczyty Alp. Je n'y comprend rien.

ELEONORA.

Moi de meme.

RÓŻA.

Musieliście się widzieć zagranicą?

ELEONORA.

Chwilowo w Gmunden.

RÓŻA.

Tak?... Al teraz trochę więcej rozumiem...

(Rozmawiają pocichu).

ROSENKRANZ

(do Kazia).

Mój hrabio Kaziu! proszę, powiedz mi ty, panie hrabio, czy to prawda, że ten biedny Orcio ma zatarg ze swoim teściem o jakiś posag?

KAZIO.

Nie wiem, ty Rosenkranz, nie słyszałem o tem wcale. Wiem, że prosto z podróży pojechał do starego i przedwczoraj powrócił, ale jak to dalej jest — nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

SCENA II.

(Lokaje wnoszą zapalone kandelabry i stawiają na słupach. Lawdański otwiera drzwi i w głębi ukazuje się Małaszką, wystrojona, w wełnianej ponsowej spódnicy, koszuli wyszytej, obwieszoną paciorkami; na głowie niebieska jedwabna chustka. Chwilę stoi, patrząc zuchwale na zgromadzonych, poczem postępuje na przód sceny i staje z głową podniesioną i wyzywającym wyrazem twarzy. Panie przypatrują się jej pilnie przez szkiełka).

RÓŻA.

En verité — kostjum o wiele piękniejszy od krakowskiego.

PANNA ZOFJA.

Nasze kostjумы gasną przy nim zupełnie.

HORTENSJA.

Wyszycie na koszuli jest bardzo pracowite. Niechno podniesie trochę rękę. Chcę obejrzeć to zbliżka.

(Małaszką stoi nieruchoma).

PANNA ZOFJA.

Mais elle est sourde. Czy nie słyszy, co do niej mówią? Niech rękę podniesiel!

MAŁASZKA

(nie ruszając się z miejsca, przez zaciśnięte zęby).

Pek wam!

MARTA.

Elle est extremement entetée (do Małaszką). Może dziecko, te panie proszą cię, ażebyś im pokazała twoje ubranie.

(Małaszką wyciąga ze złością rękę).

HADEN
(do Marty).

Nie potrzebniesz ją popsuła swoją dobrocią.

MARTA.

Wiem o tem. Pobłążałam jej przez wzgląd na dziecko. Dziś już czuję, że zapóźno. Ulegam jej, bo inaczej musiałabym ją oddalić; a ona mówi, że Marjanek rozchoruje się z tęsknoty za nią.

HADEN.

Kto to wiel

MARTA.

Och, to możebne! Półtora roku, jak tu ją przywieźli — nikomu nie da przystąpić do dziecka; przez ten czas Marjanek przyzwyczaił się do niej bardzo. Wolę znosić jej kaprysy, niż narazić dziecko na chorobę.

KAZIO

(do Jerzego, patrząc na Małazkę).

Ja tę twarz gdzieś widziałem.

JERZY.

Nie patrz w tamtą stronę. Nasze panie mogą się o to obrazić.

KAZIO.

Boisz się żony, czy...

JERZY.

Nie lubię scen, to mi daje na nerwy a jestem już i tak zanadto zdenerwowany.

RÓŻA
(do Małazki).

A co wy tańczujecie tam w domu, na wsi? (do pań). Ah! comme c'est difficile rozmawiać z taką figurą...

MAŁAZKA
(złośliwie).

Tańczymy do woli, co kto chce — tropaka, czerebiaczkę, kołomyjkę — ot, co wola! Ale kobiety do tego muszą być młode i krasne a zwinne, bo jak jest inaczej, to za nic cała ochota.

HADEN
(do Eleonory).

Ona ma spryt! Zaraz nas wszystkie otaksowała na stare i brzydkie.

ELEONORA.

Vous persez? Sądzę, że powiedziała to bez *arrière pensée*.

RÓŻA
(do Małazki).

To twoje ubranie od święta? Oryginalne. Czy to ze wsi przywiezione?

MAŁAZKA.

Nie. Ja tu przyjechałam w ochwocie i zapasce, z oczepkiem i namitką, ale jaśnie pani dała mi spódnice i chustkę, bo to ładniejsze.

RÓŻA.

Co do ubrań, sądzą, że jeszcze zdążymy; tylko z tańcem bieda — musi być trudny.

MARTA.

Zatańcz, Małaszko. Zrób to dla mnie...

MAŁASZKA

(grymaśnie).

Głowa mnie boli.

MARTA.

Moje dziecko, ja cię proszę! tylko kilka kroków, tak jak tańczysz sama przed Marjan-kiem. No!...

MAŁASZKA

(udając wstyd).

Wstydzę się...

MARTA.

Czego? Te panie nie będą się śmiały. No, dalej, dalej — tak ładnie tańczysz...

ELEONORA

(do Jerzego).

Coś nasza balerina się droży.

JEEZY

(odwraca się do Eleonory, ale nie patrzy na Małazkę).

Zwykły chłopski narów i upór.

MAŁASZKA

(patrzac na Jerzego).

Pan hrabia!

MARTA.

Tańczysz, Małaszko?...

MAŁASZKA.

Tak, jaśnie pani, teraz zatańczę co wola.

MAZAMOWSKI

(na stronie).

Może i ja co skorzystam. Choć zawsze tańczę ludowe tańce, to przecie nigdy chłopa tańczącego nie widziałem.

(Małaszka tańczy. Obecni rozsuwają się na dwie grupy — po jednej stronie kanoniczka Haden, Marta, Rosenkranz, baronowa Róza; po drugiej stronie hrabia Jerzy, Eleonora, panna Zofia, hrabia Kazio, hrabina Hortensja, Mazamowski. Hrabia Jerzy na pierwszym planie z brzoza, tak, aby Małaszka w tańcu mogła znaleźć się przed nim i spojrzeć mu w oznaczonej chwili w oczy).

ROSENKRANZ.

Nie tańczy źle, prawda, hrabino?

MARTA.

Musiała się dość natanńczyć od dziecka.

HADEN.

Czy wiesz, Maciu, że ta kobieta ma zły wyraz twarzy. Coś jest w niej niepoczcziwego.

MARTA.

Nie znajduję tego.

PANNA ZOFJA

(do Kazia).

Zawsze ten taniec jest trochę trudny. Nest ce pas?

KAZIO.

Krakowiak o wiele łatwiejszy.

(Małaszka w tańcu staje przed hrabią Jerzym; chwilę patrzy mu w twarz; później, jakby dalej tańcząc, pochyla się nisko do kolan Jerzego. Reszta obecnych zajęta rozmową).

MAŁASZKA.

Pan hrabia.

JERZY.

To ty, Małaszka!

MAŁASZKA

(z ukrytą złością).

Jal

(Prostuje się i dalej w tańcu odchodzi).

JERZY

(do siebie).

Ona! ona! Dobrze, że tu jest. Ta chłopka na mnie trochę działa. Ożywie się na czas jakiś.

ELEONORA

(do Jerzego).

Ty coś mówiłeś z tą chłopką.

JERZY.

Qu'elle idée — ani mi się marzyło.

ELEONORA.

Będę dziś w teatrze — łoża numer piąty. Przyjdiesz?

JERZY

(znudzony).

Przyjdę.

ELEONORA.

Pamiętaj! — inaczej skandal!

MAŁASZKA

(zwalniając tempo, patrzy na Jerzego i Eleonorę).

Pek im! Z tą martwicą znów gada. Lawdański prawdę miał... to jego kochanka!

(Nagle przestaje tańczyć i udaje, że wybucha płaczem).

WSZYSCY.

A to co?

(Małaszka płacze, obcierając oczy fartuchem).

MARTA

(troskliwie).

Co ci jest, Małaszka? Mój Boże! nie płacz... ty wiesz — doktor nie pozwolił ci płakać. Marjankowi może zaszkodzić. No, już nie tańcz, idź do swego pokoju! (do gości). Biedna! — jest bardzo wrażliwa... Musiały się jej przypomnieć strony rodzinne, mąż, dziecko. Prawda, Małaszka?

MAŁASZKA.

(udając smutek).

Tak, jaśnie pani.

PANNA ZOFJA.

Est ce possible, aby była poetyczną do tego stopnia?

HADEN

(na stronie).

Dziwnie płacze suchymi oczami.

MARTA.

Każdy ma serce, czemużby ona serca mieć nie miała. Idź, Małaszka, do dziecinnego pokoju, ja tam wnet nadejdę.

MAŁASZKA.

(wolno wychodząc, mruczy pod nosem).

Durne bestje!

SCENA III.

22

ELEONORA.

A więc już ułożone... Jutro u mnie ostateczna narada co do powzięcia stanowczej decyzji. Zresztą, dziś jeszcze mamy raut u Błędowskich, po teatrze przyjadę, może tam co postanowimy.

KAZIO.

Sprawę tę trzeba wytoczyć przed areopagiem ludzi poważnych. Trzeba się dobrze za stanowić.

RÓŻA.

Moglibyśmy się zblamować...

PANNA ZOFJA.

Wszystko, byle nie to.

(Podczas tej rozmowy wszyscy żegnają się kolejno z Martą i kanoniczką. Jerzy odprowadza damy do drzwi, które na rozcierni otwiera Lawdański; w głębi ukazuje się przedpokój, w którym damy przy pomocy lokai nakładają futra).

ROSENKRANZ.

Pozwoli hrabina, że jej powiem: moje uszanowaniu!

MARTA.

A ja odpowiem: dowidzenia, panie.

ROSENKRANZ.

Rosenkranz — tak, tak, Rosenkranz!

ELEONORA

(do Marty).

Au revoir, mon ange! Połóż się wcześniej —

jesteś toute abattue — potrzebujesz spoczynku. Dowidzenia, kochana kanoniczko!

HADEN.

Przybędę jutro na repetycję wraz z Jerzym... chociaż mnie nie prosisz.

ELEONORA.

Och! jestem zachwycona! (na stronie). Nieznośna gadzina!

HADEN

(na stronie).

Bezczelna kokietka! (do Marty). Maciu, trzeba coś zrobić z tą figurą.

(Pokazuje na Mazamowskiego).

MARTA.

Ach, prawda! Ten baletnik... Trzeba go wyprawić.

HADEN.

Ja to zrobię. (Głośno). Pan Mazamowski zapewne także pragnie się oddalić... Żegnamy!

MAZAMOWSKI

(z ukłonami zbliża się do Marty i ujmując jej rękę, na której składa pocałunek).

Pani hrabinie należy hołd i szacunek!

MARTA.

Pan dziś jeszcze zajęty?

MAZAMOWSKI.

Tak, pani hrabino, robię złego ducha i króla morskich potworów w balecie „Meluzyna”. To moje najlepsze reakcje — ośmielam się powiedzieć.

MARTA

(j. w.).

Nie wątpię... kto ma takie zdolności.

MAZAMOWSKI

(z ukłonem).

Och! pani hrabino! zbytek łaski! zbytek łaski!

PANNA ZOFJA

(do Kazia).

Czy będziesz pan przy mnie siedział i na dzisiejszym raucie?

KAZIO.

To się rozumie! (na stronie). Już mnie nie łapiesz!

SCENA IV.

KANONICZKA HADEN, MARTA, JERZY, później
MAD. LATOUR.

■ ■

HADEN.

Szczęśliwa jestem, że sobie poszli. Nic mnie tak nie drażni, jak to bezsensowne paplanie tych wystrojonych kwoczek. Powiedz mi, Maciu, po co sprowadziłaś tę całą fałangę?

MARTA.

Było to wyraźnem życzeniem hrabiego. Wiesz dobrze, moja ciociu, że on lubi się bawić a ja... lubię to, co mój mąż lubi. C'est simple comme le bonjour.

HADEN.

Zanadto mu pobłażasz. Wszyscy korzystają z dobroci twego serca. Jerzy powinien dostać od ciebie ostrą nauczkę za tę długą nieobecność i niewłaściwą podróż, jaką odbył bez ciebie, nie wiadomo, z jakich powodów.

MARTA.

Nie łaj go, ciociu. Skoro na progu domu spotkają go wymówki — zniechęci się jeszcze więcej. On już i tak zniechęcony.

HADEN.

Ależ, Maciu, źle mnie zrozumiałaś. Bądź pewna, że uczucia Jerzego nie uległy żadnej zmianie — kocha cię zawsze jednakowo.

MARTA

(z myślą).

O, tak! kocha mnie zawsze jednakowo... Z tem wszystkiem pójdę zajrzeć do Marjanka. Nie byłam tam od południa, dziecko nudzić się musi. Małazka była w złym humorze — może nie zechce je bawić.

HADEN.

Ty i dziecko psujesz niepotrzebnie.

MARTA.

Och, c'est plus fort que moi, ciociu! Czem jest dla mnie mój syn? To życie moje, to powód mego na świecie wegetowania. Muszę go pieścić, muszę go kochać... to silniejsze nademnie!

(Jerzy powraca z przedpokoju).

JERZY.

Niema już nikogo. Sądze, że mogę już zdjąć z siebie ten ubiór. Jakże moje panie sądzą: czy jestem piękniejszy en frac, czy en kiorczio?

HADEN!

Mój Orciu, mam z tobą pomówić o ważnych sprawach. Czy możesz mi poświęcić chwilę czasu?

JERZY.

Je suis tout a vos ordres! (na stronie). Będzie coś mądrego! (głośno). Tylko spiesz się, cioteczko, bo za małą chwilkę je mesaure.

HADEN.

Nie obawiaj się — nie zabiorę ci wiele drogiego czasu.

MAD. LATOUR

(wchodzi z ukłonem).

Moja Maciu, Marjanek płacze a Małaszka czegoś grymasi i nie chce zająć się dzieckiem. Kazałam jej dać cukierków, galarety a nawet wina — nie chce ni pić, ani jeść, tylko chmurzy się ciągle. Może ty co poradzisz, car je suis à bont de mes forces.

MARTA.

Idę... (do Jerzego). Wychodzisz prędko?

JERZY.

A l'assistant. Skoro się ubiorę. Przyjdę jednak, aby cię pożegnać.

MARTA.

Nie trudź się do mnie. Zastaniesz mnie tu z dzieckiem. Marjanek lubi wieczorem bawić się w tym salonie. Urządzamy sobie rauty à notre manière.

(Wychodzi z mad. Latour).

SCENA V.

KAN. HADEN i HR. JERZY.

22

HADEN.

Masz prawdziwą świętą za żonę.

JERZY.

Zanadto święta. Nie lubię takie sainte Nitouche. Zdaje się, że człowiek popełnia karygodny występki, zbliżając się do podobnej madonny.

HADEN.

Do pani Eleonory przystęp jest o wiele łatwiejszy.

JERZY

(z niecierpliwością).

Och! i ty, ciociu, zaczynasz mnie nudzić swymi morałami. Proszę cię, nie doprowadzaj mnie do ostateczności. Nie wiesz i nigdy nie pojmiesz, do jakiego stopnia jestem rozdrażniony. Wszystko sprzysięga się na moją zgubę.

HADEN.

Na twoją zgubę! Spodziewam się; sam leć ku przepaści jak szalony, jak ćma do

plonącej świecy... Od dziecka miałeś zawsze dziwne upodobanie nie myśleć o jutrze, byle dziś wesoło przeszło. Ileż razy później, podczas twych kawalerskich miłych dni, ratowałam cię z tych przepaści, w które sam dobrowolnie wpadałeś. Co wypełniało dnie i noce całe? Gra, wino, miłości i długi...

JERZY
(spokojnie).

Co do tego ostatniego punktu, pozwól, moja ciociu, że winę przyjmiesz na siebie. Gdybym miał dostateczną ilość pieniędzy, nie robiłbym długów. C'est clair comme la lune.

HADEN.

Miałeś aż zbyt wiele — ale tobie nigdy nie jest dosyć. Sądząc, że życie rodzinne potrafi cię uspokoić, wyszukałam ci żonę.

JERZY.

Nie powinnaś się chwalić z takim wyborem.

HADEN.

Dałam ci dziewczynę młodą, piękną, uczciwą i z dobrego gniazda.

JERZY.

Co do owego gniazda, to jeszcze wielkie pytanie.

HADEN.

I cóż ty zrobiłeś z tem niewinnem a tak serdecznem dzieckiem?... Zgubiłeś jej życie brakiem uczucia i odpychającym chłodem, który ona aż nadto dobrze dostrzega. W swej

bezmiernej szlachetności stara się pokryć twój egoizm i, zadając gwałt swemu smutkowi, odplaca ci serdecznością za twą oziębłość. W kilka miesięcy po ślubie wyjechałeś nagle zagranicę, zostawiając Martę chorą i życia niepewną. Co robiłeś tak długo w Szwajcarii? Dlaczego właśnie wybrałeś miejsce pobytu w Gmunden, gdzie bawiła pani Eleonora?...

JERZY.

Encore!

HADEN.

Tak! I mówić będę o tem ci ciągle, dopóki nie zerwiesz tego wstrętnego stosunku, który kompromituje cię w oczach świata.

JERZY.

Ach! mais je ne demande pas un'evol — dawno chciałem to sam uczynić, ale nie mogę.

HADEN.

Nie możesz? Powiedz raczej: „nie chcę“! Podoba ci się to życie brudu i kału, które pędzisz. Pani Eleonora należy także do komicznych akcesoryj takiego życia. Jerzy! Jerzy! kiedy nadejdzie chwila twego upamiętania?

JERZY.

Zkądże ty tak tragicznie spoglądasz na życie? Ty, ciotko, która do tej chwili brałaś to życie z tak wesołej strony?

HADEN.

Pozory cię zawodzą. Ja przeszłam wiele i przebolełam niejedno. Dziś śmieję się ze

wszystkiego i ze wszystkich, ale tylko wobec ludzi, bo w gruncie mej duszy mam zupełnie inne zapatrywania. Dla mnie życie było ciężką i twardą szkołą... Zdawszy egzamin, śmieję się pozornie z przebytych mozołów, ale w rzeczywistości mam przechowaną całą pamięć lat minionych. Dla ciebie przecież pragnęłam stworzyć inny byt, egzystencję odpowiedniejszą dla człowieka, mającego piękne imię i byt zapewniony. Ty wszakże roztrwonileś niebacznie wszelkie starania moje, tak, jak roztrwaniasz bezustannie pieniądze, które ci dostarczam.

JERZY
(chmurno).

To jedno jeszcze mnie zajmuje — nie powinnaś mi bronić tego.

HADEN.

Masz przecież syna i względem niego obowiązki. Winienesz mu zapewnić niezależność i to powinno cię powstrzymać choćby od... szulerki.

JERZY
(ironicznie).

Ciotka jest w błędzie. Nie szuleruję nigdy — gram tylko. To różnica. Dowodem, że przegrywam zawsze. Mam tak zwaną piękną grę...

HADEN.

Ty szydzisz, Jerzy, kiedy widzisz mnie tak bardzo wzburzoną. Czy sądzisz, że nie wiem o tem szaleństwie. Pojechałeś do teścia z żądaniem usamowolnienia Marty i oddania jej

pod twą kuratelę. Wiem, co to znaczy. Pragniesz napocząć sumę, którą wam zapisałam z warunkiem używalności tylko procentów.

JERZY
(gniewnie).

Ach, voila assez! Tak, jeździłem do teścia, bo potrzebuję pieniędzy i to gwałtownie, natychmiast. W razie niespełnienia mych życzeń, zagroziłem separacją i... dałem mu tydzień czasu do namysłu.

HADEN.

Jerzy! co słyszysz? A więc tak nisko spadłeś, że frymarzysz sobą, jakby towarem?! Nie rozumiem cię — od zmysłów odchodzę, słysząc takie potworne słowa. Wychowałeś się w Tarnopolu — ojcowie czuwali nad tobą, miałeś w koło siebie najzacniejsze i najpiękniejsze przykłady. Któż winien temu, co się stało? kto?

JERZY
(po chwili, ponuro).

Ty, matko!

HADEN
(słabo).

Matko!...

JERZY.

Czy, sądzisz, że nie wiem jaki jest prawdziwy węzeł, który nas łączy? O! podrostkiem zaledwie już wiedziałem o swem dwuznacznem pochodzeniu i bolałem nad niem. Nie mówię ci tego, aby robić jakieś wyrzuty —

nie, wcale. Sądę, że byłaś dość nieszczęśliwą a pozorna przysługa, którą ci oddała twoja siostra i szwagier, musiała cię kosztować wiele bólu i przykrości. Ale stało się i tego zmieniło nie było podobna. Dziś jednak niesłusznie rzucasz na mnie kamieniem, że żyję nad możność i nad stan. Przyzwyczaiłaś mnie do tego, psułaś od dzieciństwa, robiąc ze mnie swe własne bożyszcze i cherubinka salonów. Dzieckiem rozrzuciałam już pieniądze — czyż teraz powinnaś się dziwić, że te dłonie, przyzwyczajone do złotego deszczu, mimowoli wyciągają się w stronę pieniędzy i pragną ich jaknajwięcej. Nie nauczyliście mnie praktycznej strony życia. Po co? na co? Niech się bawil! Gdy wyszumi, ożenimy go — ustatkuję się. I zaczęto mnie żenić. Z wzrastającą goryczą). Ale z mojem dwuznacznem pochodzeniem trudno było o odpowiednią partję. Znalezione suchotnicę anielsko dobrą, ubraną w zapis i dano mi na życie. Ach, naprawdę c'est bien diable, taka kombinacja, której ofiarą pada wolność i szczęście ludzkie! Byłem w twych rękach, matko, mamekinem, którym obracałaś wedle woli; oddałaś mnie do Tarnopola, wysłałaś do Monaco, ożeniłaś... bardzo dobrze! Prowadź mnie tak dalej — już ja woli swej mieć nie będę i nie chcę, tylko zagłusz we mnie wszystko brzękiem pieniędzy. Niech ten dźwięk pokryje każde moje pragnienie i twoje sumienie, matko, jeśli się kiedyś obudzi.

HADEN.

Moje sumienie jest czyste. Staralam się żyć tylko dla twego dobra.

JERZY.

Być może... (zmieniając ton). Idę przemienić suknie. Jadę na raut... Żegnaj cię, ciotko.

(Wychodzi).

SCENA VI.

KAN. HADEN, MARTA, MAŁASZKA.

» »

HADEN

(sama, po chwili).

Czyż byłaby prawda to wszystko, co on powiedział? Działalam w najlepszej wierze. Nie sądzę, aby była w tem moja wina. Wychowywałam Jerzego, jak wszyscy młodzi ludzie z naszego świata byli wychowywani. W czem tu zawiniłam? Boże, mój Boże!

(Wchodzi Marta i Małaszka z dzieckiem).

MARTA

(do Małaszki).

Tak! usiądziecie sobie tu na sofce i będziecie się bawić ze mną. Tylko, moja Małaszko, proszę cię, nie dawaj dziecku albumów z fotografiami, ani tych książek z rysunkami. Podało je zupełnie.

MAŁASZKA

(siadając na kanapie).

Proszę pani hrabiny, to nie przezemnie.

Marjanek chce a dziecku dać trza, co się należy, bo inaczej się rozkrzyczy.

MARTA.

To ty przynajmniej uważaj. (Do kanoniczki). Co ci to, ciociu? Płaczesz?

HADEN.

Ależ nie! mylisz się. Nie płaczę wcale. Oczy mnie bolą — przytem mam migrenę. Jeśli nie masz nic przeciw temu, pójdę do swego pokoju.

MARTA.

Ja cię odprowadzę (do Małaszk). Ja zaraz powrócę. Pa, Maniusiu, pa! A uważaj, Małaszka, żeby Maniś nie spał — proszę cię! Pa! synkul ja zaraz powrócę.

(Wychodzi z kanoniczką).

MAŁASZKA

(sama z dzieckiem).

Ot tobie raz! Pa! pa! — ale detynę na rękę ponosić, to nie, bo ciężko, bo nie udźwigniel (do dziecka). Cicho, ty projawo jedna! Jak nie będziesz milczeć, to cię uduszę! (wstaje z kanapy). Pan hrabia jest, poznał mnie. Czemu poznać nie miał, przecież w krasę bogata. Mnie się zdaje, że ja powiększałam trochę (patrzy w lustro). Ot, buty już się nie świecą, trza pani powiedzieć, coby drugie kupić kazała (do dziecka). Ty odmino, siedź tam, bo zlecisz! Hrabia taki przyjść to musi — nie dziś, nie jutro — a przyjdzie. Ot, ty, Małaszka, rozum miej a głowę hardo noś! Ty szalała — a on cię cisnął, ta

w świat poszedł; niechaj teraz on ci się pokłoni a ty przez plecy patrz, ta patrz!

SCENA VII.

MAŁASZKA, LAWDAŃSKI.

22

LAWDAŃSKI.

Sama jest. Dobra chwila. Teraz powiem jej — nie zechce, to sama będzie winna. Niech ją spotka. (Głośno). Małaszka!

MAŁASZKA

(z godnością siada na kanapie).

A, to pan Lawdański — za czem?

LAWDAŃSKI

(hardo).

Zawsze za jednym! Ty, Małaszka, nocką uciekła ze wsi — i męża i dziecko cisnęła. To nic! Ale czemu ty mnie cisnęła — mnie, com cię tak umiłował?

MAŁASZKA

(gwałtownie).

Ty jeszcze mi zawodzisz, przekłety nędzakul! Ja ciebie, ani Julka, ani całego siola znać nie chcę! Słysz!

LAWDAŃSKI.

Ty wracaj do wsi, do sadyby! Wracaj dziś zaraz, ja cię zawiozę.

MAŁASZKA.

Ty się wściekł? Ja służbę rzucić? Patrzenie

go! Patrz, ty durny a oczy wypatruj! jakie u mnie buty, a jakie korale a ten krzyżyk to złoto — a ot, pierścień jaki! I ja miałabym od tego wszystkiego odstać! Ty niesamowity!

LAWDAŃSKI.

Ty wiesz, że mnie nazad wracać trzeba do służby. A potem, choćbym tu dla ciebie został, to ja nie chcę, byś tu była, ot... rozumiesz! nie chcę!

MAŁASZKA.

A to wertki — no! no! Tobie pan hrabia nie wład? No, ty prawdę masz, ale już tak musi być, znasz?

LAWDAŃSKI.

Nie, tak nie będzie! Ty wróciłeś! ty musisz wrócić! Ja na ciebie sposób mam. Ty się nikogo nie boisz na świecie, ale ja rozum mam i ze sobą kogoś przywiodłem, co cię weźmie jak swoją...

MAŁASZKA

(przerażona).

Ty? ty przywiodłeś kogo?

LAWDAŃSKI.

Kogo? Julka, twego męża!... No! śmieję się teraz jak puszczek, śmieję się po swojemu. Ja Julka na kolej wziął, bilet mu kupił, ta przywiózł i tu go skrył. U mnie groszy dość jest, ja go przywiódł i trzymać będę wedle potrzeby. On nad tobą władzę ma i radę sobie z tobą da. No cóż? wracasz sama ze mną? mów?

MAŁASZKA

(po chwili).

Niel

LAWDAŃSKI

(wściekły).

Zostajesz?

MAŁASZKA.

Ostaję!

LAWDAŃSKI

(j. w.).

Ty się go strzeż! on ci złe uczynić może — on już całkiem niesamowity. A ja mściwy! ja go puszczę jak psa wściekłego, niech z tobą robi co chce... Będzie z tobą złe... będzie złe, ty przekłeta wiedźmo!

(Odchodzi trochę wgląb).

MAŁASZKA

(sama na środku sceny).

Wraże syny! wraże syny!...

SCENA VIII.

MAŁASZKA, JERZY, LAWDAŃSKI.

■ ■

JERZY

(wchodzi we fraku).

A! Małazka... dobre spotkanie... Zbliż się tu, Małazka. Gdzie pani hrabina?

LAWDAŃSKI

(wysuwa się pomiędzy Jerzego i Małazkę).

Jaśnie pani jest u starszej pani, zaraz powróci.

JERZY

(niezadowolony).

Co tu robisz? Odejdź! Kaź, niech Juob za-
jeżdża.

LAWDAŃSKI.

Zaraz, panie hrabio! (do Małaszk). Zostajesz?

MAŁASZKA.

Ostaje!

LAWDANSKI.

Na marne skończysz!

(Wychodzi).

JERZY.

Małaszk, czego ty się chmurzysz? Gnie-
wasz się, czy co? (Małaszk stoi chmurna i nie nie
odpowiada). Tyś tam na wsi była całkiem inna.
No, spojrz się na mnie po dawnemu i roze-
śmiej się tak, jak to ty umiesz.

MAŁASZKA

(chmurno).

Ja się śmiać zabyłam a na pana patrzeć
nie chcę.

JERZY.

Czemu?

MAŁASZKA.

Bo od patrzenia w słońko oczy bolą. Po
co mnie oczy boleć mają?

JERZY.

Jesteś bardzo zabawna! Drożysz się, jak
księżniczka. (Na stronie). To na mnie w szcze-
gólny sposób działa.

MAŁASZKA.

Pan hrabia jest dla siebie więcej jak pan
hrabia — a ja dla siebie więcej jak kniaziów-
na. Ot co!

JERZY

(przysuwając się ku niej).

Ty i dla mnie więcej jak każda kniaziówna...
(na stronie). Elle est bien diable.

MAŁASZKA

(patrząc mu zalotnie w oczy).

Bo urodę toć królewską mam... Pan hrabia
pewnie już nie wie, jak ja wyglądam. Niech
się pan napatrzy a potem mnie w spokoju zo-
stawi.

JERZY.

Kiedy ja cię w spokoju zostawić nie chce
i nie myślę (na stronie). O! elle m'agace, to
dziwnie!

MAŁASZKA.

Ostawił mnie pan raz — ostawi i drugi.

JERZY.

Ach! o to chodzi! Ale przecież zabrać cię
z sobą nie mogłem.

MAŁASZKA.

Mniejsza! Ja ta nie płakała. A że tu przy-
jechałam, to nie przez tęsknicę, ani przez za-
łość; ot, tak padło i niech będzie tak.

JERZY.

Więc nie tęskniłaś za mną?

MAŁASZKA
(głosem puszczyka).

Ha! ha!

JERZY.

Ale ja cię zawsze lubię, Małaszko!

MAŁASZKA.

Wy więcej lubicie tę panią Loorę, co to ma
żółty łeb i wyprawne oczy. Ot, ta do miło-
wania! Stare to i brzydkie...

JERZY
(śmiejąc się).

Ależ ja ciebie wolę.

MAŁASZKA.

Takie mi wolenie, bo jej niema. A jakby
była i na was teraz zawołała, tobyście za nią
pognali a na mnie nie spojrzeli.

JERZY
(do siebie).

Jaka dziwna ambicja w tej chłopce! C'est
extraordinaire! (głośno). Miałem jechać do niej,
ale teraz zostanę w domu. No, cóż? cieszysz się?

MAŁASZKA.

Obaczę. Wielkiej mi ta znów uciechy sobą
nie robicie — ale jak wola, to ostanicie...

JERZY
(przyciągając ją ku sobie).

No, ale teraz nie chmurz się i bądź taka,
jak dawniej.

MAŁASZKA
(podając mu usta do pocałowania).

O! paniczul...

(Całują się gorąco; ona wydziera się pierwsza; odskakuje
i staje znów chmurna i gniewna).

JERZY
(do siebie).

Ta kobieta dziwnie całuje. Cały płonę i drzę,
jak student. To głupie!

MAŁASZKA
(patrząc na Jerzego, do siebie).

Ha! wraży syn! wziął lep! Niech mu na
pohybel idziel!

JERZY
(roznamietniony).

Czegoż uciekasz? Chodź!

MAŁASZKA

Ostawcie mnie!

(Bierze dziecko na rękę i zasłania się dzieckiem).

JERZY
(odsuwając się).

To szatan, nie kobieta!

SCENA IX.

MARTA, MAD. LATOUR, JERZY, MAŁASZKA.

22

MARTA.

Biedna ciocia! jakaś nieswoja... Nie mogę
pojąć, co się stało. (Do Jerzego). Zdaje się, że
Piotr już na dole czeka.

JERZY.
Niepotrzebnie, już nie pojedę..

MARTA.
Zostajesz?

JERZY.
Tak.

MARTA
(z nieśmiałą radością).

O, to ślicznie, to bardzo dobrze z twej strony! Spędzimy ten wieczór z naszym Marjan-kiem. Mizel, moja droga, powie dz, niech Piotr odjeżdża. Pan dziś nigdzie nie wyjedzie. A! niech nam tu podadzą herbatę i niech na kominku zapalą. Będzie weselej.

MAD. LATOUR.

Dobrze, moje dziecko! Nie zapomnij o le-
karstwie; za pół godziny zjawię się z flaszeczką.

MARTA
(j. w).

Dobrze, dobrze!
(Mad. Latour odchodzi, Małaszka także chce odejść).

MARTA.

Zostań, Małaszko; Manius będzie bez cie-
bie płakał (do Jerzego). Nie przeszkadza ci? Mo-
że zostać?

JERZY
(obojętnie).

Niech zostanie; dla mnie to wszystko jedno!

MAŁASZKA
(wściekła, na stronie).

Brochuń!

MARTA
(do Małaszki).

Usiądź, Małaszko, bo tak dziecku bawić się
niewygodnie. Możesz usiąść na dywanie...
o, tak! Manius przy tobie. (Małaszka siada na zie-
mi i sadza dziecko). Cóż, dobrze wam tak?

MAŁASZKA
(hardo).

Nizko!

MARTA.

Weź kanapkę — o, tę, która stoi koło pana;
zbliz się śmiało — pan ci nic złego nie zrobi.
(Do Jerzego). Żenujesz ją; nie uwierzysz, jaka to
dziwaczna istota! Harda, dumna, ale nieska-
lanie uczciwa.

(Wchodzi lokaj i zapala ogień na kominku).

JERZY.

Ohol...

MARTA.

Ależ tak! tak! Dla mnie to prawdziwy
skarb taka kobieta. Mogę jej dziecko bez
trwogi powierzać. A przytem, jaka piękna...
Spójrz, proszę cię, Orciu, jaki to kształtny
profil — a oczy!...

JERZY
(z udaną obojętnością).

Laisse donc, wiejska prostacka twarz... nic
więcej.

MARTA.
Ale mylisz się — przeciwnie.
(Chwila milczenia).

JERZY.

Czy napisałaś do ojca list, o który cię prosiłem?

MARTA

(cicho).

Nie jeszcze.

JERZY.

To źle. Ojciec postępuje nieprawnie — raz temu trzeba koniec położyć...

(Chwila milczenia).

MARTA

(do Małaszki).

Podaj dziecku zabawkę; widzisz, jak rączki wyciąga... Czy chcesz, aby ci urządzić wieczorynkę?

MAŁASZKA.

Jak jaśnie pani wola.

MARTA

(wstaje i gasi świece w kandelabrach).

Teraz już jest dość ciemno. (Do Jerzego). Nazywamy to wieczorynką. Ogień na kominku tylko nas oświeca, my siedzimy prawie w cieniu a Małaszka opowiada bajki. Czy chcesz, aby nam teraz opowiadała?...

JERZY.

Owszem — to będzie przynajmniej oryginalne.

MARTA.

Proszę cię, Małaszko, opowiedz nam cośkolwiek. Mów śmiało, pan się nie będzie śmiał z ciebie... Pan bajki bardzo lubi...

MAŁASZKA.

Jak każecie...

(Staje tak, że pada na nią żar kominka. Jerzy naprzeciw patrzy na nią uważnie. Marta bierze dziecko na kolana i siada obok Jerzego).

MAŁASZKA.

(dekluuje przy akompaniamencie orkiestry):

Czemu ty, biała hołubyno,
Tak od ziemi się odbiła?
Czemu, mała ty ptaszyno,
Tak sokoła polubiła?

Ha! ha!

Sokół weźmie w swe pazury,
Przyhołubi, ta pobawi,
Potem ciśnie na rozputij
I bez żalu cię ostawi.

Ha! ha!

Wernuś się do ziemi hyżej,
Pokąd jeszcze cię nie zmanił.
A cur jemu za zmanienie!
A pek jemu, że ostawił!

Ha! ha!

(Ostatnie słowa mówi, patrząc na Jerzego. Akompaniament orkiestry cichnie, flet gra sam).

MAŁASZKA.

(słucha chwilę, potem krzyczy z przestraczem).

Julek!

MARTA

(zrywa się).

Co to jest, Małaszka? Co ci się stało?

SCENA X.

CIŻ SAMI, MAD. LATOUR. później LAWDAŃSKI
i JULEK.

22

MAD. LATOUR.

Ach, Maciul... nie wiem sama, jakby ci to powiedzieć... Na dole jest mąż Małaszk, ten Julek, którego tak bardzo lubiłaś... Chce koniecznie tu wejść i widzieć się z tobą. Prosi, by go puścić do panienki. Jest bardzo mizerny i zbiedzony. Mówi tak niewyraźnie... Nie chcieli go wpuścić, dopiero Lawdański zlitował się nad nim i wziął go do kredensu. Teraz siedzi na progu i gra. Przyniósł z sobą swój flet i gra tak, jak na wsi wieczorami pod kredensem grywał.

MARTA.

Julek? Zkądże on się tu wziął?

JERZY

Prawdopodobnie koleją, jak inni. Zapewne chce, ażeby mu za żonę zapłacić. Bardzo słusznie. Trzeba to skutecznie. Niech Małaska pójdzie i zapyta go, czego chce.

MARTA

(żywo).

O, nie! Mógłby ją jeszcze namówić do odwrotu — a ja tego nie chcę. Ona mi tu potrzebna.

MAŁASZKA

(przysuwając się do Marty).

O, jasnie pan!

MARTA.

Nie bój się, przemocą cię nie weźmie. Trzeba zapytać, czego chce i odesłać go czym prędzej. Jeżeli potrzebuje gospodyni — da mu się pieniądze, niech sobie wynajmie. Tylko niech idzie dziś jeszcze... Moja mizel, pójdz do Lawdańskiego i powiedz, aby go tu zaraz przyprowadził. Muszę się z nim widzieć i rozmówić — winna mu jestem wiele.

MAD. LATOUR.

Tylko się tak niepotrzebnie nie egzaltuj. Cała jesteś jak w gorączce.

MARTA.

Jakże chcesz?... Pomyśl tylko, co by się z Maniusiem stało, gdyby ją zabrano?...

MAŁASZKA

(udając płacz).

Detyna-by zmarniała... i ja bez niej także.

(Latour wychodzi; flet milknie).

JERZY.

Pozwolisz, że się oddalę?

MARTA.

Proszę cię, zostań; ten chłop rozgoryczony może stać się zuchwałym. Obecność twoja go pohamuje.

(Lawdański wprowadza Julka. Julek jest obszarpany, brudny, bosy. Włosy w nieładzie, głos zachrypły, w ręku fujarka i zawiniątko ze szmatami. Staje nieśmiało w progu i patrzy w ziemię).

MARTA.

Boże, jak on wygląda!

LAWDAŃSKI

Pani hrabina pozwoliła go przywieść. On prosi, aby mu oddali żonę, bo i on i dziecko i dobytek marnieją bez niej. Pani hrabina każe Małaszce spakować rzeczy i powracać na wieś z mężem.

MARTA.

Czemuż on sam nic nie mówi?

LAWDAŃSKI.

On ze smutku mówić przestał (trąca Julka).
Mów ty! Oto jaśnie panienka — ty chciał gwałtem do jaśnie panienki iść... Ot, jest! No, co powiedzieć.

MAŁASZKA
(na stronie).

Djabli syn! czorci syn.

JULEK

(nieprzytomnie).

Jaśnie panienka? Nie! Ty mnie, Szmulu, tumanisz... to nie jaśnie panienka, tylko jakaś blada martwica... Ot, upyr, prost! W lesie to takie martwice z za liści patrzą i jęczą, ta zawodzą...

MARTA
(cofa się).

Co on mówi?

JULEK
(j. w.).

Ja idę z wielką żałobą... idę szukać dla

mego Stepanka maty, bo mu strasznie zatracona dola idzie... Niema ni żony w mej chatynie, ni szczęścia! Tu duża izba, ale ciemno. Ot, przypadnij a nie odzujesz ani żony, ani chustki pana hrabiego. Ach, to był dobry pan!... żonę mi wziął, ale za to i wstążek dał i korali na szyję nawiązał.

JERZY

(gwałtownie).

Wygnąć go! Lawdański! wyrzuć go natychmiast!

LAWDAŃSKI.

Zaraz, panie hrabio! (Do Julka, chwytając go i obracając w stronę Jerzego). Tam pan hrabia, ten, co ci Małazkę wziął...

JERZY.

Wyrzuć go!

JULEK

(poznając Jerzego).

Hal to ty, panie hrabio?... (rzuca się ku Jerzemu, popchnięty przez Lawdańskiego). Ty wielki pan a ja tylko chłop, ale ja siłę mam! Ty mi żonę wziął, ja tobie życie chcę wziąć... Ty mnie w serce się wżarł i ja twego serca chcę...

JERZY.

Lawdański! trzymaj go, to warjat!

LAWDAŃSKI

(udając, że Julka powstrzymać nie może).

Rwie się! nie mogę utrzymać.

MARTA

(przerażona).

Boże! co za scenal...

(Dzwoni gwałtownie).

LAWDAŃSKI

(popychając Julka w stronę Małaszk).

Ot, Małaszk! patrz Julek, Małaszk!

JULEK.

Zazulo, moja zazulo! (osuwając się na kolana). Ot, jest zguba moja — jest hołubyna serdeczna!... Chodź, Małaszk, chodź już do chałupy! Chodź, Stepanek płacze—on za tobą zawodzi! Ja idę do stajni, jaśnie pan jutro do miasta rankiem jedzie... Ale ja cię nie zbudzę, nie!... Cukier masz — ja go ukradł, ale ja bez winy; to dla ciebie, zazulo, żeby ty się śmiała. Pan hrabia to ci wstążek dał i chustkę bogatą...

JERZY

(przerywa gwałtownie).

Wyrzucić go! (do służby, która weszła przed chwilą). W tej chwili odwieźć go na kolej i wyprowadzić do wsi! Heronim! ty go odwieziesz. Za kwadrans przyjdź do mnie po pieniądze na drogę. (Lokaje chwytają Julka, który jest znów nieprzytomny).

JULEK.

Och, dobrzy ludzie! wy nie widzieli mojej żony? Ona tu stała taka harna i krasna, jak wtedy, kiedym ją zaszwał. Ale teraz już jej niema—ot tak... poszła nocką z chałupy! a ja idę szukać, szukać... Małaszk!

(Lokaje wyprowadzają Julka, który zatrzymuje się we drzwiach; na przodzie sceny Małaszk po lewej stronie, po prawej Jerzy, trochę głębiej Marta oparta na m. Latour).

MAŁASZKA

(oddychając swobodniej).

Al

MARTA

(podaje jej dziecko).

Weź Manusia i odejdz do mego pokoju.

JULEK

(sposstrzegłszy dziecko, rzuca się ode drzwi, lokaje przytrzymują go).

Stepanek! ty tu?... Nie, Stepanek w chałupie spał, co w tej cerkwi-by robił? To odmina! odmina! wiedźma podrzuciła swoje... Pek tobie, ty nieczysta gadzinol! zgiń, przepadnij nie swoją śmiercią!... Niech ci wraza dola świeci—martwicą ty bądź!... Na pohybel tobie!... na pohybel!

(Marta zemdlona pada na ręce mad. Latour. Jerzy gwałtownym ruchem wskazuje Julkowi drzwi. Lokaje uprowadzają szamoczącego się Julka).

Koniec aktu czwartego.

AKT PIĄTY.

Pokoik zamknięty, jasny, wytapetowany; firanki przy oknach muślinowe. Troje drzwi w głębi po prawej stronie. Łóżko Małazki czysto posłane, dywanik nad niem, koło łóżka kołyska, zasłonięta firankami i pękami wstążek. Na przodzie sceny maluchny stolik i cztery foteliki. Niedaleko olbrzymi koń na biegunach. Po drugiej stronie niska sofa i miękkie dwa fotele. Pomiędzy drzwiami szafka do bielizny i półeczki z zabawkami. U stropu lampa niebieska zapalona. Łagodne światelko oblewa scenę. Na sofie śpi Małazka i dziecko.

SCENA I.

MAŁAZKA, MARTA, MAD. LATOUR.

22

MARTA

(wchodzi na scenę w balowym stroju, za nią mad. Latour).

Cóż tutaj tak cicho? A! zasnęli oboje... Pst! mizel, nie trzeba im przeszkadzać.

MAD. LATOUR.

Ja sędzę, że wypadaloby obudzić Małazkę niech Manusia rozbierze i do kołyski ułoży.

MARTA.

Daj spokój, mizel, ona jest tak nerwowa od ostatniej sceny z tym nieszczęśliwym obłą-

kanym człowiekiem, że lękam się każdego silniejszego dla niej wstrząśnienia.

MAD. LATOUR.

Bo też dziwnie przykra to była scena. Moja jest poczęści w tem wszystkiem winą. Prosiłam cię, ażebyś się z nim widziała. Nie przypuszczałam nigdy, że przyjdzie do takiej ostateczności.

MARTA.

Nie uwierzysz, jakie wstrząsające wrażenie wywarła na mnie ta kłątwa, rzucona na głowę Maniusia. Gdy pomyślę że ziścić się może, życie ze mnie ucieka. Na pohybel — to straszne słowo u ludu. (Po chwili). Czy ty wierzysz w moc przekleństwa? powiedz mi otwarcie.

MAD. LATOUR.

Nie jestem wcale przesądna i tobie radzę nie przywiązywać zbyt znacznej wagi do tej sprawy. Nie zawiniłaś nic a tembardziej to biedne dziecko, dlaczegoż miałobyście cierpieć za winy niepopelnione?

MARTA.

Za winy niepopelnione... Otóż w tem tkwi zagadka! Voila le mot de l'enigme!... Nie przyszło mi nigdy na myśl, że ta kobieta, wyrwana z pod rodzinnej strzechy, pozostawiła pod nią dziecię i męża.

MAD. LATOUR.

Wyrzuty, które sobie czynisz, są nieuzasadnione. Przecież przybyła tu z dobrej woli.

Szumł zaręczał, że zgodziła się chętnie a nawet i teraz nie zdaje się tęsknić do swej rodziny. Przestań więc dręczyć się bez powodu i ciesz się z tak miłego wieczoru, jaki zamierzasz przepędzić.

MARTA.

Miły wieczór! O! moja mizell najmilszą dla mnie chwilą byłaby ta, którą spędziłabym w tym pokoju w towarzystwie mego dziecka. Żaden z najślawniejszych artystów nie zdoła swą melodią poruszyć tak mej duszy, jak to czyni mój Marjanek swym naiwnym szczebiotem. Chętnie zdjęłabym z siebie te jasne jedwabie i, włożywszy mój szlafroczek, urządziłabym sobie wieczorynkę z moim aniołkiem. Patrz, mizel, jak on cudnie piękny, jak niewinnie uśmiecha się w tem półsennem marzeniu. Powiedz, mizel, czy jest równie piękne dziecko na świecie?...

MAD. LATOUR

(z uśmiechem).

Każda matka mówi to samo.

MARTA

(klękając przed dzieckiem).

O, nie! nie każda! Niewiele jest kobiet, któreby tak kochały swe dzieci. Jest to jakieś bałwochwalcze przywiązanie — coś, co stanowi mnie samą i przy życiu utrzymuje. W dziecku tem mam zamkniętą całą przyszłość moją, przez niego i dla niego istnieję!... To mój

Anioł Stróż, gwiazda mojej smutnej, ol bardzo smutnej dolil...

MAD. LATOUR.

Z tem wszystkiem, trzeba Maniusia zanieść do kołyski a ciebie zaprowadzić do salonu. Goście za chwilę zjeżdżać się będą a i wielki artysta zapewne niedługo się zjawi.

MARTA.

Czy przyjdiesz wysłuchać koncertu?

MAD. LATOUR.

Nie. Gdy otworzę drzwi swego pokoju, usłyszę doskonale ową wiolonczelę. Wolę zostać przy dziecku.

MARTA.

Pocziwa! kochana mizell

(Mad. Latour bierze dziecko i odnosi je do kołyski; przysuwa kołyskę do łóżka Małuszki i zaciąga będące nad łóżkiem firanki, tak aby kołyska zakryta została. Podczas następnych scen krytymi drzwiami wchodzi ktoś zabiera dziecko i kładzie na miejsce dziecka odpowiedniej wielkości lalkę).

SCENA II.

TEŻ SAME i KAN. HADEN.

□ □

HADEN

(wchodząc).

Domyśliłam się, że jesteś tutaj. Goście zjeżdżać się już zaczynają.

MARTA.

Idę do salonu (kaszle). Dziwna rzecz, jak się czuję dziś osłabioną.

HADEN.

Życie to, które pędzisz, jest zupełnie dla ciebie niestosowne. O! wiem, co mi odpowiesz... „Taka jest wola Jerzego“. Ale czyż ty nie masz własnej woli?

MARTA

(ze smutnym uśmiechem).

Nie, ciociu, nie mam i nigdy nie miałam. Istoty tego rodzaju, jak ja, słuchają zawsze a nigdy nie rozkazują.

HADEN.

Jednak, gdy idzie o... życie.

MARTA

(żywo).

Nie, ciociu! nie życie towarzyskie mnie zabija, to raczej kłopoty i zmartwienia są dla mnie trucizną... Wiesz dobrze, co jest głównym powodem smutnego rozdwojenia pod naszym dachem. Pieniądz i zawsze pieniądz.

HADEN.

Staralam się przecież zabezpieczyć wam przyzwoity i stały dochód.

MARTA

(wzdychając).

Jerzy chciałby rozporządzać sam kapitałem.

HADEN.

Na długoby wystarczył!

MARTA.

Wiem o tem — a przecież z całego serca oddałabym mu te pieniądze, aby tylko spokój i szczęście zapewnić. Ojciec jednak nie chce nawet słyszeć o oddaniu tej sumy a powód tego oporu jest mi, niestety, aż nadto dobrze znany.

HADEN.

I ja się domyślam...

MARTA

(z nagłym wybuchem).

O, ciotko! ciotko! jak ciężkie jest to życie!
I gdyby nie dziecko...

HADEN

(chmurnie).

Dziecko? — to także złudzenie... Nie licz nigdy na miłość lub wdzięczność dziecka. Dasz mu życie w mękach i bólu, później całą wiarę, nadzieję, miłość złożysz w tej istocie, która z krwi twojej początek swój wzięła, zaprzysz się swego „ja“, oddasz duszę na podnózek synowi, by rósł w sławę, szczęście i uśmiechy — a on ci za to kiedyś błysnie w oczy szyderstwem i powie: „Twoja wina, matko, żeś niegodziwcem; tyś mnie tak wychował“

MARTA.

Nie mów tak, ciotko... Gdyby to była

prawda, jakież cel miałabym w dalszem istnieniu?

MAD. LATOUR

(wraca do kołyski).

Manius śpi — czy zbudzić Małaszke?

MARTA.

Daj spokój, mizel; ty wiesz, że ona tego nie lubi — obudzi się sama.

MAD. LATOUR.

Idźcie do salonu, ja z mego pokoju nad dzieckiem czuwać będę.

HADEN.

Czy Wolff przybędzie?

MARTA.

Obiecał swą bytność — posłaliśmy powóz. Jerzy był u niego, prosząc, aby nam nie odmówił.

HADEN.

Słuchać go będę z rozkoszą. Wiolonczela w jego ręku skarży się prawie ludzkim głosem. Chodźmy.

MARTA

(idzie ku drzwiom, po chwili wraca się i idzie do kołyski).

Nie wiem, co mi jest — odejść stąd nie mogę, jakieś złe przeczucie szarpie mi serce... Ach! dlaczego właśnie ten koncert dziś wypadł!

HADEN.

Cóż znowu? Manius nigdy chyba nie był

zdrowszym i nie spał smaczniej... Nowy turkot powozu... znów ktoś przyjechał.

MARTA
(po krótkim wahaniu).

Nie wiesz, ciociu, czy Eleonora już przybyła?

HADEN.

O! ta jest zawsze najpierwsza. Widziałam ją w salonie rozmawiającą z Jerzym.

MARTA
(cichy).

Z Jerzym!

HADEN.

Czy byłabyś zazdrosną?

MARTA.

Ja? Czyż mam do tego jakiegokolwiek prawo?...

HADEN.

Jesteś żoną.

MARTA.

Prawda! Zapomniałam o tem! (kaszle). Chodźmy do gości. (Otula dziecko). Śpij spokojnie, mój skarbie! śpij spokojnie...

(Wychodzą).

SCENA III.

MAŁASZKA, MAD. LATOUR, później LAWDAŃSKI.
(Ta ostatnia porządkuje chwilę porzrzucone zabawki)

MAD. LATOUR.

Tak! wszystko teraz w porządku. Ta Ma-

łasza jest strasznie niedbała; ale cóż dziwnego! wszyscy ją tak psują, zaczawszy ode mnie. Czegoż-bo się dla dziecka nie zrobił Ciekawa jednak jestem, jak jej smakować będzie chleb razowy, gdy do domu powróci?... Przecież raz musi na wieś wrócić, bo całe życie piastować Maniusia nie będzie. Oj, będzie jej wtedy ciężko! nie chciałabym być na jej miejscu. Dziecko śpi. Pójdę troszkę do swego pokoju i dokończę Ponson du Terrail'a. Zajmujący a powściągliwy — dobra szkoła! dobra szkoła!

(Wychodzi. Chwila pauzy).

MAŁASZKA

(przez sen rzuca się niespokojnie).

Nie chcę wracać! zapomniałam drogi... Ostawcie mnie tu... tu dobrze... dobrze...

LAWDAŃSKI

(wchodzi, niosąc na tacy kolację dla Małaszk. Stawia na stole, patrząc przez chwilę na uśpioną).

Codzień ładniejsza a dostać jej ani weźl ani się zbliż! Ot, przez nią na wieś nie wracam, tylko przy tym djabelskim hrabi siedzę i słuchać muszę, jak codzień nad ranem podchmielony wraca — a klnie, że znów się w karty zgrał... Oj, gdybym ja na jego miejscu był, to zdrowiałbym nie szargał, pieniędzy nie marnował; a jakby mi takie szczęście (pokazuje na Małaszkę) pod bokiem było, tobym mu nie darował... O! nie darował!... Ona mnie wprost oczarowała, bo za nią chodzę jak cień! Ot, nawet jej służę, kolację sam przynoszę, aby

tylko patrzeć i zagadać do niej... Hrabia też przystępu nie ma, bom sam słyszał, jak go odpędzała, ale żeby ja hrabią był, tożbym sobie z nią radę dał... Czego ona chce? na co ona czeka?

MAŁASZKA

(przez sen).

Nie, Szmul, nie... tak ostawić sadyby nie można, po Julka iść trza. Idź Szmull! idź!...

LAWDAŃSKI.

Ot, sumienie ją je... To dziw... ona chyba we śnie tylko niby serce ma, bo tak na jawie to, gorsza djablica, gorsza upiora. I Julka się nie bardzo zlekła; ot, stała jak kamień a tylko oczy się zieleniły...

MAŁASZKA

(przez sen z trwogą).

Nie! nie! tam ogień... prost rzeka ognia!... To ten smolak, co spadł i za mną się włókł... Jakiś człowiek... Puść mnie... nie szarp... Kto ty? kto ty? (budzi się z wysiłkiem i, wpatrując się w Lawdańskiego, krzyczy). Lawdański!

LAWDAŃSKI.

Czego wrzeszczysz? dziecko zbudzisz. Kolację ci przyniosłem.

MAŁASZKA.

Czego się ty tu przywłóczysz? Ja tobie zakazała, ty psie jeden!

LAWDAŃSKI.

Ty ze mnie psa zrobiła, bo ja taki nigdy

nie był... Ja myślę, że dobrocią dojdę z tobą ładu. No cóż, Małaszka, nigdy nie będzie z nami zgoda?

MAŁASZKA.

Ty czorcie czubatyl! Ty na mnie Julka naślął i do pokoju go przed państwa przywiódł!... A taki pan hrabia wygnać go kazał — a jak pójdzie dobrze, to i ciebie pan wygna i jeszcze obić każe...

LAWDAŃSKI

(z tamowaną wściekłością).

Ty, Małaszka, mnie nie dręcz! ty mnie panem nie strasz! Ja się ani pana, ani ciebie nie boję i jak ty na mnie tak napadać będziesz — ja z tobą straszny koniec zrobię...

MAŁASZKA.

Ha! ha!

LAWDAŃSKI.

Ty się jak puszczyk śmiej a taki ja tobie prawdę mówię... Ja ze złej rodziny wyszedł. Matka za podpalanie trzy razy turmę odsiedziała a ojciec za zabicie w turmie zmarł.

MAŁASZKA.

Ja też lęku nie mam.

LAWDAŃSKI.

Nie kłam; ja przed chwilą widział, jakeś się we śnie ciskała i bała. Ciebie sumienie jel!

MAŁASZKA

(czelnie).

Za co ma mnie jeść? — ja nic złego nie zrobiłam.

LAWDAŃSKI.

Ty? Niech będzie tak. Ty nic złego nie zrobiłaś. (Po chwili). Słuchaj, Małaszką, co ty z panem hrabią zrobić chcesz? Choć ty go od siebie odpychasz — ja nie ślepy, ja widzę, jak ty mu wciąż pod oczy podchodzisz.

MAŁASZKA

(spokojnie).

Ano tak... pod oczy podchodzę, aby na mnie patrzył wciąż.

LAWDAŃSKI.

I długo to będzie?

MAŁASZKA.

Boh wiel...

LAWDAŃSKI.

Powiedz ty lepiej „czort“, bo ty z Bogiem nie trzymasz. Ale ja teraz pojął, czego ty chcesz. Ciebie złość gryzie za to, że on cię ostawił i pojechał w świat, nie odwróciwszy głowy za tobą. Teraz ty go tumanisz, aby cię chciał... No, co?...

MAŁASZKA

(zimno).

Może i tak!

LAWDAŃSKI.

Ale niech się tobie nie widzi, że on za tobą przepada. O pani ja nie mówię, bo to prawie już trup jest, ale są inne, piękne, bogate panie, które go kochają i on je też kocha... a ty, durna, myślisz, że on bez ciebie schnie i za tobą zawodzi...

MAŁASZKA

(wściekle).

Milcz! milcz!

LAWDAŃSKI.

Onby nawet ciebie już nie chciał, ja to wiem. On mi raz to mówił, jak późno w noc wrócił i jakim go rozbierał... Tak, tak! ty nie patrz na mnie jak warjotka — pan hrabia mi nieraz dużo opowiada a tajemnic przedemną nie ma. Pan hrabia mówił mi o tobie, żeś durna i brzydka a chcesz, żeby on przed tobą może jeszcze na kolana padał...

MAŁASZKA.

Ja durna i brzydka!...

LAWDAŃSKI.

Tak, tak!... Pan hrabia ciebie teraz znać nie chce — on ma już inne kochanki; ja wczoraj bukiet do teatru poniósł a do pani Eleonory też bukiet zaniósł. O, patrz (wyjmuje karteczkę z kieszeni). Ja umyślnie list przez drogę otworzył, przeczytał... a potem tej pani powiedział i listu nie oddał. Ja chciałem ci tę kartkę pokazać, bo choć ty czytać nie umiesz, to proszę kogo, niech ci przeczyta a zobaczysz, czy Lawdański kłamie... Pan hrabia ma dosyć sobie równych, które... które mu wystarczą a takiej chamki, jak ty, to ma na raz dosyć... więcej się w tę stronę nie obróci (daje jej kartkę). Na! weź! przekonaj się — zjedz to pismo, będzie ci na zdrowie... No! czego się ty teraz jak puszczyk nie śmiejesz? Bywaj zdrowa! Ja tu po zastawę jeszcze wrócę za jaki kwadrans (odchodzi ku

drzwiom i wraca się). A nie zapominaj, com ci powiedział... Pan hrabia cię nie chce i ty to w uwadze miej. Chamka dla chama a wielka pani dla pana! Jak się namyślisz, to pamiętaj, że Lawdański zawsze na ciebie czeka i on to ci do nóg padnie... ale nie pan hrabia! nie pan hrabia!...

(Wychodzi).

MAŁASZKA
(sama).

Ty mi do nóg padniesz, psie jeden? ty? Otóż nie ty, ale on, ale twój pan! wielki pan! jasny pan! On mnie nie chce, on za mną nie patrzy. Łgarstwo ten brechuń szczerka! Jak zechcę jeszcze dziś pan mnie umiłuje... bo ja siłę złą mam i wiem, jak chłopów stumanić można. (mnie w rękę kartkę). Ha! wraży syn ten hrabia — co on tych bab ma... To pisanie do jednej!... Trza pani hrabinie na oczy cisnąć. Niech się dowie i tę babę wygna precz a psami wyszczuje. Ona tu przyjdzie jeszcze nocką zajrzeć do dziecka; tu papier położę... (kładzie papier na brzegu kołyski). Niech się dowie i ona (zasuwa firanki nad łóżkiem dziecka i idzie na przód sceny, zdejmując zapaskę, chustkę i rozpuszcza włosy). Ot tobie, panie Lawdański; ja pokażę, kto silniejszy, czy ja, czy te baby, co to tylko zęby suszą a jak na odpust zawsze wystrojone chodzą. Ja tylko prosta chamka, jak ty mnie zwał — a taki pan hrabia mnie już miłował i polubił... (idzie w głąb i otwiera drzwi na korytarz, oświetlony a giorno przystrojony kwiatami). Tędy te martwice idą a szeleszczą jedwabiem, aż

chrzęści. Jaby też lepiej szeleściła, jakby się za mną taka płachta wlokła — jakby ja była taka pani. Ha! ha!... (W głębi korytarza ukazuje się Jerzy, z przeciwnej strony nadchodzi lokaj. Jerzy mówi z nim pocichu). Ot i on! (prostuje się i posuwa na środek drzwi), Wraży syn! psi syn! Pójdź! pójdź!

SCENA IV.

MAŁASZKA, JERZY.

22

JERZY.

(w korytarzu spostrzega Małazkę; patrzy na nią chwilę).

Cóż ty, Małazka, nie śpisz jeszcze?

MAŁASZKA
(sucho).

Niech się pan hrabia nie stracha — toć mu jego wiedźm nie urzeknę, jak się na nie popatrzę. Ja nie czarownica.

JERZY
(j. w.).

Ale owszem, jesteś czarownica, boś mnie oczarowała... (po chwili). Czy dziecko śpi?

MAŁASZKA
(usuwając się).

Nie. Może pan hrabia zechce obaczyć Marjanka, ta pocałować?

JERZY
(wychodząc).

Chętnie... (cokolwiek zmieszany). Gdzie dziecko?

MAŁASZKA
(sucho).

Śpi.

JERZY.

Czemuś skłamała?

MAŁASZKA.

Bo tak!...

JERZY.

Cóż to znaczy „bo tak“?

MAŁASZKA

odwraca się, patrzy chwilę hrabiemu w oczy i śmieje się
sobie właściwym śmiechem).

Ha! ha!

JERZY

(który drgnął mimowoli).

Jak ty się dziwnie śmiejesz, Małazsko, aż
przykro słuchać...

MAŁASZKA.

To niech pan hrabia nie słucha... Ja tak
z maleńkości się śmiała a las mi odpowiadał.
W lesie lisowyk siedzi i tak się śmieje — ja
prost od niego się nauczyła.

(Chwila milczenia).

JERZY

(do siebie).

Czuje, że mam wcale niemądrą minę; ale
co tu począć z tą kobietą, jak do niej mó-
wić? Strasznie nieprzeblągała! (idzie do okna
i otwiera je). To dziwna, jak jej upór mnie
utrwała w raz powziętem postanowieniu! Czu-

ję, że gdyby się zgodziła, nie miałaby dla
mnie tego uroku — tak jak jest, bawi mnie to
i drażni. Ça une repose po Eleonorze et ten-
tes les autres. Mam już zanadto tych ła-
twych kobiet! (odwraca się od okna). Małazskal!

MAŁASZKA
(hardo).

Czego pan hrabia chce?

JERZY

Żebyś ty była inna dla mnie, taka, jak
dawniej, tam na wsi, w sadzie... pamiętasz?...

MAŁASZKA.

Przepadło!

JERZY.

Nie, Małazsko, nic nie przepadło. Ty te-
raz jeszcze piękniejsza, to będę ciebie sto
razy więcej kochał. Do wsi cię nie odeślę,
zawsze tu zostaniesz a strojów ci naspra-
wiam, ile sama zechcesz...

MAŁASZKA.

Niel wy już tak nie mówicie, jak pierw-
ej do mnie mówili — tamto gadanie było inne
i to inne...

JERZY.

Bo gdybyś chciała mnie posłuchać i przyjść
na chwilkę do zielonego pokoju — wiesz, tam
na górze, koło Hieronima tam mówiłbym do
ciebie tak, jak wtedy, kiedy do sadu biegłaś
i do nóg mi padałaś (zbliży się do niej). No! Ma-
łazsko, nie bądź taka zła, bądź inna, uśmiech-

nij się raz i drugi — tyś taka śliczna, jak się śmiesz! (obejmuje ją, ona stoi nieruchoma). Cóż? przyjdiesz?

MAŁASZKA.

Wy czasu nie macie. Tyle innych kobiet was miłuje a wy ich. Na Małazkę czasu nie starczy.

JERZY

(z wzrastającą namiętnością).

Ja ciebie wolę, jak tamtą; tyś zdrowsza, silniejsza, młodsza...

MAŁASZKA.

Aleście mnie zostawili z tą krasą i młodością, ha?

JERZY

(j. w.).

Al nie mów ciągle o tem. No, cóż? przyjdiesz?

MAŁASZKA

(krótko).

Nie!

JERZY.

(przechadza się wolno po pokoju i zmierza ku drzwiom; nagle staje i mówi zmienionym głosem).

Namyśl się — ja poczekam.

MAŁASZKA.

Mysleć nie ma co. Pan hrabia nie pomyślał, jak w świat szedł a za Małazką głowy nie obrócił...

JERZY

(przypadając do niej, z wybuchem).

Ty ciągle jedno mówisz!... Już raz zapomnij

o tem i przestań siebie i mnie męczyć... Słuchaj ty! uśmiechnij się! Ja ci każę — ja twój pan, rozumiesz?

MAŁASZKA

(hardo).

Ot tobie raz!... mój pan!... A kiedy ty mnie kupił — ty, panie hrabio?... Nie tak do mnie mówić trza... Może mnie jeszcze bić chcecie... co?...

JERZY.

Ty możesz do tego doprowadzić, boś harda, jak nikt na świecie!

MAŁASZKA.

Jak z kim.

JERZY.

No cóż, przyjdiesz?... Słuchaj! Idź zaraz — czekaj na mnie. Ja za chwilę wymknę się do ciebie; tam pomówimy, co z tobą dalej będzie. Nie pożałujesz...

MAŁASZKA.

Ani mi to w głowie cni!

JERZY

(rzucając się ku niej z najwyższą pasją i namiętnością).

Al niegodziwa żmijo, jak ty śmiesz!...

(Małazka chwytając go za ramiona i chwilę patrzy mu w oczy; on, zmęczony, powoli osuwa się do jej stóp. Pozostają tak krótką chwilę — ona ciągle ręce trzyma na jego ramionach).

MAŁASZKA

(wybuchając śmiechem).

Ha! ha!... (po chwili). Teraz przyjdę!

SCENA V.

CIŻ I LAWDAŃSKI.

(Lawdański staje we drzwiach i, widząc hrabiego klęczącego u stóp Małaszkii, stoi osłupiały ze zdziwienia. Małaszką odwraca głowę i patrzy triumfalnie na Lawdańskiego. Jerzy, nie widząc Lawdańskiego, wstaje zmieszany).

□ □

JERZY

(do siebie)

Zdaje się, że zrobiłem okropny nonsens. Ze znużenia tą głupią walką, osunąłem się mimowoli przed tą dziewczką na kolana. Zgodziła się!... hm... cały urok stracony... Dziwną mam naturę, bardzo dziwną... Zły jestem na siebie! (wychodzi powoli, nie patrząc na Małaszkę; w progu spotyka Lawdańskiego). Ty tutaj?

LAWDAŃSKI.

Tak, panie hrabio, księżna pani przybyła.

JERZY.

Księżna... al...

(Wychodzi szybko).

LAWDAŃSKI.

Małaszką! co to było?

MAŁASZKA

(triumfująco).

Widział ty? widział ty?... On mnie nie chce? za mną nie patrzy? Ot tobie takie gadanie... a taki przedemną klęknął... kląkł... pan! hrabia!... Ha! ha!

LAWDAŃSKI

(gorączkowo).

A ty co?

MAŁASZKA.

Ja?... (miarkuje się). Ta nic; manię, taj tyle!

LAWDAŃSKI.

Czy pewno?

MAŁASZKA.

Głupi ty! (po chwili). Lawdański! ja do ciebie wielką prośbę mam.

LAWDAŃSKI.

Czego chcesz?

MAŁASZKA.

Ja ci nigdy o nic nie gadała, ani od ciebie chciała... Ty mi zrób to a ja jeszcze tam z tobą pogadam... Ja nie taka zła, tylko czasem w sobie taką chorobę mam, co mnie ciska na ludzi jak wściekła... (Lawdański postępuje ku niej). Tylko zdaleka stój!

LAWDAŃSKI.

No, powiedz, co chcesz?

MAŁASZKA.

Ty wiesz, Lawdański, że jak kto od małego do czego zwyczajny a potem nie dadzą mu tego — tęsknica ogarnia i aż go nosi, takby dostać tego rad... Lawdański, ty mi wódki daj!... mnie za wódką tęskno... słysz!

LAWDAŃSKI.

Tobie wódki nie wolno.

MAŁASZKA.

Etl ty choć durny nie bądź! Co mi tam
bądź! Nol ty gadasz, że mnie miłujesz a nic
dla mnie zrobić nie chcesz...

LAWDAŃSKI.

Ha, dobrze! niechaj! Ja tobie nic odmówić
nie mogę. Przyniosę ci tę wódkę, ale ci tylko
przez drzwi podam, bo na salony muszę iść.

MAŁASZKA

Dobrze, dobrze!

LAWDAŃSKI.

A jakiej ty wódki chcesz?

MAŁASZKA

Takiej, jaka u nas na wsi, prosta—ot, nasza
hucułka.

LAWDAŃSKI.

Zdaje się, że stróż ma.

MAŁASZKA

No idź, już idź! (wypycha go za drzwi i pozostaje
sama; gorączkowo narzuca jedwabną spódnicę i chustkę
na głowę). Pójdę! Pójdę! Teraz wiem już, że
ostanę tu na zawsze; jasny pan aż przedemną
kłąkł... co zechcę — robić będzie. Niech tak!
niech tak! (nasłuchuje w stronę kołyski). Ta od-
mina znów hołosić zaczyna. Zaczekaj, hołu-
byno, będziesz spała — zrobię tak, jak u nas
baby na wsi robią: dam mu wódki, niech śpi...
Jakby wyc zaczął, mizel-by tu przyszła i za-
częła mnie szukać. A nużby mnie naszli...
No, niech się napije!

LAWDAŃSKI

(wsuwa głowę przez drzwi i podaje Małaszce flaszkę
z wódką).

Na! wódkę weź. Dużo nie pij, bo to starka—
innej niema. Wziąłem z kredensu. Jak sobie
trochę odlejesz, butelkę schowaj, ażeby kto
nie znalazł. Na! masz! tylko się nie upij!

(Małaszka bierze flaszkę z wódką, Lawdański znika. Za
sceną słychać grę na wiolonczelli).

MAŁASZKA

(sama).

Spieszyć się trza! Tak... teraz korale i nie-
bieską striczkę. Ręce czyste mam. (Idzie do ko-
łyski i przechyla się nad nią, obracając się plecami do
publiczności). Ot tobie, hołubko! Na! pij! będziesz
spać i ludzi krzykiem nie straszyc! Nie chcesz?
nie lubisz? Ot tobie! jaki mi jasny pan! Pij,
pij!... U nas po chatynach to mołodyce het
dzieci poją, żeby w nockę spały. Tak! tak!
No, teraz dosyć ma! Już mnie szukać nie będą.
Ot, już śpi... (kołysze chwilę kołyskę, później cicho
posuwa się ku drzwiom). Pan pewnie już czeka —
trza iść. A kto tak zawodzi? Czysto jakby
ludzki głos. Tfu! co to za głos?

(Wybiega. Chwilowa pauza).

SCENA VI.

MAD. LATOUR wchodzi w nocnem ubraniu, z książką
w ręku.

22

MAD. LATOUR.

Wolff już gra. Z tego pokoju lepiej sły-

chać — posiedzę tu chwilę. (Ogląda się). Gdzież Małaszka? Zapewne gdzieś wyszła. Chce się przyjrzeć strojom. Nic dziwnego — ją to zajmuje. Szczególniejsze upodobanie ma do strojów ta kobiet! (chwilę słucha). Rzeczywiście, gra pięknie! Ile uczucia! ile rzewności w tej melodji! (nadsłuchuje w stronie kołyski). Co to jest? jakieś stłumione jęki! Czyżby to Manius? (biegnie do kołyski). Boże! co temu dziecku jest? nieprzytomne! czy w ślup! ono ma konwulsje! Maniusiu! dziecino! Ależ ono kona!... (dzwoni gwałtownie i wraca do kołyski). Co tu czynić, zanim doktor nadejdzie? głowę tracę... Co się to stało? gdzie ta mamka? Małaszka! Małaszka! (wpada lokaj). Biegnąć po doktora — dziecko bardzo chore! Iść do salonu, wywołać panią hrabinę; powiedz, że Manius umiera! (lokaj wybiega). Boże mój, co począć? Jakież dreszcze wstrząsają tem dzieckiem! Może trochę wody kolońskiej! Ale tu coś czuć — spirytus! Co to znaczy?

MARTA

(wbiega szybko; przerażona rzuca się do kołyski).

Mizel! Manius! Co się stało? (wydaje rozdzierający krzyk). A! nie mam go już! nie mam! zabili mi go!

MAD. LATOUR.

Ależ, Maciu, nie rozpaczaj — to są zapewne chwilowe konwulsje. Posłałam po doktora — to przejdzie!

MARTA

(czepiając się dzwonka i dzwoniąc gwałtownie).

Ratujcie! ratujcie! (do służby, która wchodzi). Bie-

gnijcie po doktorów! wołajcie ich wszystkich! niech tu przyjdą! Powiedzcie, że dziecko me umiera! Idźcie! O, ludzie! miejcie serce! mnie syn kona!

(Służba wybiega).

MAD. LATOUR.

Maciu! spokoj! miej nadzieję...

MARTA

(w najwyższej rozpacz).

Nadzieję? Nie, mizel, serce matki się nie myli! Maniusiu! dziecko moje! otwórz oczy! spójrz na matkę — uśmiechnij się do do mnie! Ja nic nie mam na świecie, prócz ciebie! Twój ojciec w tej chwili ze swą kochanką, uśmiechnięci, zapatrzeni w siebie, siedzą tam w sali balowej i nie wiedzą, nie myślą, że ja istnieję na świecie! I ty mnie opuszczasz? i ty odemnie odchodzisz? O! nie zostawiaj mnie tu samą, synu mój jedyny! Jam bardzo nieszczęśliwa! bez ciebie mi nie żyć, nie istnieć już więcej!

(Pada przy kołysce, opierając głowę o krawędź).

HADEN

(wchodzi szybko).

Manius chory? co się stało? tak nagle? Był najzdrowszy.

MAD. LATOUR.

Nie rozumiem, co się stało. Zostawiłam dziecko śpiące pod dozorem Małaszki. Gdy weszłam w godzinę później, zastałam dziecko w konwulsjach.

HADEN.

Gdzie mamka?

MAD. LATOUR.

Nie wiem. Kazałam ją szukać.

HADEN.

Ach, ta kobieta!... Nienawidziłam ją zawsze!
(do Marty). Maciu! dziecko moje! uspokój się!
Ja sądzę, że w tem niema nic nadzwyczaj-
nego. Lekarze za chwilę nadejdą.

MARTA.

(zrywając się z ziemi).

Dlaczegoż oni nie przychodzą? Czyż nikt
nie ma Boga w sercu? Czy pozwolicie memu
dziecku skonać?!

MAD. LATOUR.

Może posłać po hrabiego?

MARTA.

Byle nie on! byle nie on! Ten człowiek za-
bija mi dziecko swoim spojrzeniem, tak jak
mnie zabił! Nie wołajcie go! nie wołajcie go,

SCENA VII.

TEŻ SAME i DOKTORZY

22

DOKTÓR I.

Dziecko podobno chore?

HADEN.

Zasłabło nagle. Sądzę, że to konwulsje.

MARTA

(nieprzytomna z bólu, czepia się doktorów).

Panie doktorze, uratuj go, uratuj go! Jeśli
potrzeba, weź życie moje i wlej w syna me-
go! Ja was osypię złotem, ja wam oddam mo-
je brylanty, moje kosztowności wszystko, co
mam! (zrywa z szyi medalion a z rąk bransoletki). Ma-
ciel bierzcie! dajcie waszym żonom! córkom,
Ja wiem, że to mało, ale ja nie mam więcej!

DOKTÓR I.

Zechciej się pani uspokoić. Przedewszyst-
kiem musimy dziecko zobaczyć.

DOKTÓR II

(do kobiet).

Proszę nam dopomódz. Zechciejcie panie
odsunąć panią hrabinę i przytrzymać ją chwilę.
Przeszkadza nam.

MARTA.

O, nie! Nie bierzcie mnie! Ja już będę spo-
kojna, tylko niech wiem, że ono żyje, że jesz-
cze oddycha!

(Doktorzy pochylają się nad kołyską).

DOKTÓR I.

Ależ to dziecko jest otrute!

WSZYSCY.

Boże!

DOKTÓR II.

Najniezawodniej — i to wódką, mocną wódką!

MAD. LATOUR.

Wódką?

DOKTÓR I.

Starą wódką. O! bielizna dziecka cała obla-
na, wydaje silną woń wódki. Olbrzymią dozą
dziecko napojono (do drugiego doktora). Już kona!

DOKTÓR II

(cicho).

Istotnie. Za chwilę skończy.

MARTA

(która z natężeniem śledziła ruchy doktorów).

No i cóż? Prawda, że on jeszcze może być
uratowany? Milczycie?... Dlaczegoż stoicie tak
bezsilni — wy tak mądrzy i podobno silni wo-
bec choroby?... A! dlaczegoż was dwóch tylko?
Więcej ich, więcej sprowadzić! Syn mój nie
może umrzeć! Ja zapłacę! ja zapłacę!

HADEN.

Maciul niezbadane są wyroki Boga!

MARTA

(gwałtownie).

Bóg! — prawda, jest jeszcze Bóg nademną!
Gdy wy jesteście bezsilni, On pokaże moc
wielką, On mi dziecko powróci! (klęka). Boże
miłosierny! nie dałeś mi nigdy szczęścia! —
nie skarżyłam się przecież, dla siebie nie pro-
siłam Cię o nic. Wzięłam mój krzyż na barki
i poddałam się Twojej woli, ale dziś ja się
do ciebie modlę, ja Ciebie zaklinam, zebrzę
Twej litości. Nie bierz mi dziecka! niech ono
nie kona! Zwal na mnie wszystkie nieszczęs-
cia, ale oszczędź mi tego ciosu. Tyś wielki!

Tyś mocny! Tyś Bóg! (po chwili). I cóż? ono
kona? Al niema Boga! niema Boga!

DOKTÓR I.

Kto tu winien?

MAD. LATOUR.

Gubię się w domysłach, zrozumieć nie
mogę.

(Słychać graną na flecie piosnkę Julka — melodramat).

MARTA.

Al warjat miał rację! powiedział: na pohy-
bel cił i na pohybel poszło mej dziecinie.
Musiało iść, musiało!

(Służba powoli zaczyna napełniać scenę — wszyscy oka-
zują smutek, kobiety klękają. Mad. Latour zapala grom-
nicę i klęka przy kołysce. Wszyscy płaczą. Marta na
klęczkach czołga się do kołyski).

DOKTÓR II.

Pod łóżkiem znalazłem flaszkę z wódką.
Zapewne na tem łóżku sypia piastunka dziecka.

WSZYSCY.

Małaszka! Małaszka!

HADEN.

Gdzie ona? gdzie ona?

WSZYSCY.

Nie wiemy!

ŁAWDAŃSKI

(który wszedł przed chwilą do siebie).

Ha! teraz ją wygnają! (głośno). Chodźmy ją
szukać.

Uwięzić ją!

HADEN.

SCENA VIII.

CIŻ SAMI i HRABIA JERZY.

■ ■

JERZY.

Co słyszę? co się tu dzieje?

(Chce dostać do kołyski — Marta zrywa się i odtrąca go gwałtownie).

MARTA.

Precz od kołyski, precz!

JERZY.

Marto!

MARTA.

Jakiem czołem śmiesz pan tu przychodzić? Czemu jesteś dla tego dziecka, które w tej chwili odejdzie, aby nie powrócić więcej? Nie byłeś przy urodzeniu — nie masz prawa być przy śmierci! Byłam wdową a dziecko me było sierotą! Nie czułeś syna żyjącym, nie ujrzyś go martwym, umarłym! Wracaj do salonu, baw twoje kochanki — a dziecku pozwól umrzeć spokojnie! Przy tobie nawet skonaćby swobodnie nie mogło!

JERZY.

Rozpacz cię unosi, Marto. Wszak jestem ojcem Marjana i mężem twoim.

MARTA.

(j. w.).

Prawa ojca straciłeś dawno — prawa męża

nie miałeś nigdy. Zabierz moje pieniądze i pozostaw mnie z bólem moim. Będiesz dobrze zapłacony.

(Kłęką przy kołysce).

HADEN

(do Jerzego).

Małaszka w niepojętym dla nas celu straciła dziecko wódką.

JERZY.

Małaszka? A, niegodziwa! Oddać ją do więzienia!

HADEN.

Otóż on! prowadzą ją!

(Głębią Lawdański i inni lokaje wprowadzają Małazkę).

SCENA IX.

CIŻ i MAŁAZKA.

■ ■

JERZY.

Posłać po policję! niech ją w tej chwili wezmą do więzienia! Słyszycie?

MAŁAZKA

(wyrывая się, podchodzi do Jerzego, patrzy mu bystro w oczy i mówi dobitnie).

Słysz ty, wraży synu! Jak ty mnie do więzienia wsadzisz — ja powiem głośno, że ty moim kochankiem byłeś! Ja to wszędzie mówić

będę. A jak z więzienia wyjdę — o! bo mnie puszczą, ja to wiem — to ja cię zabiję! zabiję!

JERZY

(zmieszany).

To zmija! Boję się jej!

MAŁASZKA.

Ty to na uwadze miej!

(Obraca się do ludzi, którzy jej drogę zastępują).

Odstąpcie się! Pan hrabia każe puścić mnie!
(Ludzie się rozstępują. Lawdański jej zachodzi drogę).

DOKTÓR I.

Jakto, panie hrabio? puszczasz ją pan na wolność?

JERZY

(zmieszany).

Ona to zrobiła bez złego zamiaru. Panie doktorze, na litość Boską, nie robić skandalu.

LAWDAŃSKI

(do Małaszki).

Chodź! ty teraz moja! Ja cię do sioła zawiozę.

MAŁASZKA

(wybiegając).

Precz, psi synu!

MAD. LATOUR.

Nad tą niewinną duszą ulituj się Boże!

DOKTÓR I.

Umarło!

MARTA.

Dozwólcie mi skonać z nim razem!...

(Pada zemdlona na ziemię. W głębi służba częścią kłęczy, częścią stoi. Po lewej stronie kanoniczka Haden i drugi doktor, po prawej stronie hrabia Jerzy.

Koniec aktu piątego.

AKT SZÓSTY.

Scena przedstawia wolną okolicę. Wieś. Po lewej stronie widzów brama wjazdowa pałacowa, trochę zniszczona, drewniana. Obok bramy chata Julka, koło chaty i za chatą drzewa ogrodowe. W głębi widać wieś i las. Po prawej stronie chata, porządniejsza znacznie od chaty Julka, ubrana pękami zieleni i białymi chustkami. Na scenie ciemno, w oknach chaty po prawej stronie bardzo jasno, u Julka ciemno. W głębi w chatach stopniowo zapalają się światła.

SCENA I.

■ ■

JULEK

(sam, wychodzi z chaty, niosąc w ręku pęk szmat; wychodząc przyryka drzwi i idzie wolno w kierunku pałacowej bramy).

Cyt, cyt! biedniaszko! Śpij, hołubyno, ja zaraz powrócę. Trochę szmat wypiorę w tej sadzawce, co jest w dworskim sadzie. Do stawu za wieś daleko. Stepanek płakać może, albo go widma odmieni. Dziecka trza strzedz! Może mi z chatyny uciec i samego zostawić! Samego! samego!...

(Zatrzymuje się koło bramy. Aron, Jankiel, Szmul, Ben, Dawid wchodzi z prawej strony).

SZMUL.

Spieszyc się! Teraz wszyscy na weselu w chałupie u młodej, służba też. Stajnia otwarta, Franz tylko dla niepoznaki założył. Wyprowadzić wszystkich!

ARON.

Wszystkie? Ja miszlał, tatele...

SZMUL

Ty Aron nie myśl — ja za wszystkich myślę. A ferfluchte dame, pójdzie się teraz swojemu Bogu pomodlić. Ja jej wszystkie szkapy zabiorę za te krzywdy, co ona mi chciała zrobić! Bodaj ją pokrećło, te szejtewatel!

JANKIEL.

Czego ty klniesz, stary, a krew sobie psujesz? Ty nie klnij, ale tej... pokaż, że Szmul, jak zechce, to i dworskie konie skradnie a ona sama ze swoim językiem zostanie.

SZMUL

(wściekły).

Wona znów karaimów chciała na mnie nalać. Nu, ja jej dam karaimy! Żeby moje wrogi we wszystkim takie szczęście mieli, jak ja jej życzę!

JANKIEL

(do braci).

Szmaty są? Trzeba dobrze nogi powiązać koniom, coby nie hałasowały.

DAWID.

Szmaty są, bracie Jankielu, ale nie tyle, jak na wszystkie szkapy.

JANKIEL.

No, to kapotę zdejm a podrzej ją na części. (Dawid zdejmując kapotę i chowa pod pachę). Nol, a teraz idźcie; ja poczekam. A niech wam Gott, a tate, pomaga!

ARON.

Czego ty, Jankiel, nie chcesz iść z nami?

JANKIEL.

Ja nigdy z wami nie chodził, ja tu postoję. Gdybym z wami chodził, tobym chyba nie miał kleпки. Po co chodzić, kiedy was jest dosyć?

ARON.

Ty, Jankiel, wielki majuches... No chodźmy!

(Idąc, spotykają Julka).

DAWID.

To ten szejtewatel

SZMUL.

Usuń się, ty, Julek! My do dworu idziemy. Ty puść!

JULEK.

Ani weź — nie można! Jaśnie panienka umiera — koło drzwi trza stać a pilnować, coby tedy martwica nie wyszła...

DAWID.

Das ist a interes... nimot die szejtewate won die bramkes... a sznell!

SZMUL.

Wird a lamentiren, wusy dues?

JANKIEL

(do braci).

Weg! (zbliża się do Julka). Tak, ty Julek pilnuj dobrze, bo jaśnie panienka umiera. Ty sobie tu pięknie ze mną usiądź i wciąż na drogę patrz... Jak śmierć będzie po pannę szła, o, tędy (odprowadza Julka kawałek od bramy i wraca ku drodze; przez ten czas żydzi kolejno wchodzi przez bramę) to ty jej drogę zajdziesz i nie puścisz.

JULEK.

Ostaw mnie, Lawdański. Ja za nią już gnać nie będę, bo nigdzie jej nie najdę...

(Siada koło bramy).

JANKIEL

(na stronie).

Trza z tym myszygene pogadać trochę — może posłyszeć, jak konie przez wodę wieść będą i wszystko będzie ferfa! (staje przy Julku). Za kim ty, Julek, iść nie chcesz?

JULEK.

Ty niby nie wiesz... Oj, Lawdański, czego ty mnie do reszty tumanisz?... Toż ona — ta moja serdeczna poszła, ta do tej pory nie wróciła...

JANKIEL.

Mówi o żonie. Nu, czemu to u nas żydów żony w domu siedzą a po świecie nie latają? Jak którą opęta, to pewnie przez goima — a tak, to niczem jej z domu nie wywleciesz. Czemu żona jemu uciekła a moja Trajne spokojnie w alkierzu siedzi?... Nu, nu, to jest wielkie pytanie! a grojse Frage!

JULEK.

Widzisz, Lawdański, jak się ten miesiąc kraje na niebie?... Będzie widna noc i wisielak znów wyjdzie z mogiły. Wyjdzie, ta stanie i w koło spojrz, ta na mnie hukać zacznie.

JANKIEL.

Ty go widział?

JULEK.

Nie raz, nie dwa. Błady był, ot tak jak ty.. O! taką głowę miał... Czego ty, Lawdański i tak się zmieniał?... Ty jakoś inny był.

JANKIEL.

Ja nie Lawdański; ja Jankiel, ten, co pod lasem karcznię ma.

JULEK.

Ostaw mnie! Chcę spać! Głowa taka duża, prost jak beczka a z niej tylko ogień bucha... O! słup idzie w górę... iskra się rozpada, rozpada... leci na sadyby... Patrz! patrz! ona miała taki wzrok... skry tylko padały.

JANKIEL

(z litością).

Biedny ty! U nas żydów nie miłuje nikt kobiety, ani ja swojej żony, ani stary swojej, ani Dawid Tołcy, ani Aron Gołdy. A przecież ja to sobie w myśli przedstawiam. To musi być wielka boleść taka boleść, to musi być ciężka krzywda taka krzywda!

JULEK.

Krzywda? Co ty mi, wisielaku, o krzywdzie majaczysz! Ja cię nigdy nie ukrzywdziłem i zaw sze na supilce grałem. Supiłkał ta moja... ta serdeczna... och!...

(Za sceną słychać wesołą muzykę i gwar, który stopniowo wzrasta).

JANKIEL.

Wesele nadciąga. Czy aby tamci sprawili się ze wszystkim i staw przebrnęli? (Gwiżdże przeciągle. Po chwili z oddalenia dolatują dwa urywane gwizdnięcia). Już! No, teraz mnie iść na rozłóg. Ja dalej ich powiodę... (patrzy w górę). Ładna noc, jasna noc, królewska noc!

(Wychodzi wgląd pomiędzy chaty i znika).

JULEK

(sam; kołysze ramionami, jakby miał uśpione dziecko na ręku).

Cyt, cyt! Śpij dziecińko... maty wróci — poszła patrzeć w sad; ja cię przychołubię a ona korali na szyję nawiąże... Śpij! śpij!...

SCENA II.

JULEK, UŁAS, SEMEN BOLACZKA, NAŚCIA PAZIO-
RZYCHA, BENEDIA, OPANAS, KANDZIUBA, SEMEN,
ZAZULA, ORCHIM, SYCZ, DŻENDZERA, MODANKA,
PARASKA, WARKA, dziewczęta, parobcy, młodcyce,
gospodarze, dzieci.

■ ■

Za wejściem dziewczęta stoją po jednej stronie, parobcy po drugiej. Warka przed rzędem dziewcząt, Ułas przed parobkami. Drzwi od chaty Ułasa otwierają się i w nich pokazuje się rodzic Ułasa, niosący chleb i sól. Rodzice czekają na progu chaty.

ŚPIEW DZIEWCZĄT.

Pływała po miodzie czaszeczka,
Wiedzie nam młodą družeczka,
Krasną, jako kwiat kaliny,
Wiodą nam młodą dziewczynę.

ŚPIEW PAROBKÓW.

Pod lodem czaszeczka pływała,
Panna młoda dwóch zaswatała.
Dziś jeszcze ją weźmie ze sobą,
Ostanie bojarzyn z żalobą.

ŚPIEW DZIEWCZĄT.

Pływała po miodzie czaszeczka,
Wiedzie wam młodą družeczka,
Z jej sadyby wiedzie w twój próg.
Niechże was błogosławi Bóg!

ŚPIEW PAROBKÓW.

Pływała czaszeczka pod lodem,
Spieszcie się z waszym pochodem,

Rodzice czekają w sadybie,
Matka chlebem i solą was zdybie.

(Wszyscy tańczą tropaka. Po tańcu ustawiają się parami).

SEMEN BOLACZKA.

Ot tobie raz! jak się to wszystko tłoczy, jak
bydle na święto! Gnaj je w porządek, ono
zawsze bokami wylazi.

NAŚCIA

(pijana).

Semen, ostawcie raz wasze przypowiadki
a po ludzku gadajcie.

SEMEN.

Powiedziała co wiedziała.

MODANKA

(do Warki).

Czegoś taka zahołoszona.

DŻENDZERA.

Puście — każda dziewczka jak ją za męża dają,
to wyczytuje a zawodzi.

ORCHIM.

A oczy to się jej jarzą, jak cerkiewne świece.

PAROBCY.

Tak, tak!

PARASKA.

Ot, że nie! To tylko siłowanie, bo każda
woli siedzieć u rodziców, jak z chłopem na
przepadek iść.

ORCHIM.

I ty?

PAROBCY

(śmiejąc się).

Ha! ha!

WARKA.

A to bochuny! Czego się śmiejecie?

BOLACZKA.

Cicho tam! Baba w gromadzie — kłótnia
gotowa!

PAROBCY.

Tak! tak!

MODANKA.

Oj, jakie to wszystko skórki na buty! My-
ślałby kto, że warte zajrzenia — a to jedna
w drugą jak rosochate lipy.

BOLACZKA.

Hodi już, hodi! Rodzice czekają.

NAŚCIA.

Nu, młodził do pokłonów!

(Orkiestra gra przygrywkę poprzedzającej piosnki. Para-
ska i Ułas kłaniają się rodzicom trzy razy. Matka żegna
ich chlebem i solą, poczem wszyscy wchodzi do chaty.
Podczas sceny Julka, w charcie gra ciągle muzyka).

JULEK

(sam).

Dużo ludzi było... po co przyszli? Wesele
to, czy stypa? O! jak grają! Jeszcze mi Ste-
panka obudzą. Ha! ha! (zaczyna się śmiać przyci

szonym głosem, poczem przechodzi w płacz spazmatyczny, dalej mówi coraz przytomniej). Grają! oj tak! i mnie przecież tak grali kiedyś... Aj! daleko! daleko! ale grali ci, sieroto, grali! Boh mój, jak mnie głowa boli, jakaś inna... Ot, prost ogień mi z głowy to granie wyciąga! (pauza). A bór tak szumiał a drzewa hołosiły wkrąg i wisielak słuchał a ja grał, grał, o tak...

(dobywa z zanadru fujarkę i powoli grać zaczyna. Gra długą chwilę, poczem z zupełną przytomnością wpatruje się w swoją chatę i, rzucając fujarkę, z okrzykiem boleści wybiega ze sceny. — Chwila pauzy).

SCENA III.

LAWDAŃSKI, MAŁASZKA.

22

LAWDAŃSKI.

No, jesteśmy wreszcie na miejscu; ale ty, Małaszka, jeszcze dobrze zważ, co ty czynić chcesz. Do Julka nie wracaj, bo z nim życia nie możesz być pewną...

MAŁASZKA
(ponuro).

Co robić mam?

LAWDAŃSKI.

Ja ci to już mówił, Małaszka, ale ty mnie słuchać nie chciała. Ja na tyle pieniędzy mam, że ze dworu odejść mogę i zabrać cię gdzieś w inne strony.

MAŁASZKA
(gwałtownie).

Z tobą? nie!

LAWDAŃSKI.

Dlaczego?

MAŁASZKA.

Boś psi syn! Nie chcę cię!

LAWDAŃSKI
(hamuje się).

Małaszka! ty ze mną tak teraz nie mów. Gdyby nie ja, byłabyś w więzieniu gniła. Pani hrabina cię łapać kazała, ja ledwo cię schował i wywiózł. Pan hrabia byłby cię nie obrobił, bo ty była dla niego tylko sługą, niczem więcej. Ja cię z miasta wywiozłem i tum się za tobą przywlokł, ale to ci mówię, że teraz musi się raz z nami skończyć. Ja się tak więcej mordować nie będę.

MAŁASZKA.

Ty, zmijo, gadasz, coś mnie ratował? a kto na mnie Julka nasał i chciał mnie zgubić? Ja w duszy złość na ciebie wielką mam i niech mnie czort porwie, jak ja ci to daruję!

LAWDAŃSKI.

Jeszcze ty do mnie przyjdiesz pod mój próg, jak cię Julek z chałupy wygna.

MAŁASZKA.

Pek tobie! to moja sadyba. Ja dostała od

jaśnie pana, jakem z werczem do dwora chodziła. Ja ci pokażę, kto tu gospodarz.

(Idzie ku chacie Ułasa, bierze jedno ze smolnych łuczyw, zatkniętych za belkę i chce wejść z palącem łuczywem do chaty Julka).

LAWDAŃSKI.

Małaszka! ty oszalała! gdzie ciebie niesie?

MAŁASZKA

(po chwilowej pauzie).

Do sadyby wracam, dziecko chcę obaczyć.

LAWDAŃSKI.

Dziecko? Ty tumanisz się tylko — dziecko dawno zmarło.

MAŁASZKA

(z przestraczem).

Zmarło!

LAWDAŃSKI.

Ostawiłaś je samo warjatowi na ręce, to zmarnieć musiało.

MAŁASZKA.

Musiało!

LAWDAŃSKI.

Poszłaś do jasnego dziecka, bo ci się za dworem, za kochankiem majaczyło.

MAŁASZKA

(jak we śnie).

Za kochankiem, za kochankiem...

LAWDAŃSKI.

Nie chodź do chaty — może cię spotkać nieszczęście. Lepiej idź ze mną.

MAŁASZKA.

I czemu dziecko zmarło?

LAWDAŃSKI.

Z głodu.

MAŁASZKA.

Łzesz!

LAWDAŃSKI.

Aha! lżę... Jakaś poleciała za hrabskiem dzieckiem, to twoje prosto zmarniało, bo Julek do dziecka niezwyčajny, zabiedował je.

MAŁASZKA.

Krowy nie miał?

LAWDAŃSKI.

El co tam krowa! No, chodź, Małaszka; ty tu nie masz co robić. No, cóż stoisz jak głupia koło chałupy. Już nic nie wypatrzysz... Stepanek dawno w mogiłce — ty chodź!

MAŁASZKA

(odpycha go gwałtownie).

Ja do chaty wracam! Ty precz!

LAWDAŃSKI.

Patrzcie — do chaty wraca! Jaka mi gospodyn! Już późno, rybko, do chaty wracać... Julek ci zwarzował, a dziecko na mogiłkach dawno gnije.

MAŁASZKA.

Ty łziesz jak pies. Dziecko musi żyć, bo po kiego czorta-by zmarło? Julka, kiedy niesamowity, z chaty wygnam na cztery wiatry — niech idzie na rozputaje a dziecko ostanie przy mnie, bo to moje... słysz!

LAWDAŃSKI.

Gadasz za dzieckiem, jak suka szczeka za szczeniakiem. Ale nie tobie takie gadanie. Ty tu długo nie usiedzisz i znów na marne polecisz.

MAŁASZKA.

Odczep się, ty projawo jedna! Drogi mi nie zastępuj. Ja do swej sadyby wracam.

LAWDAŃSKI

(z wybuchem długo hamowanej namiętności).

No! teraz już raz koniec z nami musi być... Ty mnie niby odpychała a tymczasem tuma- niła i oczami ciągnęła. Ja za tobą jak cień się włóczę — a ty dobrze to widzisz. Lepiej ślepie sobie wypal a na mnie nie patrz, bo się stać może coś strasznego! Słyszysz, Małaszką?... coś strasznego! Ty mnie nazywasz projawą — to ty projawą na świat przyszła, tobie czort ogień w ślepiach zaniecił, żebyś ludzi ciągnę- ła na zaprzepaszczenie! Gdzie ty się ruszysz — tam nieszczęście, albo trup!

MAŁASZKA

(jak w szale).

Trup! tak, trup! martwica!

LAWDAŃSKI

(coraz gwałtowniej).

Ale i na ciebie koniec przyjdzie — i ty sta- niesz się martwicą, trupem tylko! Ty marnie zginiesz, tak jak na marne tyleś ludzi ciągnę- ła!... Słysz, Małaszką, ja ciebie raz jeszcze py- tam: czy ty chcesz być moją po dobrej woli?

MAŁASZKA.

Nie!

LAWDAŃSKI.

Czemu?

MAŁASZKA.

Ty na mnie państwa wiecznie szczu! i Julka nasłał. Ja już taka z rodu jestem — ja nie za- pomnę, o nie!

LAWDAŃSKI

(z wybuchem).

Ha! szalona! ty się sama w marny koniec prosisz! Ty sama mi w ręce leziesz, żebym cię zgniół jak gadzinę! Ja mam dosyć takiego życia, ty czarownico jedna! Ja tak jak Julek nie pójdę włóczyć się i zawodzić... ja ciebie zabiję!

MAŁASZKA

(patrzy chwilę na niego, potem spluwa pogardliwie),

Lokaj!

(Wbiega do chaty, zabierając łuczywo).

SCENA IV.

LAWDAŃSKI, później JULEK.

» »

LAWDAŃSKI.

Lokaj!... Ha! węzu pohany! ja ci pokażę, co lokaj może! Julek zwarjował, jasny pan cię kopnął a lokaj!... Ha! czerwono mi w oczach! w głowie huczył krew bije jak młotem... Straszno mi... boję się siebie... Jakiś szatan mną szarpie... Będzie źle! będzie źle!

JULEK

(wchodzi wolno, ale dość przytomnie patrzy dokoła i zatrzymuje się przed chatą).

Gdzie ja był?... w lesie?... a tak, w lesie. Po co ja chodził? po chrust? nie... nie! chrustu po nocy zbierać nie można... (po chwili). To moja sadyba — widno w oknach! dlaczego? kto ogień rozniecił?... Tam przecie nie ostawiłem nikogo, nikogo!

LAWDAŃSKI.

Julek! to ty, biedaku?

JULEK

(patrzy chwilę).

Nie wiem dobrze, kto ty. Ja cię znał, znał dawno już, ale mnie głowa boli i nie wiem, gdzie ja cię widział... Kto ty?

LAWDAŃSKI.

Lawdański.

JULEK.

Al to Lawdański!... (myśli chwilę, potem z nagłym wybuchem). Małaszka!

LAWDAŃSKI.

Wołaj jej, bo ona jest tu niedaleko, szuka dziecka a ciebie chce wygnać z sadyby.

JULEK

(z dziką rozpaczą, po raz drugi).

Małaszka!

LAWDAŃSKI.

Jest tam, w chacie. Jak ją chcesz ujrzyć, wołaj ją dobrze — a wnet przyjdzie po to, aby cię dalej mordować. Julek, ty powinienes skarać ją za twoją niedolę — ona ci dziecko zabiła, bo rzuciła go na śmierć pewną a sama pognęła w świat jak szalona.

JULEK

(j. w.).

Dziecko zabiła... tak... twoja prawda! ona dziecko zabiła!

LAWDAŃSKI

(gorączkowo).

Ona i ciebie zabije jeszcze kiedy, aby sama się ostać i do kochanka wrócić. Ona ci nie daruje.

JULEK.

Dziecko zabiła, Stepanka zabiła, czarcia córka! Przeklęta! przeklęta!

LAWDAŃSKI

(gorączkowo).

Ty litości nad nią nie miej, bo ona litości nad nikim nie ma. Jak tobie sił nie stanie, to ja ci pomogę — słysz! ja ci pomogę!

SCENA V.

CIŻ SAMI i MAŁASZKA.

■ ■

MAŁASZKA.

(wychodzi z chaty, trzymając łuczywo zapalone).

Niema dziecka! (sposstrzegając Julka). On! strach mi!

JULEK

(patrzy na Małazkę i po chwili rzuca się do niej z wściekłością).

To ty, czarcia córko!

(Chwyta ją za gardło i wywleka z chaty przed próg. Łuczywo wypada jej z rąk i wpada do sieni. Chwilę walczą z sobą, poczem Małazka wtrąca Julka do chaty i zaryglowuje drzwi).

JULEK.

Boh mój, Boh! sił brak!

LAWDAŃSKI.

Nie zabij jej!

MAŁASZKA.

Uciekać trzał

LAWDAŃSKI

(zastępując jej drogę).

Gdzie?

MAŁASZKA.

Puść — w świat iść chcę!

LAWDAŃSKI.

Aby ludzi manić i zaprzepaszczać? Nie pójdziesz już ty, przekłeta duszo!

MAŁASZKA

(wściekła).

Ja ciebie zagryzę! ja ciebie rozszarpie!

(Chata Julka zaczyna płonąć).

LAWDAŃSKI.

Chcesz mnie miłować?

MAŁASZKA.

Rozpadnij się, ty czorcio!

LAWDAŃSKI.

Ha! już mi teraz nie wyjdiesz! Ja się już za tobą włóczyć nie będę! Ja ci te ślepie raz na zawsze zamknę i żar twój ostudzę!

MAŁASZKA.

Gore!

LAWDAŃSKI

(jak w obłędzie).

I mnie w duszy gore... Niech będzie czerwona na tej pogrzebnej stypie...

JULEK

(w płonącej chacie).

Boh mój!

LAWDAŃSKI

(j. w.).

Słysz, martwico! jeszcze jeden trup twój!
jeszcze jeden się na ciebie skarży! Ale tego
dość! Słysz — dość!

(Chata prawie cała w ogniu).

MAŁASZKA

(w trwodze).

Czego chcesz wraży synu, czego chcesz?

LAWDAŃSKI

(j. w.).

Ja już teraz od ciebie nic nie chcę. Ty mnie
sama od siebie odpychała — teraz ja ciebie
pchnę, ale tak, że już nie wstaniesz. Idź
w ogień! Niech ci się spala twoje przekłete
oczy i ty cała — upiorzyco jedna!

MAŁASZKA.

Lawdański! Lawdański!

LAWDAŃSKI.

Tybyś mnie miłować może już chciała... ale
ja teraz ciebie nie chcę. Giń! przepadnij! spal
się, ty čmo nocna! Ja za to w turmie zgniję,
ale z tobą skończę! (Chwyta ją wpół i całą siłą
wrzuca w płomienie. Ona mu się wyrwa chwilę, poczem
słabnie i pada w płonącą chatę. Pauza. Lawdański patrzy
na ogień i po pauzie wybucha nagłym krzykiem). Ma-
łaszk! Małaszk! Ja ją spalił! ja ją spalił!
Al... al...

(Z krzykiem ucieka w las).

SCENA VI

Z chaty Ułasa wybiegają chłopci.

■ ■

WSZYSCY

(z okrzykiem).

Gore! gore!

SEMEN BOLACZKA

Nasze sadyby się zajmą!

OPANAS.

Na strzechy wodę lać!

NAŚCIA.

Warjat podpalił! warjat!

UŁAS.

Moja chatyna się zajmie! Boh mój, jak iskry
lecą!

SEMEN BOLACZKA.

W chacie musi ktoś być — jęczy ktoś...

WSZYSCY.

Julek!

(Pauza. Nagle rozlega się przeciągły śmiech Małaszki).
Ha! ha!

WSZYSCY.

Małaszka!

(Pożar rozszerza się zwolna na chatę Ułasa i zabudowania. Gromada rzuca się do ratunku).



245755/
2

Zasłona spada. Koniec sztuki.



GABRJELA ZAPOLSKA
W ROLI MAŁASZKI.